

SPIS TREŚCI

1	KRONIKA UNIWERSYTECKA	03
	Naukowcy odznaczeni i wyróżnieni	16
	Nasz student laureatem Nagrody im. Jana Rodowicza „Anody”	18
	Święto uniwersytetu, święto chemii / Barbara Stankiewicz	19
	Święto tuż przed rewolucją / wystąpienie rektora prof. Marka Masnyka	22
	Uczeń mistrzów, mistrz uczniów / laudacja prof. Jacka Lipoka ku czci prof. Pawła Kafarskiego	25
	Garść nieporadnych i nieuczestnych myśli na temat wiary, nauki i sztuki / Paweł Kafarski	31
	Kolejni lekarze wykładawcami naszej uczelni	34
2	PUBLICYSTYKA, SZTUKA	35
	Z Pińska do Opola / Stanisław S. Nicieja	36
	Pierwsza Kadrowa / Barbara Stankiewicz	43
	Marcowe echa po półwieczu / relacja z wykładu prof. Pawła Śpiewaka	47
	PIŚ mnie szczerze nienawidzi / relacja ze spotkania z Robertem Biedroniem	50
	Tajemnica starego maszynopisu / Urszula Zajczkowska	55
	Wiersze Joanny Matlachowskiej	57
	Za szybkie pisanie (50) / Adam Wierciński	58
	ODESZLI: Jan Goczoł. Vale Cezar! / Barbara Stankiewicz	64
	Wieczorem u Janka Goczola / Wiesław Myśliwski	66
	Ostatni akord / Bartosz Suwiński	68
	Wspomnienie o Janie Goczole / Jan Miodek	70
	Chory na Śląsk / Jan Cofałka	72
	Razem zakładaliśmy czasopismo / Edward Pochroń	74
	Był aniołem stróżem naszego zespołu / Krzystian Czech	76
	ODESZLI: ks. prof. Józef Herbut. Kazimierz M. Wolsza	79
	ODESZLI: harcmistrz dr Janusz Michutowicz. Eryk Holona	82
	ODESZLI: ks. kardynał Karl Lehmann.	84
	ODESZLI: prof. Anna Starzec. Ewa Malinowska	85
	31 przewag października nad czerwcem / Paweł Marcinkiewicz	87
	CYTATY Z IMPORTU: rozmowa Krzysztofa Ogiody z prof. Adamem Suchońskim	88
	INDEKSOWA GALERIA SZTUKI: Opole >>> Lwów /// Lwów >>> Opole	92
	Jajko niespodzianka / Grzegorz Hebda	94
	O szkolnej edukacji / Bartłomiej Kozera	97
	KRZYWY ZGRYZ: Oniegin z małpiarni / Agnieszka Kania	98
	Wielka historia małego sklepiku / Andrzej Hamada	101
	FIZYKA DLA LAIKA: Profesor Rogers, głęboka studzienka i ośmiometrowa lufa karabinowa / Wojciech Dindorf	104
	Pogrzeb z pompą / Włodzimierz Kaczorowski	106
3	RELACJE, RECENZJE, NOTY	111
	Jubileusz prof. Elżbiety Trel-Mazur / Danuta Kisielewicz, Aleksandra Trzcielińska-Polus	112
	Dokopać się do prawdy / Magdalena Przysiężna-Pizarska, Marcin Böhm	115
	Biolodzy w uniwersyteckim parku w Dąbrowie / Grzegorz Hebda, Miłosz Mazur, Sylwia Nowak, Arkadiusz Nowak, Sylwia Wierzcholska	119
	Perfekcja wymaga treningu / Beata Łabutin	122
	Nowy rok rozpoczął się 16 lutego! / Barbara Stankiewicz	124
	Pomóc dziecku uwierzyć w siebie / Elena Stepaniuk	125
	PÓŁKA SUŁKA: Łapicki, Herbert i motyle / Witold Sułek	127
	Miłość, wiara i Krzyżowa – „Listy na pożegnanie” / Beata Łabutin	129
	Nowości wydawnicze	131
	Noty o autorach	134

Zdjęcie na okładce:

Wiosna w uniwersyteckim parku zamkowym w Dąbrowie, o którym nasi biolodzy piszą na str. 119 (fot. Grzegorz Gajos)

1

INDEKS

KRONIKA UNIWERSYTECKA

Wydarzenia

Wiadomości

Sylwetki

6.02

18.04
2018

6-7.02

Prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak i zastępca kanclerza Marcin Miga byli gośćmi Partyka Jakiego, sekretarza stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości – rozmowa dotyczyła możliwości pozyskania środków finansowych na utworzenie Referencyjnego Ośrodka UO na bazie Zakładu Medycyny Sądowej Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego. W Ministerstwie Przedsiębiorczości i Technologii przedstawiciele Uniwersytetu Opolskiego spotkali się z Piotrem Woźnym, podsekretarzem stanu, z którym rozmawiali o możliwościach pozyskania środków finansowych na Wieloperacyjny Projekt Modernizacji Energetycznej USK w Opolu, wzięli także udział w spotkaniu w siedzibie Departamentu Funduszy Europejskich i e-Zdrowia-Ministerstwa Zdrowia, w związku z planowanym uruchomieniem naboru wniosków w ramach Działania 5.3.

7.02

32 miliony złotych z Regionalnego Programu Operacyjnego przeznaczono na realizację uniwersyteckiego projektu Pomologia (rewitalizacja Królewskiej Akademii Nauk w Prószkowie) – stosowną umowę przekazał rektorowi prof. dr. hab. Markowi Masnykowi, w Sali Plafonowej Collegium Maius, marszałek woj. opolskiego Andrzej Buła. W uroczystości wzięli także udział m.in. wicemarszałek Stanisław Rakoczy i dyrektor Zespołu ds. Projektów Strategicznych UO Grzegorz Sawicki. Koszt projektu to ponad 42 mln zł (32 mln zł uczelnia pozyskała z RPO, 10 mln zł stanowi wkład własny). Wiosną tego roku 1,5 mln zł na ten cel zadeklarowało opolskie starostwo, 2 mln zł przekazał marszałek województwa opolskiego, a Zakłady Azotowe Kędzierzyn wsparły projekt kwotą 2,5 mln zł. Umowy o współpracy z uczelnią, w ramach powstającego w Prószkowie i Opolu międzynarodowego centrum naukowo-rozwojowego na rzecz rolnictwa i przemysłu rolno-spożywczego, podpisało w ciągu ostatniego roku kilkadziesiąt podmiotów.



7 II 2018. Podpisanie umowy o przeznaczenie 32 mln zł z Regionalnego Programu Operacyjnego na realizację uniwersyteckiego projektu Pomologia. Na zdjęciu (od lewej): Grzegorz Sawicki, marszałek Andrzej Buła, dyrektor Departamentu Koordynacji Programów Operacyjnych Urzędu Marszałkowskiego Karina Bedrunka, rektor prof. Marek Masnyk i wicemarszałek Stanisław Rakoczy (fot. Jarosław Mokrzycki)

14.02

Prof. John Radzilowski z University of Alaska oraz Dan Hastings, attaché kulturalny Ambasady Stanów Zjednoczonych w Polsce, byli gośćmi naszego uniwersytetu. Podczas pobytu w Opolu spotkali się z rektorem prof. dr. hab. Markiem Masnykiem, zwiedzili Muzeum UO, a w Auli Błękitnej prof. John Radzilowski wygłosił dla studentów wykład o działalności Ignacego Jana Paderewskiego, który angażował się w organizowanie w USA pomocy humanitarnej dla Polski w latach 1914-1922. Okazją do tej wizyty była setna rocznica odzyskania przez Polskę niepodległości.



14 II 2018. Na zdjęciu od lewej: dr Stankomir Nicieja z Instytutu Filologii Angielskiej, prof. John Radzilowski, rektor prof. Marek Masnyk, Dan Hastings (fot. Jarosław Mokrzycki)

• Prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak i zastępca kanclerza Marcin Miga byli gośćmi prezydenta Opola Arkadiusza Wiśniewskiego – spotkanie dotyczyło planów przekazania uniwersytetowi kolejnej dotacji na wyposażenie obiektu Collegium Medicum (segment E) oraz wsparcia finansowego Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego.

22.02

W Studenckim Centrum Kultury obradowała ogólnopolska konferencja prawnicza, której organizatorami byli: Wydział Prawa i Administracji UO, Okręgowa Rada Adwokacka w Opolu, a współorganizatorem – Sąd Okręgowy w Opolu. Gośćmi konferencji byli m.in. prof. Jacek Giezek z Uniwersytetu Wrocławskiego, prof. Stanisław Leleńtal z Uniwersytetu Łódzkiego, prof. Lech Gardocki z Uniwersytetu SWPS, a prelegentami – dr hab. Zbigniew Cwiakalski z Uniwersytetu Jagiellońskiego, dr hab. Zbigniew Kwiatkowski, prof. UO – sędzia Sądu Okręgowego w Opolu, mgr Marian Jagielski – adwokat, dziekan Okręgowej Rady Adwokackiej w Opolu i prof. Stanisław Hoc (UO).

• Lektorka języka chińskiego na Uniwersytecie Opolskim, Yi-Ting Liao, w Muzeum UO, opowiadała o zwyczajach związanych z obchodzonym właśnie w Chinach nowym rokiem – Rokiem Psa. Moderatorami spotkania byli: dr StankomirNicieja z Instytutu Filologii Angielskiej, prof. Teobald Kupka i dr inż. Zygmunt Flisak, obaj z Wydziału Chemii. Więcej na str. 124.

22.02



22 II 2018. Chiński Nowy Rok w Muzeum UO. Na zdjęciu (od lewej): prof. Teobald Kupka, dr inż. Zygmunt Flisak, Yi-Ting Liao i dr Stankomir Nicieja (fot. Andrzej Szczepaniak)

27.02

Gościem prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesława Piątkowskiej-Stepaniak był prezes Opolskiej Izby Gospodarczej Henryk Galwas, który zadeklarował, w imieniu przedsiębiorców, członków Izby, pomoc stypendialną dla studentów naszego uniwersytetu.

• W Sali Plafonowej Collegium Maius podpisano porozumienie między Uniwersytetem Opolskim a firmą ATOS, międzynarodowym liderem transformacji cyfrowej. Ze strony uczelni sygnowała je prorektor ds. kształcenia i studentów dr hab. Izabella Pisarek, prof. UO, ze strony firmy ATOS – członek jej zarządu Piotr Krzysztofik. Porozumienie obejmuje m.in. doradztwo i konsultacje przy tworzeniu programów studiów i programów praktyki zawodowej na Wydziale Filologicznym i Wydziale Ekonomicznym, sprawowanie patronatu merytorycznego nad konferencjami naukowymi organizowanymi przez wydziały, umożliwienie studentom odbywanie w siedzibie firmy ATOS staży zawodowych itp. Uczelnia z kolei zobowiązała się m.in. do nadania firmie ATOS tytułu partnera biznesowego, zapewniła możliwość udziału w konferencjach naukowych, seminariach, a także prezentacji firmy na terenie naszego uniwersytetu.



27 II 2018. Podpisano porozumienie między Uniwersytetem Opolskim a firmą ATOS, międzynarodowym liderem transformacji cyfrowej. Na zdjęciu: prorektor prof. Izabella Pisarek i Piotr Krzysztofik z firmy ATOS (fot. Jarosław Mokrzycki)

2.03

Przedsięwzięcie „Poza ramą” to dwie międzynarodowe wystawy, w których biorą udział studenci Wydziału Sztuki UO oraz studenci Katedry Designu Narodowego Leńniczego Uniwersytetu Ukrainy we Lwowie (Ukraina). Pierwsza część wystawy „Poza ramą” odbyła się w Filharmonii Opolskiej im. Józefa Elsnera w dniach 2–14 marca br., druga – we Lwowie, w galerii „Zefiryna”, 14 kwietnia br. Na wystawy składają się prace studentów (malarstwo, rysunek, grafika, fotomedia, cyfrowa ilustracja), drukowany katalog z pracami uczestników, część multimedialna (bamber, animowana historia). Patronat nad wystawami objęli: Konsulat Honorowy Ukrainy w Opolu i Wydział Sztuki Uniwersytetu Opolskiego.

• Na Uniwersytecie Opolskim trwały obchody Międzynarodowego Dnia Języka Ojczystego na Śląsku Opolskim, które nasza uczelnia zorganizowała wraz z Regionalnym Zespołem Placówek Wsparcia Edukacji w Opolu, Niemieckim Towarzystwem Oświatowym i Zespołem Szkół im. Prymasa Tysiąclecia Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Opolu. Celem spotkania było ukazanie Śląska Opolskiego jako wielonarodowej, wielojęzycznej i wielokulturowej mozaiki, różnorodnej i ciekawej, barwnej i fascynującej. Dlatego organizatorzy zaprosili uczniów – laureatów konkursów gwarowych i językowych, którzy pochwalili się swoimi talentami wokalnymi i recytatorskimi w języku polskim, w gwarze śląskiej i w języku niemieckim. Oprócz części artystycznej zorganizowano warsztaty językowe, a także quiz językowy, który przygotowało i przeprowadziło Koło Onomastów Instytutu Polonistyki i Kulturoznawstwa UO z przewodniczącą Darią Michałowską na czele. Kolejnym punktem programu była debata o kondycji współczesnego języka polskiego, niemieckiego i gwar śląskich, której gośćmi byli pracownicy Wydziału Filologicznego UO: dr hab. Marzena Makuchowska, prof. UO i dr hab. Danuta Lech-Kirstein z Instytutu Polonistyki i Kulturoznawstwa oraz dr Jarosław Bogacki z Instytutu Filologii Germańskiej. Ostatnim punktem programu było spotkanie autorskie z Martą Kielczyk – Mistrzynią Mowy Polskiej. Spotkanie połączone było z promocją książki „Wpadki. Grzechy językowe w mediach”.

• Prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak i zastępca kanclerza Marcin Miga byli gośćmi Patryka Jakiego, podsekretarza stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości – kontynuowano rozmowę o możliwości pozyskania środków finansowych na utworzenia Referencyjnego Ośrodka UO na bazie Zakładu Medycyny Sądowej Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego. Tego dnia przedstawiciele Uniwersytetu Opolskiego spotkali się także z podsekretarzem stanu w Ministerstwie Przedsiębiorczości i Technologii oraz podsekretarzem stanu w Ministerstwie Zdrowia – Katarzyną Głową, w sprawie pozyskania środków budżetowych na działania restrukturyzacyjne prowadzone w Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym.

5.03

Na zaproszenie prezydenta Opola Arkadiusza Wiśniewskiego prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk wziął udział w kolejnym spotkaniu Rady Biznesu i Nauki. Tematem narady było m.in. omówienie potencjału inwestycyjnego miasta.

6–7.03

W Centrum Wystawienniczo-Kongresowym w Opolu trwały Targi Edukacyjne, podczas których ofertę Uniwersytetu Opolskiego prezentowali pracownicy Biura Promocji i Informacji.

6-7.03



7 III 2018. Stoisko Uniwersytetu Opolskiego na Targach Edukacyjnych w Centrum Wystawienniczo-Kongresowym w Opolu – na zdjęciu Joanna Mentel, kierownik Biura Promocji i Informacji (fot. Sylwester Koral)

7.03

50 tysięcy złotych – taka suma, decyzją Zarządu i Rady Powiatu Brzeskiego, została przekazana na modernizację obiektu dydaktycznego Uniwersytetu Opolskiego przy ul. Oleskiej 48 (roboty budowlane oraz zakup wyposażenia niezbędnego dla funkcjonowania kierunku lekarskiego). Symboliczny czek otrzymał z rąk starosty brzeskiego Macieja Stefańskiego rektor prof. dr hab. Marek Masnyk.



7 III 2018. Starosta brzeski Maciej Stefański (z lewej) przekazał rektorowi prof. Markowi Masnykowi symboliczny czek wartości 50 tys. zł – na modernizację obiektu dydaktycznego kierunku lekarskiego (fot. Jarosław Mokrzycki)

8.03

Podczas uroczystej gali w Łodzi, Maciej Kochański, rzecznik prasowy i asystent rektora Uniwersytetu Opolskiego, został wyróżniony przez środowisko akademickie Politechniki Łódzkiej nagrodą dla najwyżej ocenianego szkoleniowca cyklu szkoleń i wykładów Skill Up, realizowanego przez ostatnie trzy lata w murach Politechniki Łódzkiej.

Maciej Kochański jest także członkiem Rady Fundacji Instytutu Rozwoju Kompetencji Społecznych w Warszawie, zajmującej się szeroko pojętą działalnością szkoleniowo-edukacyjną w zakresie prawa, systemów zapewniania jakości oraz kompetencji miękkich. Rada promuje również aktywność społeczną i kompetencje zawodowe wśród młodzieży i w środowisku studenckim. Celem jej działalności jest jak najlepsze przygotowanie młodych ludzi do wyzwań, z którymi zmierzą się w dorosłym życiu.

9.03

Podczas święta Uniwersytetu Opolskiego, w Auli Błękitnej UO, godność doktora honorowego naszej uczelni przyjął wybitny chemik, prof. dr hab. Paweł Kafarski. Więcej na str. 19.

12.03

Muzeum UO i Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze Oddział Regionalny Śląska Opolskiego Opolski Klub Krajoznawców w ramach współpracy z Regionalną Pracownią Krajoznawczą PTTK w Opolu – to organizatorzy wystawy pt. „Napotkane przy drodze. Kapliczki, krzyże i figury przydrożne w fotografii Adolfa Mikulca – przewodnika i krajoznawcy”, której wernisaż, połączony z recitale słowno-muzycznym Andrzeja Mikoszy – aktora Teatru Lalki i Aktora w Opolu, odbył się w Muzeum UO.

13.03

Gościem Uniwersytetu Opolskiego była wicewojewoda Violetta Porowska, która w Muzeum UO obejrzała wystawę „Skarby paleontologiczne Ziemi Opolskiej”, a także prezentację aplikacji „Serce w poszerzonej rzeczywistości”, wykorzystywaną w procesie dydaktycznym na kierunku lekarskim. Gościowi towarzyszyli: prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, dr hab. n. med. Zenon Halaba z kierunku lekarskiego, dr hab. Elena Jagt-Yazykova, prof. UO i dr hab. Adam Bodzioch, prof. UO z Zakładu Paleobiologii i Ewolucji.



13 III 2018. Na Uniwersytecie Opolskim gościła wicewojewoda Violetta Porowska – na zdjęciu pierwsza z prawej, obok – prorektor prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak i prof. Zenon Halaba (fot. Jarosław Mokrzycki)

I3-I8.03 W Narodowym Centrum Polskiej Piosenki, kinie Meduza oraz w budynku Collegium Maius UO odbyły się imprezy związane z przedsięwzięciem „Sputnik nad Opolem” – m.in. projekcje filmów.

I4.03 Prorektor ds. zarządzania i rozwoju prof. dr hab. Wiesława Piątkowska-Stepaniak była gościem prezydenta Opola Arkadiusza Wiśniewskiego – rozmawiano o planach zacieśnienia współpracy między uniwersytetem a Centrum Wystawienniczo-Kongresowym w Opolu (m.in. przygotowywanie wspólnych projektów).

I5.03 Prorektor ds. kształcenia i studentów dr hab. Izabella Pisarek, prof. UO, gościła dyrekcję Zespołu Szkół w Krzepicach. Celem spotkania było podpisanie umowy o współpracy.

I6.03 W ramach Złotej Serii Wykładów Otwartych UO kolejny wykład, w Auli Błękitnej Collegium Maius, wygłosił dr hab. Paweł Śpiewak, prof. UW, socjolog, dyrektor Żydowskiego Instytutu Historycznego, który mówił o wydarzeniach Marca 1968 – genezie, przebiegu i znaczeniu historycznym. Tego dnia profesor był także gościem rektora prof. dr hab. Marka Masnyka i prof. dr hab. Stanisława S. Niciejki. Więcej na str. 47.

- Studenci Intercultural Communication na Uniwersytecie Opolskim oraz studenci z programu Erasmus+ odwiedzili Zespół Szkół w Głucholazach, gdzie poprowadzili warsztaty międzykulturowe, rozmawiając z uczniami o podobieństwach i różnicach między naszymi kulturami. Zajęcia prowadzili studenci z Afganistanu, Algierii, Chin, Czarnogóry, Czech, Egiptu, Gambii, Grecji, Hiszpanii, Iranu, Rosji, Słowacji, Turcji i Ukrainy.



16 III 2018. Nasi zagraniczni studenci gościli w Zespole Szkół w Głucholazach

I9.03 Rozpoczął się „Tydzień Germanistyki Opolskiej”, a więc projekcje filmów, prezentacje, quizy, warsztaty o tematyce powiązanej z programem studiów germanistycznych, a także Olimpiada Interpunkcyjna.

- Prorektor ds. kształcenia i studentów dr hab. Izabella Pisarek, prof. UO, wraz z prezes Opolskiego Okręgowego Związku Badmintona Bożeną Haracz otworzyły półfinały Akademickich Mistrzostw Polski w Badmintonie. Zawody odbyły się w Hali Widowiskowo-Sportowej w Opolu, a zorganizowane zostały przez Akademicki Związek Sportowy UO. Do Opola przyjechały reprezentacje 16 uczelni z południowej Polski. W finale turnieju opolanie pokonali Akademię Wychowania Fizycznego z Wrocławia 4:0, a w meczu o trzecie miejsce Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie zwyciężyła Politechnikę Wrocławską 4:3.

20.03 Prorektor ds. kształcenia i studentów dr hab. Izabella Pisarek, prof. UO, uczestniczyła w „Śniadaniu prasowym”, zorganizowanym przez firmę PwC Service Delivery Center, podczas którego jej przedstawiciele zaprezentowali firmę oraz plany rozwoju PwC w Opolu.

20-21.03 Uroczystą kolacją z udziałem prorektor ds. kształcenia i studentów dr hab. Izabelli Pisarek, prof. UO oraz władz Wydziału Ekonomicznego UO rozpoczęło się dwudniowe, wspólne posiedzenie Komitetów Naukowych Polskiej Akademii Nauk: Komitetu Nauk o Pracy i Polityce Społecznej oraz Komitetu Nauk Organizacji i Zarządzania. Organizatorem spotkania, w którym wzięli także udział rektor prof. dr hab. Marek Masnyk i prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk, był Zakład Studiów Strategicznych i Polityki Społeczno-Ekonomicznej, kierowany przez dr hab. Agatę Zagórowską, prof. UO, członka Komitetu Nauk o Pracy i Polityce Społecznej PAN. W Opolu spotkali się przedstawiciele największych ośrodków akademickich w Polsce, m.in. przewodniczący Komitetu Nauk o Pracy i Polityce Społecznej prof. dr hab. Zenon Wiśniewski z UMK w Toruniu, przewodniczący Komitetu Nauk Organizacji i Zarządzania prof. dr hab. Bogdan Nogalski z WSB w Gdańsku, autorzy uznanych i popularnych podręczników i publikacji z zakresu polityki społecznej, zarządzania, w tym zarządzania zasobami ludzkimi, rynku pracy, ekonomii. Po roboczych naradach w Sali Plafonowej i w Sali Senatu goście zgromadzili się w Muzeum UO, gdzie prof. dr hab. Stanisław S. Niciejka, kustosz Wzgórza Uniwersyteckiego, były rektor UO, opowiedział historię starań o przejęcie wzgórze wraz z ruinami starego szpitala i walce o wybudowanie tu Collegium Maius.



21 III 2018. Aula Błękitna Collegium Maius – zakończenie wspólnych obrad Komitetów Naukowych Polskiej Akademii Nauk: Komitetu Nauk o Pracy i Polityce Społecznej oraz Komitetu Nauk Organizacji i Zarządzania (fot. Jarosław Mokrzycki)

20-24.03 W ramach programu Erasmus+ na naszej uczelni gościła prof. Susan Yelich Biniecki z College of Education (Kansas State University, USA). Podczas wizyty amerykańska wykładowczyni przeprowadziła serię wykładów i warsztatów dla naszego środowiska akademickiego, dotyczących kwestii międzykulturowych i mikroagresji.

20-24
.03

20 III 2018. W ramach programu Erasmus+ na naszej uczelni gościła prof. Susan Yelich Binięcki z College of Education (Kansas State University, USA). Fot. Marzanna Pogorzelska

20-24
.03

21.03

Wydawnictwo Znak, Fundacja im. Frei von Moltke oraz Muzeum UO – to organizatorzy spotkania poświęconego korespondencji Helmutha Jamesa i Frei von Moltke, zawartej w książce pt. „Listy na pożegnanie”, w którym udział wzięli m.in. ks. abp Alfons Nossol, rektor prof. dr hab. Marek Masnyk, Adam Krzemiński – publicysta, redaktor tygodnika „Polityka” i dr Agnieszka von Zanthier, dyrektor Fundacji im. Frei von Moltke, moderator spotkania. Więcej na str. 129.

- Na Uniwersytecie Opolskim, w auli przy ul. Oleskiej, obradowała konferencja „Opole w czasach rewolucji Information Technology”, zorganizowana przez opolską redakcję „Gazety Wyborczej”. Partnerami tego przedsięwzięcia byli: Uniwersytet Opolski, miasto Opole, Capgemini, Diehl Controls, Atos Global Delivery Center Polska.

22.03

W Auli Błękitnej Collegium Maius odbyło się sympozjum pt. „W drodze do efektywnego budowania sieciowego modelu edukacji XXI w. w wymiarze lokalnym, krajowym i europejskim”, z udziałem prorektor ds. kształcenia i studentów dr hab. Izabela Pisarek, prof. UO, dyrektora Regionalnego Zespołu Placówek Wsparcia Edukacji w Opolu Lesława Tomczaka i dyrektora Centrum Edukacji Ustawicznej UO dr hab. Iwony Dąbrowskiej-Jabłońskiej, prof. UO. Celem sympozjum było „wypracowanie określenia symulatorów i determinantów w procesie tworzenia sieciowego instrumentarium do unowocześniania edukacji w kontekście wyzwań na XXI wiek”. Podczas sesji plenarnej wykład inauguracyjny pt. „Kierunki rozwoju edukacji w przyszłości” wygłosiła prof. dr hab. Mirosława Nowak-Dziemianowicz, kierownik Katedry Teoretycznych Podstaw Edukacji i Wychowania Wydziału Nauk Społecznych UO, a udział w seminarium wzięli m.in. Stanisław Rakoczy – wicemarszałek województwa opolskiego, Karina Bedrunka – dyrektor Departamentu Koordynacji Programów Operacyjnych UMWO, Arkadiusz Wiśniewski – prezydent Opola, Irena Koszyk – naczelnik Wydziału Oświaty Urzędu Miasta, Michał Siek – opolski kurator oświaty i Jacek Suski – dyrektor Wojewódzkiego Urzędu Pracy.

22-23
.03

Na Uniwersytecie Łódzkim obradowała, z udziałem rektora UO prof. dr hab. Marka Masnyka, Konferencja Rektorów Uniwersytetów Polskich.

23.03

Podczas spotkania z cyklu „Introducing Cultures” nasi studenci: Anna Cherenovych (Wydział Nauk Społecznych), Anatolij Hryshchuk i Nataliya Machalina (Wydział Filologiczny) opowiadali, w Auli Błękitnej Collegium Maius, o swojej ojczyźnie, Ukrainie.

23-25
.03

Pracownicy Wydawnictwa Uniwersytetu Opolskiego uczestniczyli w 22. Poznańskich Targach Książki Naukowej i Popularnonaukowej, które odbyły się na terenie Międzynarodowych Targów Poznańskich. Podczas targów Wydawnictwo Uniwersytetu Opolskiego otrzymało wyróżnienie w konkursie o Nagrodę Stowarzyszenia Wydawców Szkół Wyższych im. Ks. Edwarda Pudelki w roku 2018 – za publikację „Samuel Zborowski i jego czasy” autorstwa dr hab. Magdaleny Ujmy, prof. UO.



23-25 III 2018. Stoisko Wydawnictwa UO na 22. Poznańskich Targach Książki Naukowej i Popularnonaukowej. Na zdjęciu – Lidia Działowska z Działu Promocyjno-Handlowego Wydawnictwa UO

26.03

Prawie 9 mln złotych trafi na konto Uniwersytetu Opolskiego, z kolei milion otrzyma Państwowa Medyczna Wyższa Szkoła Zawodowa w Opolu – symboliczne czeki otrzymali rektorzy obu tych uczelni z rąk Marcina Ociepy, wiceministra przedsiębiorczości i technologii oraz Piotra Ziółkowskiego, szefa gabinetu politycznego wicepremiera Jarosława Gowina. To efekt rankingu przygotowanego przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego, które sprawdzało losy ekonomiczne absolwentów państwowych wyższych szkół zawodowych. Podczas spotkania w Państwowej Medycznej Wyższej Szkole Zawodowej rozmawiano także o „konsolidacji potencjałów” obu uczelni. PMWSZ reprezentował rektor dr Tomasz Halski, Uniwersytet Opolski – rektor prof. dr hab. Marek Masnyk.

27.03

Trzy wyjątkowej klasy symulatory, niezwykle przydatne w nauczaniu studentów medycyny i podnoszeniu kwalifikacji lekarzy, zostały zaprezentowane w Centrum Ginekologii, Położnictwa i Neonatologii w Opolu przez dr. hab. Zenona Halabę, wykładowcę na kierunku lekarskim UO. W spotkaniu w opolskim szpitalu uczestniczyła m.in. prorektor ds. kształcenia i studentów dr hab. Izabella Pisarek, prof. UO. Więcej na str. 122.

4.04

Na Wydziale Chemii UO zakończył się Turniej Chemiczny – w uroczystym podsumowaniu turnieju wzięła udział prorektor ds. kształcenia i studentów dr hab. Izabella Pisarek, prof. UO.

6.04

W Sali Plafonowej Collegium Maius rektor prof. dr hab. Marek Masnyk podpisał, w imieniu Uniwersytetu Opolskiego, umowy o współpracy z ECO SA i ECO Logistyka. Współpraca będzie się odbywać w ramach projektu „Zintegrowany Program Rozwoju Uniwersytetu Opolskiego”. ECO SA, wieloletni partner naszej uczelni, jest jedną z pierwszych firm, z którą uniwersytet zawarł umowę dotyczącą współpracy w ramach tego czteroletniego projektu. Nasza uczelnia jako jedyna w regionie otrzymała na ten projekt aż 10 mln złotych z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju. Dzięki temu nasi studenci będą mogli połączyć teoretyczną wiedzę, jaką zdobywają podczas studiów, z praktyką w najlepszych firmach w Opolu i na Opolszczyźnie. W spotkaniu uczestniczyli: Monika Stypułkowska, członek zarządu ECO SA, Marcin Dynkiewicz, prezes zarządu spółki ECO Logistyka i Joanna Koszuś z Akademickiego Inkubatora Przedsiębiorczości UO.



6 IV 2018. Podpisanie umowy o współpracy między Uniwersytetem Opolskim a ECO SA i ECO Logistyka. Na zdjęciu (od lewej): Marcin Dynkiewicz, rektor prof. Marek Masnyk, Monika Stypułkowska i Joanna Koszuś (fot. Jarosław Mokrzycki)

9.04

„Studenci i władza. Marzec 68’ w Opolu” – to tytuł prelekcji, którą wygłosił w Muzeum UO dr Mariusz Patelski, historyk z Instytutu Historii UO, badacz dziejów najnowszych.

10.04

W Studenckim Centrum Kultury UO, z udziałem prorektor ds. kształcenia i studentów dr hab. Izabelli Pisarek, prof. UO, świętowano jubileusz 25-lecia Biblioteki Austriackiej w Opolu. Tego dnia prorektor uczestniczyła także w posiedzeniu Kolegium Prorektorów Uczelni Wrocławia i Opola, które odbyło się we wrocławskiej Akademii Muzycznej.

II.04

Rektor prof. dr hab. Marek Masnyk uczestniczył w kolejnym posiedzeniu Konferencji Rektorów Uczelni Wrocławia i Opola, które odbyło się na Politechnice Opolskiej.

I2-I4
.04

Prorektor ds. nauki i finansów prof. dr hab. Janusz Słodczyk wziął udział, w Katowicach, w kolejnym posiedzeniu Uniwersyteckiej Komisji Finansowej. Głównym tematem posiedzenia był stan procedowania Ustawy 2.0 ; wstępne wyniki finansowe uczelni za rok 2017 oraz sprawy merytoryczne i organizacyjne związane z przygotowaniem „Analizy ekonomicznej uniwersytetów publicznych za rok 2017”.

II.04

Na Uniwersytecie Opolskim obradowała konferencja pt. „Interdyscyplinarność i transdyscyplinarność – nauka dla społeczeństwa i ludzi”, dotycząca stanu współczesnego środowiska akademickiego, różnych aspektów interdyscyplinarności i transdyscyplinarności w narodowym i światowym kontekście, a także możliwości wykorzystania nauki w usprawnieniu komunikacji i polepszeniu relacji w środowisku akademickim.

• W Studenckim Centrum Kultury rektor prof. dr hab. Marek Masnyk otworzył finał Igrzysk Ekonomicznych, zorganizowanych przez Wydział Ekonomiczny UO.

I8.04

Prorektor ds. kształcenia i studentów dr hab. Izabella Pisarek, prof. UO, otworzyła kolejną edycję Giełdy Pracy, zorganizowaną przez Akademickie Centrum Karier.

Zebrała: **Barbara Stankiewicz**

NASI NAUKOWCY ODZNACZENI I WYRÓŻNIENI



Minister Halina Szymańska odznaczyła prof. Włodzimierza Kaczorowskiego (na zdjęciu pierwszy z lewej) Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (fot. Krzysztof Sitkowski / KPRP)

16 lutego br. w Pałacu Prezydenckim w Warszawie odbyła się uroczystość, podczas której zostały wręczone odznaczenia państwowe osobom zasłużonym w pracy naukowo-badawczej i dydaktycznej oraz dla rozwoju polskiej medycyny. Aktu dekoracji w imieniu Prezydenta RP Andrzeja Dudy dokonała minister Halina Szymańska, szef Kancelarii Prezydenta RP. W uroczystości uczestniczył **prof. dr hab. Włodzimierz Kaczorowski**, który został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski – za wybitne zasługi w pracy naukowo-dydaktycznej, za wkład w rozwój międzynarodowej współpracy naukowej.

„Phytocoenologia” to jedno z trzech najważniejszych czasopism naukowych na świecie, zajmujących się ekologią roślinności, wydawane przez środowisko fitoso-

cjologów zrzeszonych w International Association for Vegetation Science od 1973. Z przyjemnością informujemy, że **dr hab. Arkadiusz Nowak** z Samodzielnej Katedry Biosystematyki Wydziału Przyrodniczo-Technicznego UO, został członkiem Rady Redakcyjnej pisma – jako jedyny Polak w tym międzynarodowym, reprezentującym 25 krajów, zespole. Zaproszenie do Rady Redakcyjnej „Phytocoenologii” jest dowodem uznania dla naszego naukowca, autora ważnych prac dotyczących klasyfikacji roślinności środkowej Azji i pól ryżowych świata, a także recenzenta.

Kolejne wyróżnienie dla naukowca z Uniwersytetu Opolskiego. **Prof. dr hab. Włodzimierz Stefanowicz** z Instytutu Fizyki UO, recenzent czasopisma „Journal of Physics and Chemistry of Solids”, wydawanego przez

prestżowe wydawnictwo Elsevier z Holandii, otrzymał prestiżowy certyfikat „Outstanding Contribution of Reviewers” – za opracowywanie recenzji przyczyniających się do utrzymywania wysokiego standardu czasopism wydawanych przez Elsevier oraz podnoszenia jakości przekazywanych treści. Warto dodać, że prof. dr hab. Włodzimierz Stefanowicz jest autorem pracy naukowej pt. „The influence of topological phase transition on the superfluid density of overdoped copper oxides”, uznanej przez redaktorów czasopisma „Physical Chemistry Chemical Physics” za „Hot Manuskript” w 2017 roku.

Prof. dr hab. Anna Filipczak-Kocur, wieloletni pracownik i nauczyciel akademicki Wyższej Szkoły Pedagogicznej, a od 1994 r. Uniwersytetu Opolskiego, została wyróżniona Nagrodą „Przeglądu Wschodniego” w kategorii: Nagroda Specjalna, za całokształt badań, pracy i twórczości naukowej. „Przegląd Wschodni” jest kwartalnikiem naukowym ukazującym się od 1991 roku. Poświęcony jest dziejom Europy Wschodniej, historii i współczesności Polaków na Wschodzie oraz związków Polski i Polaków z Europą Wschodnią i narodami tego regionu.

Prof. dr hab. Anna Filipczak-Kocur jest badaczem dziejów staropolskiego parlamentaryzmu oraz skarbowości doby panowania Wazów. W Instytucie Historii UO pełniła przez wiele lat obowiązki kierownika studium doktoranckiego oraz kierownika Katedry Historii Nowożytnej.

(b)

NASZ STUDENT LAUREATEM NAGRODY IM. JANA RODOWICZA „ANODY”



Student UO Grzegorz Haliczyn przyjmuje nagrodę z rąk s. Małgorzaty Chmielewskiej (zdjęcie ze strony Muzeum Powstania Warszawskiego)

W Muzeum Powstania Warszawskiego rozdano, już po raz siódmy, Nagrody im. Jana Rodowicza „Anody”, przyznawane osobom, które – tak jak jej patron, Jan Rodowicz „Anoda”, harcerz, porucznik AK, legendarny żołnierz Batalionu „Zośka”, uczestnik akcji pod Arsenałem, kawaler Orderu Virtuti Militari, dwukrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych oraz pośmiertnie Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski – bezinteresownie robią coś dobrego dla innych, a ich postawa może być przykładem dla młodych ludzi.

Za taką postawę członkowie kapituły uznali czyn 22-letniego wówczas **Grzegorza Haliczyna**, studenta Uniwersytetu Opolskiego (dziennikarstwo i komunikacja społeczna, Instytut Politologii), który w listopadzie ubiegłego roku stanął w obronie ukraińskich studentów

zaatakowanych przez pijanego dwudziestolatka. Napastnik rzucił się na niego i dźgnął go nożem, Grzegorzowi udało się jednak go obezwładnić.

Wyboru zwycięzców (trzech, spośród stu zgłoszonych) dokonała Kapituła Nagrody im. Jana Rodowicza „Anody”. W tym roku zasiedli w niej: ks. Andrzej Augustyński, s. Małgorzata Chmielewska, Anna Gołębicka, Jakub Wygnański, Jacek Dębicki, dr Dariusz Karłowicz, Jan Rodowicz, Paweł Łukasiak, płk Piotr Gąstał i Damian Zadebny.

Do czynu Grzegorza Haliczyna z uznaniem odniósł się rektor UO **prof. dr hab. Marek Masnyk** oraz prezydent Opola **Arkadiusz Wiśniewski**, który wręczył młodemu bohaterowi dyplom uznania i nagrodę pieniężną.

BARBARA STANKIEWICZ

ŚWIĘTO UNIWERSYTETU, ŚWIĘTO CHEMII

W przeddzień 24. rocznicy erygowania Uniwersytetu Opolskiego, 9 marca br., w Auli Błękitnej Collegium Maius godność doktora honoris causa naszej uczelni przyjął prof. dr hab. Paweł Kafarski, „chemik, o światowej renomie, biotechnologią zauroczony, a przez to dążący do poznania natury rzeczy” – jak napisano na dyplomie.



Prof. Paweł Kafarski (z lewej) z recenzentem – prof. dr hab. Cyrylem Lechosławem Latos-Grażyńskim

W treści dyplomu tego nie ujęto, warto więc przypomnieć, że prof. dr hab. Paweł Kafarski (Politechnika Wrocławska) jest jako naukowiec mocno związany z Wydziałem Chemii Uniwersytetu Opolskiego – pracuje u nas od 1982 r., wypromował w Opolu siedmiu doktorów.

Podczas uroczystości profesorowi Kafarskiemu towarzyszył prof. dr hab. Cyryl Lechosław Latos-Grażyński z Uniwersytetu Wrocławskiego, jeden z recenzentów jego dorobku (drugi – prof. dr hab. Bernard Lammek z Uniwersytetu Gdańskiego nie mógł przyjechać do Opola), żona Dorota, synowie Krzysztof i Błażej, współpracownicy i przyjaciele z wielu polskich uczelni, m.in. gdańskich i wrocławskich.

Miejsca przeznaczone dla gości zajęli m.in.: Szymon Ogłaza – członek Zarządu Woj. Opolskiego, Hubert Kołodziej, reprezentujący Sejmik Woj. Opolskiego. Obecny był także poseł Antoni Duda oraz przedstawiciele opolskich uczelni oraz dotychczasowi rektorzy Uniwersytetu Opolskiego – prof. Krystyna Czaja i prof. Józef Musielok. Gośćmi uroczystości byli również przedstawiciele opolskich szkół i instytucji kulturalno-oświatowych, szpitali, przedsiębiorstw i urzędów. Wszystkich przywitał, dziękując za przybycie, rektor prof. dr hab. Marek Masnyk, rozpoczynając spotkanie okolicznościowym wystąpieniem. Sporo miejsca poświęcił potrzebie zmian, wynikających z założeń projektu nowej ustawy o szkolnictwie wyż-



Uniwersytet Opolski ma kolejnego doktora honorowego! Na zdjęciu (od lewej): rektor prof. Marek Masnyk, doktor h.c. UO prof. Paweł Kafarski i dziekan Wydziału Chemii prof. Piotr P. Wiczorek

szym, która może być dużym wyzwaniem dla małych, regionalnych uczelni: – Jednym z kluczowych zadań nowej ustawy ma być podniesienie jakości kształcenia oraz przywrócenie wartości dyplomu. (...) Aby tak się stało, musimy jeszcze bardziej postawić na umiędzynarodowienie naszej uczelni, reformę studiów doktoranckich, uaktywnić się w zdobywaniu kolejnych stopni i tytułów naukowych, podejmować odważne, czasem ryzykowne tematy badawcze (...). Ustawa ma służyć podniesieniu poziomu doskonałości dydaktycznej, naukowej, a także organizacyjnej. Współczesna definicja doskonałości naukowej musi odnosić się do konieczności konkurowania z innymi. Jeden z panelistów krakowskiego Kongresu Nauki słusznie zauważył, że doskonałości naukowej nie można osiągnąć, nie można jej nosić dumnie niczym Legii Honorowej, lecz trzeba o nią stale walczyć. To prawda, ale w tej dyskusji o rankingowaniu nie można zapomnieć o aspekcie finansowym – tu uczelnie regionalne stoją na straconej niemal pozycji. Nie jest w stanie tego zrekomensować program Regionalnej Inicjatywy Doskonałości, zapewniający wsparcie finansowe dla uczelni regionalnych – jedna kategoria C, przyznana podczas ostatniej parametryzacji, pozbawia Uniwersytet Opolski

szansy skorzystania z tej oferty (obszerne fragmenty wystąpienia rektora – na str. 22).

Kulminacyjnym punktem uroczystości w Auli Błękitnej było wręczenie tytułu doktora *honoris causa* profesorowi Pawłowi Kafarskiemu, poprzedzone laudacją (str. 25), wygłoszoną przez jego promotora w przewodzie doktorskim – dr. hab. Jacka Lipoka, prof. UO z Katedry Chemii Analitycznej i Ekologicznej Wydziału Chemii UO, który w konkluzji stwierdził: – W przypadku profesora Pawła Kafarskiego, któremu w renesansowym podejściu do nauk o życiu najbliższa jest metodologia chemii, można rzec, iż zasłużył się niezwykle w tworzeniu i studiowaniu nowych bytów chemicznych powstałych ku ludzkiemu pożytkowi, żeby wspomnieć jedynie leki działające jako inhibitory enzymów i herbicydy przyjazne dla środowiska. Dążąc do poznania natury rzeczy i rzeczy tworzących naturę zjawisk chemicznych istotnych dla żywych organizmów; od poziomu molekularnego, poprzez biochemię, fizjologię i behawior, po relacje ekologiczne stworzył prawdziwą szkołę naukową. Szkołę, której udziałem stała się także eksploracja możliwości zastosowania procesów biotechnologicznych do dezaktywacji toksyn środowiskowych oraz do wytwarzania



9 marca br. w Auli Błękitnej Collegium Maius UO

połączeń chemicznych o wysoce korzystnych walorach użytkowych. Warto zaznaczyć, iż w swoich wysiłkach nasz doktor honorowy nie jest osamotniony, gdyż towarzyszą mu współpracownicy, których ujmuje naukową charyzmą, etyką zawodową i godnym postępowaniem.

Po odczytaniu treści dyplomu doktorskiego przez dziekana Wydziału Chemii prof. dr. hab. Pawła Wiczorka prof. dr. hab. Paweł Kafarski przyjął go z rąk rektora UO prof. dr. hab. Marka Masnyka, po czym wygłosił wykład, który zatytułował: „Garść nieporadnych i nieuczestnych myśli na temat wiary, nauki i sztuki”, a rozpoczął słowami: – Jestem przedstawicielem pogranicza nauk ścisłych i biologicznych. Gwałtowny rozwój biotechnologii, którą po trochu reprezentuję, przynosi wiele problemów etycznych i moralnych i, co gorsza, dyscyplina ta jest modelowo postrzegana jako objaw konfliktu między wiarą i nauką (przykładami kontrowersji są tu: edycja genów, komórki macierzyste, organizmy modyfikowane genetycznie, zapłodnienie *in vitro*). Ostatnio sporo czytam na ten temat i widzę raczej eskalację konfliktów pomiędzy nauką, sztuką i wiarą niż próbę znalezienia konsensusu. Taka eskalacja to moim zdaniem wynik strachu przed nieznanym, a czasami nawet prostego braku wiedzy.

Inaczej – jeżeli płytko rozumiemy i naukę, i sztukę, i religię – to może również sam konflikt pomiędzy nimi jest pozorny. Osobiście najbliższe jest mi do poglądu Stevena Golda – że sposoby poznania, jakimi dysponuje człowiek, nie nakładają się na siebie; wiedza ludzka jest polimorficzna, człowiek ma kilka kanałów poznawczych, a głównymi są wiara, nauka i sztuka (wykład – na str. 31).

A później były gratulacje, kwiaty, podziękowania, m.in. od m.in. Szymona Oglazy, członka Zarządu Woj. Opolskiego: – W imieniu całej wspólnoty samorządowej składam panu profesorowi serdeczne gratulacje i podziękowania za pana wkład w naukę polską i opolską, za wieloletnią współpracę najpierw z Wyższą Szkołą Pedagogiczną, a potem Uniwersytetem Opolskim. Uniwersytetowi z kolei gratuluję, że rok jubileuszowy, rok 25-lecia, rozpoczął od wyróżnienia chemika, bo nasz region kojarzy się przecież z chemią.

O oprawę muzyczną uroczystości zadbała grupa wokalna z Wydziału Teologicznego UO pod kierunkiem ks. dr. Joachima Waloszka.

Zdjęcia: **Jarosław Mokrzycki**

MAREK MASNYK

ŚWIĘTO TUŻ PRZED REWOLUCJĄ (obszerny fragment wystąpienia rektora Uniwersytetu Opolskiego z okazji święta uczelni)



Rektor UO prof. Marek Masnyk (fot. Jarosław Mokrzycki)

Od erygowania Uniwersytetu Opolskiego upłynęło niemal ćwierćwiecze, wydaje się, że to niewiele dla uczelni, ale pamiętajmy, i pragnę to przypomnieć, że czerpiemy dziś także z dorobku naszej poprzedniczki, Wyższej Szkoły Pedagogicznej, która zapuściła swoje korzenie w Opolu w 1954 roku. To na solidnych fundamentach jednej z najlepszych wówczas uczelni pedagogicznych w kraju oraz filii Katolickiego Uniwersytetu Opolskiego mógł, przed niespełną ćwierćwieczem, powstać w Opolu uniwersytet. Bez tej wcześniejszej, czterdziestoletniej tradycji akademickiej nie byłoby to możliwe.

Dzisiejsze święto Uniwersytetu Opolskiego ma charakter zupełnie wyjątkowy. Inaugurujemy bowiem rok jubileuszowy naszej uczelni; będziemy obchodzić jej 65-lecie, w tym ćwierćwiecze w formule uniwersyteckiej (...). To wyjątkowa okazja, by oddać hołd naszym poprzednikom i naszej przeszłości. (...) Rok jubileuszowy to z pewnością wyjątkowa refleksja nad czasem minionym, nie zabraknie też okazji, by wzniośle, a może i nieco patetycznie, wyrażać poczucie dumy z naszych osiągnięć, a jednocześnie deklarować wolę nieustannej pracy na rzecz jego rozwoju. To prawda, ale zachęcałbym raczej do poszukiwania odpowiedzi na pytanie,

czym jest – dla mnie, dla Ciebie, dla nas wszystkich, Uniwersytet Opolski, jaka jest nasza w nim rola, co możemy jeszcze zrobić, by uczynić go lepszym i lepiej przygotowanym na nadchodzące trudne zmiany (...).

Chcemy, aby nasz Uniwersytet nadal rozwijał się dynamicznie, ale też pewnie, czyli w warunkach stabilności finansowej. Pamiętajmy, że to jednak głównie od nas zależy, jak będzie wyglądał nasz uniwersytet za rok, dwa, lat pięć, dziesięć i więcej. Czy będzie on jedynie zawodową uczelnią, spełniającą wyłącznie aspiracje niewielkiej grupy interesariuszy, czy też będzie uczelnią, która powoli i systematycznie zmniejsza dystans do najlepszych uczelni w kraju. Czy zdołamy stworzyć warunki do kreowania mechanizmów, dzięki którym nasz potencjał naukowo-badawczy i dydaktyczny będzie akceleratorem rozwoju miasta i regionu w sferze społecznej, kulturowej i gospodarczej. Ramy tego procesu zakreślone zostały w projekcie Ustawy 2.o. Jego druga, poprawiona wersja, została zaprezentowana przed dwoma miesiącami. Jaki będzie ostateczny kształt nowej ustawy, nie wiemy. Nie wchodząc w spekulacje, czy na etapie prac w komisjach sejmowych zostanie nieznacznie jeszcze poprawiona, wychodząc w ten sposób naprzeciw postulatowi zgłaszanemu przez małe, regionalne uczelnie, czy też zostanie z powodów pozamerytorycznych całkowicie zdemolowana, jako mała, regionalna uczelnia – musimy się do tych zmian odpowiednio przygotować.

Jednym z kluczowych zadań nowej ustawy ma być podniesienie jakości kształcenia oraz przywrócenie wartości dyplomu. (...) Aby tak się stało, musimy jeszcze bardziej postawić na umiędzynarodowienie naszej uczelni, reformę studiów doktoranckich, uaktywnić się w zdobywaniu kolejnych stopni i tytułów naukowych, podejmować odważne, czasem ryzykowne tematy badawcze (...). Ustawa ma służyć podniesieniu poziomu doskonałości dydaktycznej, naukowej, a także organizacyjnej. Współczesna definicja doskonałości naukowej musi odnosić się do konieczności konkurowania z innymi. Jeden z panelistów krakowskiego Kongresu Nauki słusznie zauważył, że doskonałości naukowej nie można osiągnąć, nie można jej nosić dumnie niczym Legii Honorowej, lecz trzeba o nią stale walczyć. To prawda, ale w tej dyskusji o rankingowaniu nie można zapomnieć o aspekcie finansowym – tu uczelnie regionalne stoją na straconej niemal pozycji. Nie jest w stanie tego zrekomensować program Regionalnej Inicjatywy Doskonałości, zapewniający wsparcie finansowe dla uczelni regionalnych – jedna kategoria C,

przyznana podczas ostatniej parametryzacji, pozbawia Uniwersytet Opolski szansy skorzystania z tej oferty.

Dużo emocji w środowisku akademickim budziła, i budzi nadal, kwestia autonomii uczelni oraz nowej organizacji struktury szkolnictwa wyższego. (...) Gwarantem autonomii ma być podniesienie rangi statutu, który określi wewnętrzną strukturę uczelni oraz najważniejsze przepisy dotyczące jej działania. Zwiększenie autonomii oznacza jednocześnie poszerzenie odpowiedzialności poszczególnych wspólnot akademickich. Przed nami więc zadanie wypracowania własnego modelu wewnętrznej struktury, która jednak w pewnym sensie jest sformatowana, tzn. pojawia się konieczność jej dostosowania do ewaluacji – poprzez dyscypliny i dziedziny. Najbardziej rewolucyjnym składnikiem tego projektu – oprócz powołania rady uczelni – jest likwidacja wydziałów jako podstawowych jednostek organizacyjnych. Owszem, z szacunku dla tradycji i przywiązania do pewnych rozwiązań możemy trwać w strukturze wydziałowej, ale nie zmienia to faktu, że 30 IX 2019 roku przestaną funkcjonować dziekani jako jednoosobowe organy władzy wykonawczej, jeszcze tylko przez rok zarządzający wydziałem.

Wiele emocji wzbudza też propozycja powołania rady uczelni. Nie wchodząc w szczegóły: warto sobie zadać pytanie, czy jest to krok w stronę zwiększenia autonomii uczelni, czy też wyraz braku wiary w to, że uczelnie potrafią samodzielnie decydować o pewnych obszarach. Jeśli jednak, mimo wielu obaw i zastrzeżeń, nowa ustawa da nam dużą swobodę, to powinniśmy z niej skorzystać we właściwy sposób. Stąd też patrzę na potencjalnie nową strukturę uniwersytetu z radością, ale i z niepokojem. Będę namawiał nasze środowisko, by z tej możliwości skorzystać, nie dając sobie narzucić z zewnątrz żadnych rozwiązań naruszających naszą autonomię, którą szanujemy, do której jesteśmy przywiązani i która jest dla nas jedną z najważniejszych wartości. (...) Rada uczelni, jak każdy organ umocowany na zewnątrz lub przy udziale czynnika zewnętrznego, może być postrzegana jako próba ingerencji, żeby nie powiedzieć: próba wrogiego przejęcia. Ten lęk wynika tak z doświadczeń historycznych, jak i po trosze z kultury politycznej. Myślę jednak, że potrafimy wspólnie wykorzystać to doświadczenie, dostosować się do nowego systemu, tworząc coś, w czego sens wierzymy. Jeśli uniwersytet, wychodząc z przysłowiowej wieży z kości słoniowej, chce się otoczyć partnerami zewnętrznymi, to ma też prawo oczekiwać

pomocy i wsparcia dla tego procesu. Jeśli nowa konstytucja ma być szansą dla całego środowiska akademickiego, ma podnieść poziom badań i edukacji w naszym kraju, to mamy też prawo oczekiwać od rządzących zwiększenia nakładów na naukę i szkolnictwo wyższe, nieśmiało przypominając o podjętych zobowiązaniach podczas akcesji Polski do Wspólnoty Europejskiej w 2004 roku (...).

Te moje spostrzeżenia i jubileuszowe refleksje nie powinny jednak odwracać naszej uwagi od najważniejszego wydarzenia dzisiejszego święta uniwersyteckiego. Stało się już niemal tradycją, że tego dnia obdarzamy najwyższą godnością uniwersytecką osobę szczególnie zasłużoną dla naszego uniwersytetu. Na granitowej tablicy w wejściu do Collegium Maius widnieją nazwiska 45 osób, którym nadaliśmy tę godność. Listę otwiera prof. Bogdan Suchodolski, wybitny polski filozof, historyk nauki i kultury, pedagog, profesor dwóch ważnych dla polskiej nauki uniwersytetów; Jana Kazimierza we Lwowie i Uniwersytetu Warszawskiego. W październiku ubiegłego roku listę tę domknął wybitny polski lekarz prof. dr hab. Franciszek Kokot. Mówiłem też wówczas, że dotychczasowi doktorzy *honoris causa* Uniwersytetu Opolskiego w pewnym sensie dają satysfakcję zwolennikom dwóch modeli, wyznaczających kryteria, wedle których przyznaje się tę godność. Pierwszy model mówi, że zaszczyt ten i honor spływać winien na osoby o dużym dorobku naukowym w zakresie uprawianej dyscypliny, a kandydat do tego zaszczytu powinien legitymować się także związkami z uczelnią, która ten tytuł nadaje. Inni zaś powiadają, że uniwersytet, zgodnie ze swoim charakterem, otwierać się powinien również na osoby spoza świata nauki, dostrzegając i doceniając ich aktywność i osiągnięcia w sferze literatury, muzyki, sztuki, a także i polityki.

Kryteria zwolenników tego pierwszego modelu z ogromną nawiązką wypełnia Profesor Paweł Kafarski – uczony o wybitnym dorobku naukowym, legitymujący się nadto związkami z uczelnią, która ten tytuł mu nadaje, o czym zawsze pamiętaliśmy i tę wdzięczność, wzajemną, jak sądzę, w ten właśnie sposób okazujemy.

JACEK LIPOK

UCZEŃ MISTRZÓW, MISTRZ UCZNIÓW

(laudacja wygłoszona z okazji nadania prof. dr. hab. Pawłowi K. Kafarskiemu tytułu doktora *honoris causa* Uniwersytetu Opolskiego)



Prof. Jacek Lipok, promotor w przewodzie doktorskim prof. Pawła Kafarskiego (fot. Jarosław Mokrzycki)

Kiedy przypadł mi w udziale zaszczyt przygotowania laudacji na cześć Pana Profesora Pawła Kafarskiego, Doktora *honoris causa* Uniwersytetu Opolskiego, który jako pierwszy chemik dołączył do znakomitego grona Doktorów Honorowych *Alma Mater Opoliensis*, wyobraziłem sobie, że wobec znaczącego zbioru informacji o bohaterze dzisiejszego święta, które posiadam i tych, które zdobędę, nie powinno to być zbyt trudne zadanie.

Cóż bowiem trudnego może być w przygotowaniu laudacji bohatera licznych wzmianek encyklopedycznych i almanachów; wybitnego chemika i biotechnologa zajmującego się chemią organiczną, bioorganiczną, ekologiczną, medyczną, a także chemią produktów naturalnych. Autora ponad trzystu publikacji naukowych

o zasięgu światowym, którego prace cytowano już blisko pięć tysięcy razy. Znakomitego wykładowcy, promotora kilkudziesięciu prac doktorskich, kilkuset magisterskich, inżynierskich i licencjackich. Nauczyciela akademickiego, którego grono wychowanków uzyskało już tytuły profesorów i prowadzi własne zespoły badawcze. Inicjatora i kierownika wielu projektów naukowych finansowanych przez MNiSW, odpowiednie agendy Komisji Europejskiej czy Departament Obrony USA. Eksperta gremiów krajowych i europejskich. Kierownika grupy badawczej funkcjonującej w dwóch ośrodkach akademickich; w przeszłości zastępcy dyrektora Instytutu Chemii Wydziału Matematyki Fizyki i Chemii UO ds. Agrobiologii, dyrektora Instytutu Chemii Organicznej i Fizycznej,

a później prodziekana i dziekana Wydziału Chemicznego Politechniki Wrocławskiej. Wiceprezesa, a przez dwie kadencje prezesa Polskiego Towarzystwa Chemicznego.

Cóż trudnego w przygotowaniu laudacji po lekturze wnikliwych ocen dorobku Profesora Pawła Kafarskiego, przeprowadzonych przez znakomitych Recenzentów.

Cóż może być trudnego w przedstawieniu Osoby, o której informacje pojawiają się ponad 144 tysiące razy po wprowadzeniu Jej imienia i nazwiska, w odpowiednie pole wyszukiwarki internetowej; badacza, którego tak zwane „dane scjentometryczne”, wygenerowane przez tematyczne bazy danych, prawdziwie imponują odpowiednimi wartościami. Czy może sprawić kłopot opisanie twórcy szkoły naukowej, z którą jest się związanym bez mała przez całe swoje zawodowe życie?

Wspomnienie pewnej zasady towarzyszącej naszym naukowym dociekanom, w myśl której rzeczy proste i najbardziej oczywiste rzadko są takimi w istocie, sprawiło, że krótkotrwała euforia pod hasłem „cóż trudnego”, zniknęła bezpowrotnie, ustępując miejsca pytaniu: „Jak opisać Osobę i dokonania dzisiejszego Doktora Honorowego, stroniąc z jednej strony od encyklopedyczne go schematu, z drugiej zaś od panegiryzmu?”. Pytaniu stawianemu przez kogoś, kto zwykł studiować naturę zjawisk występujących w świecie przyrody, a przez to świadomego ograniczeń możliwości ich objaśniania. Usiłując sprostać wyzwaniu, podejmuję próbę opisu zjawiska unikatowego, w tej to bowiem kategorii, posiłkując się słownikiem języka polskiego, odważyłem się przybliżyć Państwu Osobę Pana Profesora Pawła Kafarskiego.

Z Gdańska, przez Zieloną Górę, do Wrocławia

Wojenna zawierucha sprawiła, że nie Wilno lub Czortków, ale Gdańsk stał się miejscem urodzenia bohatera dzisiejszego święta. Przyszedł na świat 13 stycznia 1949 roku jako zodiakalny Koziorożec, urodzony w Roku Smoka według kalendarza chińskiego. Pozwolę sobie sformułować tezę, iż – poza silnymi osobowościami Rodziców i pozostałych najbliższych krewnych oraz Jego późniejszych Mistrzów – zarówno miejsce, jak i astralny czas urodzenia Doktora, nie pozostały bez wpływu na Jego dalsze losy. Miasto Gdańsk, ówczesne okno na świat odbudowującego się kraju, a równocześnie gród, w którego zaułkach wciąż unosił się delikatny werbel blaszanego bębenka, najbliżsi troszczący się o przyzwoite wychowanie Pawła i Jego siostry, atmosfera gdańskiego Wrzeszcza, seanse filmowe w nieistniejącym już kinie „Bajka” i edukacja szkolna, któ-

rą rozpoczął jako sześciolatek, tworzyły niepowtarzalny klimat dzieciństwa.

Los sprawił, że nie tylko wiatr od morza i aura Gdańska, ale także specyfika tak zwanych Ziemi Odzyskanych, miały swój niezbywalny udział w młodzieńczym dorastaniu Pawła.

W roku 1958 przeprowadził się z Rodzicami do Zielonej Góry – miasta, w którego herbie widnieje otwarta brama. Tak wyrażonemu zaproszeniu do zamieszkania na Dolnym Śląsku profesor Kafarski do dzisiaj nie odmawia. Na przełomie lat 50. i 60. poprzedniego stulecia zdecydowana większość mieszkańców Zielonej Góry wywodziła się z różnych regionów i różnych środowisk przedwojennej Rzeczypospolitej. Wielu spośród nich wciąż poszukiwało swojego miejsca na Ziemi, inni podejmowali decyzję o zapuszczeniu korzeni w tym urokliwym i jednym z najcieplejszych zakątków Dolnego Śląska. Ośmioletni okres zielonogórski był czasem intensywnej edukacji Pawła, uczęszczającego do starszych klas szkoły podstawowej, a potem ucznia Liceum Ogólnokształcącego im. Edwarda Dembowskiego. W tym czasie rozwijały się także Jego fascynacje muzyką i pragnienie odkrywania nowych obszarów wiedzy. Kształtowały się również charakterystyczne dla Niego otwartość i empatia, naturalne w środowisku tak różnorodnym pod względem życiowych wartości i doświadczeń. Jedną z poważnych pasji Pawła była historia, a szczególnie archeologia, którą był autentycznie zafascynowany. Niebagatelny wpływ miał na to nauczyciel historii w klasach licealnych – dr Zbigniew Czarnuch, którego prof. Kafarski przy każdej stosownej okazji wymienia wśród swoich Mistrzów. Jednakże żywy kontakt z tworzeniem „prawdy historycznej” pod doraźne potrzeby polityczne, którego doświadczył tuż po ukończeniu liceum, latem 1966 roku, w trakcie obozu archeologicznego w Starym Kisielinie, sprawił, że nie podjął studiów w tym kierunku.

Wybrał inną dziedzicę, która promuje wyobraźnię i zapewnia miarodajną weryfikację dociekań.

Jesienią 1966 roku Paweł Kafarski został przyjęty na Wydział Chemiczny Politechniki Wrocławskiej gdzie, jak wspomina, prowadzącym pierwszy wykład dla nowo przyjętych adeptów chemii był profesor Włodzimierz Trzebiatowski. Wszystkim, którzy kiedykolwiek zgłębiali chemię, postaci i dokonania ówczesnych wykładowców Politechniki – profesora Trzebiatowskiego, jego żony profesor Bogusławy Jeżowskiej-Trzebiatowskiej, profesorów Krzysztofa Pigionia, Zdzisława Ruzewicza oraz Przemysła-

wa Mastalerza – z pewnością nie trzeba przybliżać.

Wolne od nauki chwile student Paweł Kafarski spędzał nie tylko na zebraniach Koła Naukowego Chemików, ale również na górskich szlakach Sudetów, gdzie odnalazł „w duszy granie”, które towarzyszy mu od półwiecza. Ogólnopolska Turystyczna Giełda Piosenki Studenckiej, którą przez dziesięciolecia współtworzył, od momentu swego zaistnienia była wydarzeniem niezwykłym. Nie tylko dlatego, że wielu znakomitych bardów rozpoczynało swoją muzyczną karierę na prostej drewnianej scenie w bazie „Pod Ponurą Małą”, uroczej górskiej łące w zakolu Szklarki – dziś jednej z turystycznych atrakcji Szklarskiej Poręby. Było to miejsce, w którym młodzi ludzie, nieoddający hołdów komercji, biesiadowali z Erato, Melpomeną, Polihymnią i Kaliopie, lekce sobie ważąc kaganiec cenzury.

Powrót do sal wykładowych i laboratoriów nie oznaczał zakończenia przygody. Niesłabnące po dzień dzisiejszy zainteresowanie Profesora Pawła Kafarskiego tworzeniem nowych bytów chemicznych, które w przewidywalny sposób wpływają na funkcjonowanie żywych organizmów, sprawiło, że najbliższym mu zagadnieniem stała się synteza aktywnych biologicznie fosforowych pochodnych aminokwasów, którą to tematykę proponował profesor Przemysław Mastalerz. Uczony ten został promotorem prac magisterskiej i doktorskiej oraz mentorem akademickim dzisiejszego Doktora Honorowego. To druga, obok dra Zbigniewa Czarnucha, postać Mistrza, często przywoływana przez Profesora Kafarskiego.

Tuż po ukończeniu studiów magisterskich w roku 1971 mgr inż. Paweł Kafarski został przyjęty na stanowisko asystenta, a rok później został skierowany na nowo otwarte studia doktoranckie. W trakcie tych studiów, w roku 1975, wyjechał na dziewięciomiesięczny staż na Marquette University w Milwaukee (USA), gdzie w laboratorium prof. Sheldona E. Cremera realizował badania spoza zakresu pracy doktorskiej. Tamże przyszło mu zweryfikować (co ważne – z sukcesem) wartość wiedzy i umiejętności wyniesionych z murów macierzystej uczelni. Nie uniknął jednak swoistego zderzenia światów, gdyż o ile w pełni akceptowano wyniki Jego pracy badawczej, o tyle informację o permanentnym braku soku pomarańczowego, nawet w największych wrocławskich sklepach spożywczych, przyjmowano z głęboką niewiarą.

Po powrocie ze stażu, w roku 1977, obronił pracę doktorską pod tytułem „Synteza peptydów kwasów aminofosfonowych”, przygotowaną pod opieką prof. Przemysława Mastalerza. W tym samym roku został za-

trudniony na macierzystym wydziale na stanowisku adiunkta. Jak wspomina Profesor Kafarski, Jego dalsza kariera naukowa przebiegała typowo. Przed habilitacją (stopień doktora habilitowanego uzyskał w 1990 roku) dr Paweł Kafarski wyjechał na staż fundowany przez rząd Francji w Ecole Nationale Supérieure de Chimie w Montpellier. Staż ten był początkiem długiej i owocnej współpracy z tą uczelnią inżynierską. W 1998 roku dr hab. inż. Paweł Kafarski uzyskał tytuł profesora, a wkrótce po tym wydarzeniu został zatrudniony na stanowisku profesora zwyczajnego.

Wrodzone dążenie do działania spowodowało, że zawsze aktywnie uczestniczył w życiu macierzystej uczelni – Politechniki Wrocławskiej, pełniąc wiele funkcji. Pytany, twierdzi, że Jego kariera była w tej materii typowa – był dyrektorem Instytutu Chemii Organicznej i Fizycznej, prodziekanem i dziekanem Wydziału Chemicznego, przez dwie kadencje (w tym jedna niepełna zakończona stanem wojennym) członkiem Senatu Politechniki Wrocławskiej, a od 1992 roku kieruje Zakładem Chemii Bioorganicznej.

Światowej sławy chemik

Charakteryzując swoje zainteresowania naukowe, Profesor Paweł Kafarski wyodrębnia kilka ich nurtów, dominujących w różnych okresach Jego kariery. Pierwszą tematyką badawczą była synteza i badanie właściwości fizjologicznych fosfonowych mimetyków peptydów. Kontynuacją tych badań było projektowanie (w późniejszym okresie wspomagane metodami komputerowymi), synteza i badania właściwości chemicznych (struktura konformacji, kompleksy metali) oraz aktywności biologicznej kwasów aminofosfonowych – mimetyków aminokwasów i peptydów. Szczególnie dużo uwagi poświęcił projektowaniu inhibitorów wybranych enzymów w nadziei, że uda się w ten sposób uzyskać leki przeciw chorobom cywilizacyjnym, takim jak: nowotwory, malaria, wrzody żołądka czy gruźlica. W ostatnich latach intensywnie poszukuje nowego środka przeciw osteoporozie i warto wspomnieć, iż jeden spośród ponad 200 otrzymanych aminometylenobisfosfonianów wykazał obiecujące właściwości w badaniach przedklinicznych na owcach. Komplementarnym nurtem badań prof. Pawła Kafarskiego jest śledzenie losu ksenobiotyków fosfonoorganicznych w ekosystemach, a szczególnie identyfikacja ścieżek biodegradacji tych związków przez grzyby strzępkowe i cyanobakterie. Od pewnego czasu, wraz z grupą ba-

daczy z Uniwersytetu Opolskiego, interesuje się żywo poszukiwaniem markerów chemicznych miodów odmianowych. Badania te, mieszczące się w nurcie autentykacji żywności, mają w pewnym sensie znaczenie społeczne, gdyż jednym z ich celów jest próba stworzenia skutecznego systemu wykrywania zafałszowań sprzedawanych miodów.

Opowiadając o badaniach naukowych, co czyni szczególnie chętnie zapraszany przez młodych adeptów nauki na liczne konferencje, mawia, że w nauce potrzebna jest kreatywna odwaga, by opuszczać utarte ścieżki wiedzy, i odrobina szaleństwa, by wbrew przeciwnościom na ścieżki te nie powracać. Docenia też rolę szczęścia jako istotnego czynnika odkryć naukowych, podkreślając, że sprzyja ono częściej tym, którzy o te odkrycia mądrze zabiegają. Biorąc pod uwagę osiągnięcia naukowe Doktora Honorowego, można pokusić się o stwierdzenie, iż w przedsięwzięciach, w których uczestniczy, wyobraźnia, odwaga, szaleństwo i szczęście odkrywcy występują we właściwych proporcjach.

Wiele projektów badawczych prof. Paweł Kafarski realizował – i nadal to czyni – we współpracy z licznymi jednostkami naukowymi w kraju i za granicą. Najefektywniejsze i najdłuższe badania prowadził z grupami prof. Giuseppe Forlaniego z Uniwersytetu w Ferrarze, prof. Jeana-Luca Pirata z École Nationale Supérieure de Chimie de Montpellier, prof. Erica Oldfielda z Uniwersytetu w Chicago oraz z zespołem prof. Johna Daltona z politechniki w Sydney. Jest naturalnym, że prace badawcze prowadzone w obszarze zainteresowań Profesora Kafarskiego wymagają finansowania, wobec czego usilnie stara się je – dodam, że z sukcesem – pozyskiwać. Takiego podejścia uczy również swoich współpracowników i wychowanków, nigdy nie odmawiając pomocy. Dzięki świeżości pomysłów badań i skuteczności w pozyskiwaniu funduszy uczestniczył w realizacji wielu projektów badawczych, a w przynajmniej piętnastu finansowanych przez Narodowe Centrum Nauki (NCN; wcześniej Komitet Badań Naukowych – KBN) i trzech subsydiowanych przez Narodowe Centrum Badań i Rozwoju (NCBiR) był kierownikiem. Wśród wspomnianych projektów zdarzały się też te duże, jak na przykład jeden z pierwszych zamawianych projektów rządowych „Nowe agrochemikalia przyjazne dla środowiska” czy grant POIG „Biotransformacje użyteczne w przemyśle farmaceutycznym i kosmetycznym” oraz realizowany w firmie AlgaeLabs i na Wydziale Chemii Uniwersytetu Opolskiego projekt NCBiR „Pozyskiwa-

nie metabolitów wtórnych z mikroalg i cyanobakterii w oparciu o zautomatyzowany system fotobioreaktorów”.

Jego aktywne działania na rzecz środowiska polskich chemików sprawiły, że przez jedną kadencję był wiceprezesem, a przez dwie kadencje prezesem Polskiego Towarzystwa Chemicznego. Był i jest członkiem Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów Naukowych, a przez kilka kadencji był członkiem Komitetów Chemii i Biotechnologii Polskiej Akademii Nauk. Jest członkiem Polskiej Akademii Umiejętności. Dzięki swej międzynarodowej renomie prof. Paweł Kafarski aktywnie działa również na forum europejskim – jako lider jednej z grup badawczych w programie COST (CNo802) „European Phosphorus Science Network – PhoSciNet” oraz jako ekspert oceniający projekty składane w ramach europejskiego programu „ERA Net-Biotechnology”. Był organizatorem polskiej edycji cyklicznej konferencji o zasięgu światowym „18th International Conference on Phosphorus Chemistry – ICPC 2010”, która odbyła się we Wrocławiu. Jest członkiem międzynarodowego komitetu opiniującego nadanie nagrody A. E. Arbuzowa przez prezydenta Republiki Tatarstanu w Rosji. Nagroda ta jest najwyższym odznaczeniem międzynarodowym, przyznawanym chemikom zajmującym się chemią związków fosforu.

Opracowanie, w którym do omówienia dorobku naukowego prof. Pawła Kafarskiego wykorzystano dane liczbowe, mogłoby zawierać następujące informacje: współautor ponad 300 publikacji, które są cytowane w światowej literaturze naukowej blisko pięć tysięcy razy (bez autocytoowań), indeks Hirscha Jego prac wynosi 35. Jedną z Jego prac cytowano prawie 850 razy (P. Kafarski, B. Lejczak, *Phosphorus, Sulfur, Silicon and Related Elements*, 1990), inną – ponad 300, a kilka – blisko 100 razy. Wśród Jego prac znaleźć można 4 monografie, 22 rozdziały w książkach oraz dwie prace zbiorowe pod Jego redakcją. Opatentował 13 wynalazków, recenzował też blisko 350 artykułów naukowych. Pracuje w komitetach wydawniczych czasopism: „Anticancer Agents in Medicinal Chemistry” (Bentham, IF=2,97) i „Materials Science Poland” (Politechnika Wrocławska, IF=0,59). Profesor Kafarski wypromował 37 doktorów, w tym 7 na Uniwersytecie Opolskim, a 5 na uczelniach zagranicznych: 3 we współpracy z Uniwersytetem w Montpellier, jednego na Uniwersytecie Kraju Basków w Vitorii i jednego w Katholieke Hogeschool Sint-Lieven (obecnie Odisee University College) w Gandawie. Pięcioro Jego doktorantów zostało już profesorami – trzech na Politechnice Wrocławskiej i po

jednym na University of Queensland (Brisbane) oraz na University of Michigan (Ann Arbor). Recenzował 37 wniosków profesorskich, 3 wnioski o nadanie tytułu doktora *honoris causa*, 23 habilitacje oraz 59 doktoratów (w tym 6 zagranicznych – francuskie, hiszpański i hinduski).

Liczne kontakty międzynarodowe doskonale odzwierciedlają kolejną pasję bohatera dzisiejszego święta – podróże. Niekoniecznie jednak te, które odbywa z racji podjętych zobowiązań (z wyłączeniem trasy Wrocław–Opole, mam nadzieję), a te, w które udaje się w towarzystwie swojej żony Doroty – geografki z wykształcenia i z pasji. Preferuje miejsca, których próżno szukać w bedekerze. Miejsca i ludzi utrwała na fotografiach, które później stanowią tło prowadzonych przez Profesora Kafarskiego relacji z podróży, na które daje się czasem namówić w ramach wykładowego objaśnienia świata.

Dydaktyka jest kolejną pasją Profesora Pawła Kafarskiego. Dotyczy to zarówno bezpośrednich form przekazywania wiedzy, jak wykłady, seminaria, dyskusje i wystąpienia konferencyjne, jak i podręczników, których jest współautorem. Do kanonu lektur studiów na pograniczu chemii i biologii weszły wydane przez PWN podręcznik akademicki pt. „Chemia bioorganiczna”, który napisał wspólnie z profesorem Barbarą Lejczak, oraz dwa podręczniki uczelniane przygotowane wspólnie z prof. Piotrem Wieczorkiem – pierwszy wydany jeszcze przez oficynę wydawniczą Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, drugi przez Wydawnictwo Uniwersytetu Opolskiego. Traktując zawsze z pełnym szacunkiem słuchaczy swoich wystąpień, stara się nawet najbardziej złożone problemy objaśniać w sposób dostosowany do możliwości percepcyjnych audytorium, nie stroniąc od merytorycznych, lecz zabawnych i skrzących się erudycją dykteryjek, co zjednuje mu rzesze słuchaczy nie tylko w ośrodkach, w których prowadzi zajęcia dydaktyczne. Jakże często zdarza się, że młodzi badacze (studenci, doktoranci) zainteresowani nowościami w obszarze studiów, prowadzonych przez Doktora Honorowego, zapraszają go na lokalne sympozja. Nie słyszałem, by kiedykolwiek odmówił, o ile tylko nie kolidowało to z wcześniejszymi zobowiązaniami, nawet jeżeli spotkanie odbywało się w odległej miejscowości, a podróż zajmowała wiele godzin. Jedyną nagrodą za ten trud jest rozbudzona w młodych ludziach pasja odkrywania świata.

Co do formalnych nagród i wyróżnień, to prof. Paweł Kafarski nie otrzymał zbyt wielu tego rodzaju dowodów atencji. Znany jest zresztą z tego, że nie zabiega o zaszczy-

ty i nie uchyla się od nawet najbardziej niewdzięcznych obowiązków. Do najważniejszych i najbardziej cenionych wyróżnień zalicza: Medal im. Jędrzeja Śniadeckiego przyznany w roku 2016 przez Polskie Towarzystwo Chemiczne – jako najważniejsze wyróżnienie dla chemika stale pracującego w Polsce – za wybitne osiągnięcia naukowe o światowym znaczeniu w chemii; Medal Jana Hanuśa przyznany przez Czeskie Towarzystwo Chemiczne; Medal Włodzimierza Trzebiatowskiego (Jego pierwszego akademickiego wykładowcy) przyznany przez Politechnikę Wrocławską i członkostwo honorowe Słowackiego Towarzystwa Chemicznego. Bardzo sobie ceni również subsydlum profesorskie MISTRZ, przyznane przez Fundację na rzecz Nauki Polskiej.

Opolski epizod długości 170 000 km

Zaangażowany od 1982 roku w tworzenie unikatowej specjalności agrobiocemii na kierunku chemia prowadzonym w Instytucie Chemii ówczesnego Wydziału Matematyki, Fizyki i Chemii Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, z początkiem roku akademickiego 1984/85 dr Paweł Kafarski rozpoczął zajęcia dydaktyczne z chemii bioorganicznej. Dzisiaj, po przebyciu na trasie Wrocław–Opole drogi odpowiadającej ponadczterokrotnemu okrążeniu naszej planety, z perspektywy trzydziestu pięciu lat aktywnej obecności w środowisku opolskich chemików i współtworzenia opolskiej chemii w jej obecnym kształcie, trudno sobie wyobrazić, że miał to być jedynie przejściowy epizod, spowodowany czasowym zakazem prowadzenia zajęć dydaktycznych na Jego macierzystej uczelni – Politechnice Wrocławskiej. Zakazem tym władze Politechniki ukarały dr. Pawła Kafarskiego za zaangażowanie w szerzenie idei „Solidarności” i współtworzenie struktur Związku w regionie. Zatem również burzliwym czasem stanu wojennego oraz przychylności ówczesnych władz Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, Wydziału Matematyczno-Fizyczno-Chemicznego, a szczególnie prof. Barbary Rzeszotarskiej – dyrektor Instytutu Chemii, zawdzięczamy możliwość obchodzenia dzisiejszego święta.

Jako badacz i dydaktyk zajmujący się chemią bioorganiczną, związany od początku z opolską agrobiocemią, stworzył kilkanaście programów kursów dydaktycznych, z których kilka – nieustannie doskonalonych, realizuje po dzień dzisiejszy na nowych specjalnościach (chemia biologiczna, chemia kosmetyczna), prowadzonych obecnie na Wydziale Chemii UO. Pracując w Opolu, Profesor

Paweł Kafarski zainicjował wiele tematów badawczych, które stały się wyróżnikiem opolskiej chemii uniwersyteckiej i pozwoliły na usamodzielnienie się grona Jego współpracowników. Od kilkunastu lat kieruje projektami badawczymi, realizowanymi także w Opolu przez opolskich chemików, intensywnie i skutecznie zabiegając o finansowanie tych projektów ze źródeł zewnętrznych. Jego zaangażowanie w sprawy związane z opolską chemią sprawia, że w wielu gremiach postrzegany jest jako uczonej reprezentujący dwie jednostki naukowe – macierzysty Wydział Chemiczny Politechniki Wrocławskiej oraz Wydział Chemii Uniwersytetu Opolskiego. Efekty tej dwiowości wskazują, że w tym konkretnym przypadku takie postępowanie może być korzystne dla obu jednostek.

Nie jest przesadą stwierdzenie, że swoim uczestnictwem w dydaktyce i badaniach naukowych opolskiej chemii Profesor Paweł Kafarski intensywnie współtworzył ten obszar aktywności akademickiej naszego środowiska. Zabiega też o jego uznanie na forum ogólnopolskim i europejskim. Tylko do dnia dzisiejszego wypromował blisko czterdzieści magistrów, siedmiu doktorów i merytorycznie wspierał aspiracje grona obecnie samodzielnych pracowników naukowych Wydziału Chemii. Ponad siedemdziesiąt publikacji zamieszczonych w czasopiśmie z tzw. listy filadelfijskiej, w których podaje afiliację uczelni opolskiej, jest tego niezbywalnym dowodem. Co ważne, Profesor Kafarski nie ustaje w tych wysiłkach, zatem podane wcześniej dane z pewnością przestaną być aktualne.

Dynamizm podejmowanych przez Niego działań sprawił, że przez niemal dekadę kierował pracami grupy badawczej funkcjonującej w dwóch ośrodkach, którą tworzyły zespół na Wydziale Chemicznym Politechniki Wrocławskiej – aktualny Zakład Chemii Bioorganicznej, oraz zespół na Wydziale Matematyki, Fizyki i Chemii Uniwersytetu Opolskiego – dawny Zakład Chemii Ekologicznej, obecnie Katedra Chemii Analitycznej i Ekologicznej. Kierując pracami obu zespołów, na co dzień udowodniał, że przywództwo rozumiane jako służenie radą i pomocą pozytywnie motywowanym współpracownikom, poparte okazywaną wiarą w ich możliwości, przynosi najlepsze owoce. Mam głęboką nadzieję, że nasze koleżanki i koledzy z Wydziału Chemicznego Politechniki Wrocławskiej podzielają tę opinię. Ufam również, że przychylią się do stwierdzenia, iż w dążeniach podejmowanych wspólnie ku poznaniu natury rzeczy i wyjaśnianiu istoty zjawisk chemicznych w świecie przyrody, Profesor Paweł Kafar-

ski zawsze wierny jest głęboko humanistycznej zasadzie wyrażonej przez Immanuela Kanta słowami: „Postępuj tak, byś człowieczeństwa tak w swojej osobie, jako też w osobie każdego innego, używał zawsze zarazem jako celu, nigdy tylko jako środka”. Dzięki tak wypełnianej roli lidera i niezwyklej otwartości Jego liczni współpracownicy i wychowankowie są dzisiaj samodzielnymi pracownikami naukowymi i liderami grup badawczych w kraju i poza jego granicami. W ten sposób rzeczywistych kształtów nabiera głoszonej przez Niego poglądu dotyczącego naukowego prowincjonalizmu, którego przyczyn słusznie upatruje nie w geograficznej lokalizacji ośrodka, a w sposobie uczestniczenia w nauce.

Zmierzając do konkluzji laudacji, wypada syntetycznie ująć zasługi jej Adresata. W przypadku Profesora Pawła Kafarskiego, któremu w renesansowym podejściu do nauk o życiu najbliższa jest metodologia chemii, można rzec, iż zasłużył się niezwyklej w tworzeniu i studiowaniu nowych bytów chemicznych powstałych ku ludzkiemu pożytkowi, żeby wspomnieć jedynie leki działające jako inhibitory enzymów i herbicydy przyjazne dla środowiska. Dążąc do poznania natury rzeczy i rzeczy tworzących naturę zjawisk chemicznych istotnych dla żywych organizmów – od poziomu molekularnego, poprzez biochemię, fizjologię i behawior, po relacje ekologiczne – stworzył prawdziwą szkołę naukową. Szkołę, której udziałem stała się także eksploracja możliwości zastosowania procesów biotechnologicznych do dezaktywacji toksyn środowiskowych oraz do wytwarzania połączeń chemicznych o wysoce korzystnych walorach użytkowych. Warto zaznaczyć, iż w swoich wysiłkach nasz Doktor Honorowy nie jest osamotniony, gdyż towarzyszą mu współpracownicy, których ujmuje naukową charyzmą, etyką zawodową i godnym postępowaniem.

Pragnę także podkreślić, iż imponujące dane scjencjometryczne Profesora Pawła Kafarskiego są zaledwie wstępnym określeniem Jego pozycji w świecie nauki. Prawdziwą miarą Jego oddziaływania są ludzie, których losy spłotyły się z Jego losami – Mistrzowie, o których przy każdej okazji pamięta i z estymą wspomina, a dla których stał się partnerem naukowych dysput, współpracownicy, których rolę i osiągnięcia we wspólnych przedsięwzięciach zawsze podkreśla i liczni uczniowie, dla których stał się Mistrzem.

Uczeń Mistrzów, Mistrz uczniów, Człowiek, Nauczyciel, Uczony, a od dzisiaj również Doktor *honoris causa* Uniwersytetu Opolskiego.

PAWEŁ K. KAFARSKI

GARŚC NIEPORADNYCH I NIEUCZESANYCH MYŚLI NA TEMAT WIARY, NAUKI I SZTUKI



Prof. Paweł Kafarski, doktor honorowy Uniwersytetu Opolskiego, w trakcie swojego wykładu (fot. Jarosław Mokrzycki)

Jestem przedstawicielem pogranicza nauk ścisłych i biologicznych. Gwałtowny rozwój biotechnologii, którą po trosze reprezentuję, przynosi wiele problemów etycznych i moralnych i, co gorsza, dyscyplina ta jest modelowo postrzegana jako objaw konfliktu między wiarą i nauką (przykładami kontrowersji są tu: edycja genów, komórki macierzyste, organizmy modyfikowane genetycznie, zapłodnienie *in vitro*). Ostatnio sporo czytam na ten temat i widzę raczej eskalację konfliktów pomiędzy nauką, sztuką i wiarą niż próbę znalezienia konsensusu. Taka eskalacja to moim zdaniem wynik strachu przed nieznanym, a czasami nawet prostego braku wiedzy. Inaczej – jeżeli płytko rozumiemy i naukę, i sztukę, i re-

ligię – to może również sam konflikt pomiędzy nimi jest pozorny. Osobiście najbliższe jest mi do poglądu Stevena Golda – że sposoby poznania, jakimi dysponuje człowiek, nie nakładają się na siebie; wiedza ludzka jest polimorficzna, człowiek ma kilka kanałów poznawczych, a głównymi są wiara, nauka i sztuka.

Ponieważ nie jestem licencjonowanym uczonej, zajmującym się tymi problemami, proszę Państwa o wybaczenie dla mojej prostej (być może nawet prostackiej) interpretacji relacji, jakie w życiu jednostki (czy może bardziej uczonej, bo przecież bazuję na własnym doświadczeniu) pełnią wiara, nauka i sztuka.

Człowiek poznaje swoją prawdę o świecie, bazując na tych trzech filarach. Każdy z nich przemawia do innych cech osobowości człowieka – i wszystkie trzy są trudne do zdefiniowania. Wiara to pewna postawa osobowa, cnota nadprzyrodzonego pochodzenia złączona z nadzieją i miłością. Przemawia zatem głównie do serca. Nauka (według encyklopedycznej definicji) to sklasyfikowany i opisany zbiór wiedzy ludzkiej uzyskiwany przez pewien znormalizowany sposób badania rzeczywistości. Przemawia zatem do racjonalistycznej części natury ludzkiej. Sztuka – zdaniem niektórych (w tym i historyków sztuki) jest nie do zdefiniowana i głównie przemawia do emocji.

Tu szczególnie chciałbym zwrócić uwagę na „Dziedziny Dialogu” – organizowane przez Archidiecezję Warszawską i Centrum Myśli Jana Pawła II spotkania ludzi, wywodzących się z różnych środowisk i o różnych światopoglądach. Jedno ze spotkań, poświęcone relacji między religią a nauką, dobrze ilustruje trudności, jakie oba sposoby poznawcze noszą ze sobą. Problem w tym, że w spotkaniu o konflikcie nauki z religią (zwracam uwagę, że mówiono o religii, a nie wierze) brali udział wybitni intelektualiści. Jeden z nich (bardzo przeze mnie szanowany) filozof i kosmolog ks. prof. Michał Heller mówił w swoim wystąpieniu o obcości świata nauki i teologii. „Obie dziedziny mają odrębne metody badań i dowodzenia, a typowi przedstawiciele tych światów mają słabe pojęcie o sobie nawzajem. Uczni mają niewielkie pojęcie o teologii, zaś teologowie o rozmaitych dyscyplinach naukowych. Wzajemne poznanie mogłoby zlikwidować te bariery”. Nie mogę się zgodzić z diagnozą Profesora – teologia to przecież również gałąź nauki. Ja do wiary wolę podchodzić w sposób nieracjonalny (co nie znaczy, że nie staram się zrozumieć – ale to jest drugorzędne), może nawet bardzo dziecinny. W moim odczuciu każdy z nas dostał na starcie, jak śpiewają muzycy z Lubelskiej Federacji Bardów, okruszek wiary oraz okruszki talentów i umiejętności. Naszym zadaniem jest je rozwijać na tyle, na ile potrafimy.

Poznananie świata nie jest poste i dodatkowo jest wielce ograniczone przez wiele czynników. I konflikt między wiarą, nauką i sztuką nie tkwi w człowieku, ale w warunkach, w jakich przyszło mu żyć. W codzienności.

Po pierwsze, warto zdać sobie sprawę, że indywidualna prawda o świecie nie musi być wyrażalna słowami. Na przykład, na poziomie egzystencjalnym – poznanie przez zakochanie się nie jest racjonalnym poznanem i jest

trudne (jeśli nie niemożliwe) do opisu, ale jest w pełni uprawnione. Proszę zwrócić uwagę, jaka mnogość dzieł sztuki powstała na ten temat – temat zakochania. I nic one nie wyjaśniają, bo nie po to powstały.

Po drugie, trudność poznawcza, nie tylko dla uczono, wynika choćby z tego powodu, że musimy poznać nasz świat ulokowani w czasoprzestrzeni. Nie mamy większych problemów z trójwymiarową przestrzenią – ale z większą liczbą wymiarów już tak. Fizycy i matematycy operują w przestrzeniach wielowymiarowych i jakoś sobie z tym radzą – ale jak to sobie wyobrazić? I czy sami to sobie wyobrażają? Największy problem mamy z czasem, gdyż nie potrafimy się w nim poruszać i to limituje nasze poznanie znacząco. Ostatnio czytałem wywód dowodzący, że Pan Bóg rzeczywiście stworzył świat w siedem dni – nie rozumiem, dlaczego autor tego wywodu przyjął, że były to nasze, ludzkie dni. Przecież Stary Testament mówi: „nie tak bowiem człowiek widzi, jak widzi Bóg” (1 Sm. 16,7).

Dodatkowo, jak trafnie ujął Immanuel Kant: „Struktura naszych umysłów ogranicza zarówno gamę pytań, które zadajemy przyrodzie, jak i upośledza zrozumienie odpowiedzi, których ona nam udziela”.

Po trzecie, czynniki kulturowe. Strefa kulturowa, w której się człowiek urodził, determinuje jego podejście do wiary, nauki i sztuki. Inaczej mówiąc, miejsce, w którym żyjemy, jego historia i ludzie, którzy nas otaczają, w jakiś sposób limitują naszą niezależność intelektualną, emocjonalną czy religijną. Na przykład dość oczywiste jest, że moje pochodzenie spowodowało, że jestem katolikiem i wierzę, że to jest prawdziwa religia. Mimo to siedzący wewnątrz mnie racjonalista zawsze pyta „na pewno?”.

Czwartym jest życie tu i teraz – presja społeczna, religijna i polityczna wywierana na każdego człowieka. Żyjemy bowiem w określonych warunkach, „tu i teraz”. Wydaje się, że o wiele prościej jest dochodzić prawdy wtedy, gdy się jest pustelnikiem – te wpływy są wówczas mocno ograniczone.

Na przykład uczonego do badań potrzebuje pieniędzy, a zatem jest bardzo zależny od możnowładców – w jakikolwiek sposób ten system przydziału środków jest zorganizowany. Szczercze mówiąc, bardziej przejrzysty wydaje mi się ten średniowieczny system, w którym o przydziale tych środków decydował władca na podstawie swego widzimisię. Artysta zależny jest od pieniędzy mecenasów oraz opinii krytyków i kolegów po fachu. Ci

ostatni mogą nawet go albo zniszczyć, albo wynieść na piedestał (co również odbija się na finansach). Działalność myślicieli, uczonych i artystów zależna jest także od bieżącej polityki – i to w sposób decydujący. Zatem, aby móc funkcjonować, ludzie muszą się dostosowywać do warunków zewnętrznych i tylko kręgosłup moralny decyduje o tym jak bardzo.

Innym ograniczeniem jest presja społeczna zwykle powiązana z mitologizacją pewnych aspektów życia. Dla mnie jako chemika najlepszym przykładem jest tu ogólnie panująca w Polsce opinia, że to, co naturalne, to dobre i bezpieczne, a tzw. „chemia” to ohydztwo i zagrożenie. Presję społeczną i polityczną dobrze ilustrują dwa znane powiedzenia: pierwsze mówi, że „gdyby w Europie Zachodniej wybuchła apokalipsa zombie, znaleźliby się obrońcy praw zombie”, drugie wypowiedziane przez jednego z współczesnych propagandzistów brzmi: „ciemny lud wszystko kupi”. To dwa bieguny tej samej presji. Presja społeczna dotyczy wielu aspektów życia, w tym religijnych – zawsze mnie zastanawiało, dlaczego „możni tego świata” (ks. prof. Józef Tischner nazywa ich „posiadaczami wiedzy” i „posiadaczami *sacrum*”) uważają, że reprezentują Stworzyciela w zakresie wiary, nauki czy sztuki. Skonstatował to też kardynał Gianfranco Ravasi w trakcie „Dziedzińca Dialogu”, cytując myśl św. Augustyna: „w Ewangelii nigdzie nie ma fragmentu, że Pan mówi, iż ześle Ducha Świętego, który pouczy uczniów, jak porusza się Słońce i Księżyc. On chciał kształtować chrześcijan, nie matematyków”.

Po piąte – ani uczeni, ani artyści, ani mistycy nie mają wpływu na to, jak społeczeństwo wykorzysta ich osiągnięcia. Z punktu widzenia uczonego trochę straszny jest dokonywać przełomowych odkryć (dzięki Bogu nie było mi to dane) – społeczeństwo może je wykorzystać w niezwykle kreatywny sposób.

Jak widać, nie jest rzeczą prostą dawać sobie radę z tymi wyzwaniami. Jednym z rozwiązań jest mieć marzenia i dążyć do ich realizacji. W jednym z wywiadów Kuba Błaszczkowski, reprezentant Polski w piłce nożnej, zapytany, czy zrezygnuje kiedyś z gry w reprezentacji narodowej, odpowiedział: „z marzeń się nie rezygnuje”. To jest mądra recepta.

Jakie to mają być marzenia? Na początku dorosłego życia mogą być ogromne i nawet nieosiągalne, a dopiero potem ulegają pewnemu ograniczaniu wynikającemu z doświadczenia. Niemniej jednak muszą to być marzenia osobiste, poparte ambicją i oparte na możliwościach

marzącego. Aby zmieniać świat i siebie, marzenia muszą być realizowane. Z jednej strony bez nich nie mielibyśmy wielkich artystów, uczonych czy mistyków oraz postępu cywilizacyjnego i rozwoju technologii, a z drugiej – poczucia spełnienia przez osoby takie jak ja, poczucia wynikającego z osiągnięcia małych (za to jakże fajnych) celów.

W moim odczuciu drugim filarem realizacji indywidualnej drogi do osobistego poznania prawdy jest staranie, aby przeżyć życie przyzwoicie (godnie). Immanuel Kant wyraził to tak: „Postępuj tak, byś człowieczeństwa tak w swej osobie, jako też w osobie każdego innego, używał zawsze zarazem jako celu, nigdy tylko jako środka” i nazwał to „prawem moralnym we mnie”. Katolicy to nazywają sumieniem.

Podsumowując, pragnę zauważyć, że nie widzę konfliktu między wiarą, nauką i sztuką, wówczas gdy człowiek żyje przyzwoicie i ma śmiałość mieć i realizować marzenia. Pozwolę sobie zakończyć myślą ks. prof. Józefa Tischnera, przypomniałą w ostatnim specjalnym Bożonarodzeniowym wydaniu „Tygodnika Powszechnego”: „A my stoimy, zapatrzeni w wiekiuste dziedzictwo Boga. Cóż nam dziś pozostaje, nam uwikłanym w rozgrywki ze złem, nam, mniej lub bardziej jawnym „posiadaczom sakralnych wysp niewinności”, nam pozbawionym talentu do rozumienia natury Dobra i załęczonym logiką służby, która włada miłością”.

KOLEJNI LEKARZE WYKŁADOWCAMI NASZEJ UCZELNI

Od maja br. pracę na Uniwersytecie Opolskim, w Samodzielnej Katedrze Biotechnologii i Biologii Molekularnej (Wydział Przyrodniczo-Techniczny), podejmie troje lekarzy: dr hab. n. med. Marek Gierlotka, dr n. med. Alina Kowalczykiewicz-Kuta i dr n. med. Dariusz Woszczyk. Nowi pracownicy Uniwersytetu Opolskiego będą prowadzić działalność dydaktyczną i badawczą na kierunku lekarskim.

Dr hab. n. med. Marek Gierlotka, związany ze Śląskim Centrum Chorób Serca w Zabrzu, jest specjalistą w dziedzinie kardiologii i w dziedzinie chorób wewnętrznych, jest także samodzielnym operatorem zabiegów kardiologii inwazyjnej. Ekspert w dziedzinie rejestrów medycznych i analiz związanych z dużymi zbiorami danych, przewodniczy Sekcji Intensywnej Terapii Kardiologicznej i Resuscytacji Polskiego Towarzystwa Kardiologicznego w kadencji 2017-2019. Jest konsultantem wojewódzkim w dziedzinie kardiologii na Śląsku.

Dr n. med. Alina Kowalczykiewicz-Kuta jest pediatrą neonatologiem. Absolwentka kierunku lekarskiego Śląskiej Akademii Medycznej w Katowicach, związana z Centrum Ginekologii, Położnictwa i Neonatologii w Opolu (starszy asystent Pododdziału Patologii Noworodków). Jest instruktorem Neonatal Life Support Europejskiej Rady Resuscytacji.

Dr n. med. Dariusz Woszczyk jest ordynatorem Oddziału Hematologii i Onkologii Hematologicznej Szpitala Wojewódzkiego w Opolu i Konsultantem Wojewódzkim w dziedzinie hematologii. Brał udział w ponad 20 badaniach klinicznych leków, aktualnie uczestniczy w kolejnych pięciu. Współtwórca i pierwszy przewodniczący Opolskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Hematologów i Transfuzjologów (dziś – wiceprzewodniczący).

(b)

2

INDEKS

PUBLICYSTYKA, SZTUKA

Artykuły

Eseje

Wywiady

Felietony

35
str.

II O



Roman Horoszkiewicz (drugi z prawej, w głębi) w sztabie Józefa Piłsudskiego przed ratuszem w Kielcach, sierpień 1914. W środku komendant Józef Piłsudski, z lewej Kazimierz Sosnkowski, a przed Romanem Horoszkiewiczem – Walery Sławek (zdjęcie z archiwum Tadeusza Horoszkiewicza z Opola)

STANISŁAW S. NICIEJA

Z PIŃSKA DO OPOLA

Spośród expatriantów z Polesia szczególnie dwóch zapisało się wyraziście w historii Opola. Byli to świetni historycy, tworzący do niedawna koloryt naszego miasta.

W 1926 roku administracja polska stworzyła w Pińsku Muzeum Poleskie. Jego organizatorem i pierwszym kierownikiem był Roman Horoszkiewicz (1892–1962) – postać barwna i wyjątkowo ciekawa, jedna z centralnych indywidualności w sferze kultury powojennego Opola. Urodził się w Salówe pod Czortkowem. Był synem Tadeusza Horoszkiewicza – leśnika pracującego w okolicach Czortkowa i Złoczowa w dobrach hrabiów Baworowskich. Studiował w Krakowie heraldykę i historię sztuki, ale gdy wybuchła I wojna światowa jako aktywny członek Związku Strzeleckiego, ćwiczący w okolicach Skawiny pod komendą Kordiana Zamorskiego i Edwarda Rydza, natychmiast udał się do Krakowa na ulicę Oleandrów do formułującej się I Kompanii Kadrowej Legionów Józefa Piłsudskiego. Zajechał tam furmanką razem z legendarnym później ułanem Władysławem Beliną-Prażmowskim.

W wykazie Tadeusza Kasprzyckiego – pierwszego oficjalnego dowódcy I Kompanii Kadrowej, tej, której

uczestnicy „rzucili na stos swój życia los”, na 144 żołnierzy Roman Horoszkiewicz figurował pod pozycją 40., nosząc pseudonim Woynicz. Na front wyruszyli 3 sierpnia 1914 roku, kierując się na Jędrzejów i Kielce, z przekonaniem, że zainicjują powstanie narodowe przeciw Rosji. Horoszkiewicz znalazł się wówczas bardzo blisko komendanta Józefa Piłsudskiego, należąc do jego sztabu. Zachowały się zdjęcia, na których jest w towarzystwie Walerego Sławka, Kazimierza Sosnkowskiego, Władysława Beliny-Prażmowskiego i Józefa Piłsudskiego w czasie ich pobytu w Kielcach.

Roman Horoszkiewicz, uczestnicząc w bojach, szarżował na wierzchowcu o wdzięcznym imieniu Hanka, który zasłynął w opowieściach jego kolegów legionistów tym, że podczas starcia gryzł wrogów: chwytał ich zębami za ramię i ściągał z konia. Z Hanką uczestniczył też w wojnie polsko-bolszewickiej. Kilkakrotnie wychodził z opresji z lekkimi ranami. Wsławił się też udziałem w III

powstaniu śląskim, do którego poszedł jako student III roku historii sztuki, ciągnąc za sobą armatkę. Walczył pod Górą św. Anny w grupie operacyjnej „Bogdan”. W randze kapitana dowodził podgrupą „Harden” w powiecie strzeleckim. W Sławięcicach zorganizował szwadron kawalerii konnej.

Po powstaniu podjął studia archeologiczne na Uniwersytecie Lwowskim. Z dyplomem archeologa uczestniczył w wykopaliskach w okolicach Łunińca, Pińska i Brześcia. Wtedy też podjął się organizacji Muzeum Poleskiego w Pińsku (rok 1926), gromadząc eksponaty oraz organizując pierwsze ekspozycje wystawiennicze. To z jego inicjatywy zakupiono słynny eksponat, który do dziś w tym muzeum należy do absolutnych unikatowych wyróżników – drewniany rower. Wykonał go Poleszuk Wasilij Iljuczuk. Rower w tamtych czasach i okolicach był pańskim luksusem. Biedny chłop poleski Iljuczuk zbierał pieniądze na zakup żelaznych części: zębatki i łańcucha, a resztę – jako genialny samouk – zrobił z drewna: ramę, kierownicę, koła z drewnianymi szprychami i siodełko. Jest to chyba w zbiorach muzealnych jedyny na świecie rower drewniany z lat 30. XX wieku. Ten wyjątkowy wehikuł stoi obecnie w centrum stałej wystawy w Muzeum Poleskim.

Wyszukując oryginalne eksponaty, Horoszkiewicz prowadził jednocześnie badania naukowe. Publikował opracowania związane z Polesiem, m.in. „Pińsk i jego okolice” (1926), „Tradycje ziemi pińskiej” (1930), „Spis rodów szlachty zaściankowej ziemi pińskiej” (1937). W 1934 roku zawarł w Tarnopolu związek małżeński z Heleną Zdybkiewicz (1910–1995) – córką zawodowego oficera.

W 1933 roku podjął etatową współpracę z rozgłośniami radiowymi w Wilnie i Baranowiczach. Pisał felietony i realizował reportaże. Za pracę twórczą w rozgłośni wileńskiej otrzymał w 1936 roku Srebrny Wawrzyn Polskiej Akademii Literatury. Jego programy w radiostacji w Baranowiczach wyróżniały się ostrą, antysowiecką retoryką. Gdy wybuchła wojna, Horoszkiewicz został skierowany do Warszawy i brał udział w obronie stolicy. Wzięty do niewoli, całą wojnę spędził w oflagach. Przez pewien czas dzielił prycze z Leonem Kruczkowskim – znanym już wówczas autorem powieści „Kordian i cham”, a po wojnie jednym z najbardziej popularnych i często wystawianych dramaturgów, twórcą sztuk „Niemcy” i „Pierwszy dzień wolności”.

Po inwazji sowieckiej pozostawiona w Baranowiczach z dwójką kilkulatych synów żona Horoszkiewicza,

w obawie przed represjami za radiową działalność męża, wyjechała do Łucka. Tam zakonspirowała się u swej siostry, Janiny Workiewicz, żony urzędnika miejskiego. W 1943 roku, ostrzeżona przez znajomą Ukrainkę, iż jest na banderowskiej liście do likwidacji, zbiegła z dziećmi do Krakowa.

Po wojnie, uwolniony z oflagi, Roman Horoszkiewicz spotkał się z żoną w Wieliczce i wspólnie w październiku 1946 roku przenieśli się do Opola, gdzie zamieszkali w starej, pięknej secesyjnej willi na rogu ulic Matejki i Grunwaldzkiej. Wtedy to Horoszkiewicz stał się jednym z najbardziej znaczących animatorów polskiej kultury na repolonizowanej Opolszczyźnie. Natychmiast włączył się w organizację Muzeum Śląska Opolskiego i razem z Marianem Deblessemem ze Stanisławowa uruchomił polską rozgłośnię radiową. Był płodnym publicystą – napisał dziesiątki artykułów, odtwarzając historię piastowskiego Opola. Miał talent i żyłkę szperacza oraz szczęście w wyszukiwaniu niewyzyskanych przez innych badaczy źródeł. Trafił m.in. przypadkowo na dokumentację pobytu Jana Kasprowicza w gimnazjum opolskim w czasach pruskich. Razem z pisarzem Stanisławem Wasylewskim – expatriantem ze Stanisławowa i Lwowa, tworzył Komitet Badań Prehistorycznych i prowadził wykopaliska archeologiczne na piastowskim Ostrówku. Wkładał ogromny wysiłek w szukanie dowodów na polskość Opolszczyzny, publikując na ten temat liczne opracowania dokumentacyjne.

Horoszkiewicz i Wasylewski byli twórcami opolskiego klubu literackiego i stałymi bywalcami słynnej opolskiej kawiarni „Bajka”, gdzie zbierała się miejska bohema, m.in. poeci i pisarze: Bogumił Wyszomirski – dziadek aktorki Barbary Kurdej-Szatan, Stefan Chmielnicki, Ryszard Hajduk, Kazimierz Kowalski czy Edmund Osmańczyk.

Kawiarnia „Bajka”, nazwana później „punktem zbornym środowiska artystycznego Opola”, była fenomenem na odzyskanym przez Polskę Śląsku. Kogóż tam nie było. Oprócz wymienionych wyżej pisarzy bywali tam: historycy – Władysław Dziewulski i Alojzy Gembala, historyk literatury – Stanisław Kolbuszewski, archeolog – Rudolf Jamka i Adolf Nasz, radiowcy – Karol Olander i jego żona, poetka Anna Markowa, pedagog, kurator oświaty, były więzień Dachau – Teodor Musioł i jego kuzyn, twórca festiwali opolskich – Karol Musioł, muzykolog – Piotr Świerc i Wincenty Hlouszek, archiwista – Stefan Popiołek, dziennikarze – Stanisław Raclawicki, Jerzy Bałaban, Zofia Senftowa, Jan Łangowski, Szymon Koszyk i Antoni



Roman Horoszkiewicz z żoną Heleną, teściową Wilhelminą Zdybkiewicz i dwójką synów, późniejszych znanych opolskich dziennikarzy – Tadeuszem i Wacławem (na rękach babki) przed rozgłośnią radiową w Baranowiczach, rok 1938 (zdjęcie z archiwum Tadeusza Horoszkiewicza)

Lach. Były to wówczas postacie, które tworzyły koloryt powojennego polskiego Opolu. Satyryk Stefan Chmielnicki, rodem z Kamieńca Podolskiego, napisał, że *kawiarnia „Bajka” miała wielkie ambicje przebić nawet przedwojenną warszawską „Ziemiańską”*.

W tym zbiegowisku indywidualności z różnych stron świata o bardzo pogmatwanych życiorysach – Kresowiaków i Ślązaków – brylował jako stały rezydent „Bajki” Roman Horoszkiewicz, znakomity gawędziarz, gorący dyskutant, ciepły człowiek, nazywany też „zwornikiem opolskiej bohemy”. Zofia Hajdukowa napisała po latach: *Romana Horoszkiewicza nie sposób nie pamiętać, jeśli żyło się w pierwszych powojennych latach w Opolu, obracało się w tych samych kręgach, jeśli gościło się go niejednokrotnie w domu i było świadkiem niejednej dyskusji. Postawny, dostojny pan o charakterystycznej, jakby ospą okaleczonej twarzy, uroczym uśmiechu, niespokojnych rękach, robił wrażenie stale wewnętrznie niespokojnego. Szukał wciąż nowych tematów do pracy twórczej, pola działania.*

Na początku pobytu w Opolu Roman Horoszkiewicz stał się obiektem zainteresowania funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. Wiedzano, że był piłsudczykiem i dziennikarzem w kresowych rozgłośniach radiowych w Wilnie i Baranowiczach. Uratował go wówczas Jerzy Ziętek – przyszły wojewoda śląski i generał, znający Horoszkiewicza z czasów walk w powstaniu śląskim. Ziętek wstawił się za swym kolegą z powstania i miał wówczas powiedzieć oficerom UB: „Nie przeszkadzajcie Romkowi. To dzięki takim jak on Śląsk jest polski. I tylko tacy jak on mogą tę polskość mądrze tu umacniać”. Ziętek miał wówczas wsparcie Aleksandra Zawadzkiego – wojewody śląsko-dąbrowskiego i jego zastępcy Arki Bożka, którzy w podobny sposób osłonili Stanisława Wasylewskiego, gdy ten po rocznym więzieniu w Krakowie, oskarżony przez kolegów literatów o kolaborację z Niemcami, wyszedł na wolność. Zawadzki i Bożek, pamiętając, że przed wojną napisał ważną książkę reportersko-dokumentacyjną „Na Śląsku Opolskim” (1938), za którą był tropiony przez Gestapo, przydzielili mu w Opolu willę na Pasiece. I tam ten wybitny pisarz mógł dożyć godnie do śmierci w lipcu 1953 roku. Powalił go atak serca podczas prac wykopaliskowych na Ostrówku.

Roman Horoszkiewicz był poetą, nowelistą i dramaturgiem. Autorem sztuki „Gospoda przy moście”. Uehonorowano go kilkoma nagrodami literackimi oraz patronatem ulic w Opolu i Kędzierzynie-Koźlu. Jego najstarszy syn, Tadeusz Horoszkiewicz (rocz. 1935) – po-

lonista, długoletni kierownik opolskiego ośrodka TVP, podążając śladem ojca, zrealizował z Telewizją Polską w 1991 roku w Pińsku reportaż pt. „Polesia czar” z wypowiedziami pracowników tamtejszego muzeum. Odwiedzając Pińsk, był przyjmowany z wielkimi honorami jako syn twórcy muzeum, w którym jest wiele eksponatów zgromadzonych dzięki pasji jego ojca. Wacław Horoszkiewicz (1936–2000) – młodszy syn Romana, również odziedziczył talenty dziennikarskie. Po studiach polonistycznych w Opolu był popularnym reportażyście oraz dziennikarzem radiowym w Opolu i Katowicach, redaktorem katowickiego tygodnika „Tak i nie”. Najmłodszy syn Romana – Antoni (rocz. 1949) był urzędnikiem municypalnym.

Krewnym Romana Horoszkiewicza był Kazimierz Rosinkiewicz (1865–1940) – lwowianin, piszący pod pseudonimem Rojan, autor wielu bardzo popularnych swego czasu powieści dla młodzieży, w tym wydanej w 1891 roku „Tymko Medier”, której akcja dzieje się na Polesiu.

Wędrowiec po staropolskich szlakach

Wśród przesiedleńców z Pińska, którzy po utracie tego miasta przez Polskę trafili na Śląsk, znaczącą pozycję jako historyk osiągnął prof. Jan Seredyka (1928–2008). Urodził się w Grajewie na Podlasiu, w rodzinie strażnika granicznego, ale w czasie wojny trafił do Pińska i tam jako kilkunastoletni chłopiec został zmuszony do pracy fizycznej w porcie rzeczonym. Przeladowywał towary z łodzi na łodzi. Mieszkał wówczas przy ulicy Teodorowskiej, w kamienicy Obiedzińskich, w której przez pewien czas wynajmowali mieszkanie Kapuścińscy. Jan Seredyka poznał wówczas młodszego o cztery lata Ryszarda Kapuścińskiego, z którym po wojnie utrzymywał koleżeńskie kontakty. Przeżył trzy bombardowania portu pińskiego: w 1939 i 1941 – niemieckie oraz w 1944 – rosyjskie. Był świadkiem śmierci Mariana Płotnickiego, absolwenta Gimnazjum im. Józefa Piłsudskiego w Pińsku, brata znakomitego aktora filmowego – Bolesława Płotnickiego (1913–1988), który zagrał w kilkudziesięciu polskich filmach, m.in. „Gdzie jest generał” i „Dziura w ziemi” oraz użyczył głosu Kargulowi w filmie „Sami swoi”. W Pińsku mieszkało kilka rodzin Płotnickich, wśród nich działaczka żydowska – Frumka Płotnicka (1914–1943), która zginęła w bunkrze w Będzinie, broniąc się przed Niemcami.

Jan Seredyka opuścił Pińsk pod koniec maja 1945 roku jednym z ostatnich transportów odchodzących z Polakami na zachód. Trafił do Opolu. Liczył wówczas 17 lat.



Tadeusz Horoszkiewicz – dziennikarz i długoletni kierownik opolskiego ośrodka TVP przed wejściem do muzeum w Pińsku, którego twórcą był jego ojciec – Roman. Od lewej: Barbara Horoszkiewiczowa (żona Tadeusza) i pracownice muzeum – Ludmiła Biellajewa i Rita Margolina, rok 1991

Od jesieni 1945 roku zaczął uczęszczać do Liceum im. Mikołaja Kopernika. Jego kolegami licealnymi byli: dwaj Wołyniacy – Jerzy Antczak (z Włodzimierza Wołyńskiego) – późniejszy wybitny reżyser, twórca „Nocy i dni”, Jan Bagiński (z Kamionki) – późniejszy biskup opolski, Tadeusz Olszański (ze Stanisławowa) – publicysta, historyk, autor książek o Stanisławowie, oraz Stanisław Malarski (ze Lwowa) – późniejszy profesor prawa na Uniwersytecie Opolskim.

Po ukończeniu studiów historycznych na Uniwersytecie Wrocławskim poświęcił się pracy naukowej. Jego mistrzem był Władysław Czapliński, pod kierunkiem którego przeszedł wszystkie szczeble kariery naukowej – od magistra do profesora i stał się wybitnym znawcą epoki staropolskiej, zwłaszcza Rzeczypospolitej za panowania dynastii Wazów.

Mocno angażował się również w administrację akademicką. Na opolskiej uczelni pełnił kolejno funkcje: prodziekana, prorektora, rektora, a następnie przez kilkanaście lat dyrektora Instytutu Historii Uniwersytetu Opolskiego. Stworzył w Opolu swoją własną szkołę badań nad dziejami parlamentaryzmu polskiego, z której wyrosli profesorowie: Anna Kocur-Filipczak, Włodzimierz Kaczorowski, Jan Rzońca i Józef Długosz. Był w bardzo bliskiej przyjaźni z prof. Marcelem Kosmanem – wybitnym historykiem z Poznania, autorem książek z dziejów Litwy i Białorusi oraz znawcą twórczości Sienkiewicza, a także Jarosławem Pankiem – czeskim historykiem, prorektorem Uniwersytetu Karola w Pradze i prezesem Zarządu Głównego Czeskiego Towarzystwa Historycznego.

Prof. Seredyka cieszył się ogólnopolskim autorytetem jako sprawny organizator i znawca źródeł, zwłaszcza z epoki Wazów. Dzięki swej pozycji naukowej mógł stworzyć w Opolu Międzyuczelniany Zespół Badawczy nad Dziejami Parlamentaryzmu Polskiego, do którego weszło kilkudziesięciu uczonych, m.in. tak wybitnych historyków jak Władysław Czapliński, Jarema Maciszewski i Aleksander Gięsztor. Miał opinię badacza-analityka, który potrafił drobiazgowo szkiełkiem i mędrca okiem prześwietlać stare dokumenty, wyczytać z nich barwę i puls epoki. On to pierwszy obiektywnie ocenił kontrowersyjne rządy Zygmunta III, pokazał ich blaski i cienie. Śledził dzieje tolerancji religijnej na Litwie, a także przyczyny powstań kozackich w Rzeczypospolitej, która traktowała Kozaków jak złą macocha swoje dzieci. Miał instynkt poszukiwacza. Umiał znaleźć źródła, które stały się rewelacją, jak choćby te zgromadzone w Bi-



Prof. Jan Seredyka – rektor WSP w Opolu i długoletni dyrektor Instytutu Historii na Zjeździe Historyków Polskich w Poznaniu w 1984 roku (fot. Stanisław S. Niciejka)

bliotece Sałtykowa-Szczedrina w Sankt Petersburgu o konfederacji warszawskiej.

Prof. Jana Seredykę interesowała obyczajowość staropolska i napisał już jako badacz dojrzałą i najciekawszą swoją książkę „Księżniczka i chudopacholek”, gdzie przedstawił historię romansu drobnego szlachcica Stanisława Tymieńskiego z marszałkową, księżniczką Zofią Radziwiłłówną. W tym biograficznym studium z maestrią detektywa odkrył po prawie czterystu latach przejmujący dramat staropolski, w którym było wszystko: namiętność, miłość i cierpienie, zazdrość i nienawiść, wina i kara, szczęście i nieszczęście, ból i ekstaza, współnamysłowość i nikczemność. Jest to historia zdrady małżeńskiej, którą w myśl prawa obowiązującego na Litwie karano śmiercią. Po zdemaskowaniu kochanków widmo to zawisło nad nimi. I chociaż nie doszło do zabójstwa obezwładnionych namiętnością kochanek, to jednak był to dramat iście szekspirowski. W recenzji prof. Marcele Kosman napisał, że książka ta „jest znakomitym materiałem na fascynujący serial telewizyjny”.



Podczas spotkania w klubie Skrzat: prof. Jan Seredyka (z lewej), obok mgr Stanisław Młynarczyk – dyrektor Studium Języków Obcych WSP w Opolu, Antoni Lach – dziennikarz Rozgłośni Polskiego Radia w Opolu; pozostałe osoby niezane

Pikanterii dodawał fakt, że książka powstała akurat wtedy, gdy osoba o tym samym nazwisku – Stanisław Tymiński, człowiek znikąd, tajemniczy finansista z Peru otarł się o szansę zostania prezydentem Polski. Ostatecznie Stanisław Tymiński przegrał z legendą „Solidarności” Lechem Wałęsą, ale pokonał Tadeusza Mazowieckiego i otrzymał ponad 25 proc. ważnych głosów. Tak czasem szczególnie zbieg okoliczności pomaga książce. Jan Seredyka był ceniony również w Czechach, gdzie otrzymał Złoty Medal im. Franciszka Palackiego – najwyższe odznaczenie Czeskiej Akademii Nauk. Po śmierci spoczął na cmentarzu w Opolu. W jednym z wierszy Jan Goczoł

(1934–2018), wybitny poeta, mieszkający blisko tego cmentarza, napisał:

*Gdy umiera przyjaciel, ślepnie nam jedno oko
Głuchnie jedno ucho, martwieje jedna dłoń.
Jest nas o połowę mniej.
Jedynie samotności jest w nas dwakroć więcej.*

PIERWSZA KADROWA

Z Bożeną Pytel-Mielnik, kierownikiem Działu Spraw Pracowniczych Uniwersytetu Opolskiego, rozmawia Barbara Stankiewicz

– *Wie Pan o nas, pracownikach uczelni, prawie wszystko. My o Pani – niewiele. Pora to zmienić. Ja zacznę: urodziła się Pani w Opolu...*

– „Prawie wszystko!” to duża przesada, wiem tyle, ile powinna wiedzieć kadrowa, ale dobrze, zacznijmy. Urodziłam się nie w Opolu, ale w Niemodlinie, bo moi rodzice mieszkali w pobliskich Łambinowicach, skąd wyprowadzili się do Opolu, kiedy skończyłam dwa lata. Ojciec – elektryk, mama ekonomistka, mam też młodszego brata, który na naszej uczelni skończył ekonomię. W Opolu zamieszkaliśmy na Pasiece, tam, w „szóstce” na Powstańców Śląskich uczyłam się jako dziecko, później wybrałam Liceum Ogólnokształcące nr 2, profil humanistyczny. Byłam bardzo dobra z matematyki, fizyki i chemii, ale moim ukochanym przedmiotem była historia. Marzyłam, że będę nauczycielką historii właśnie. Za sprawą ojca interesowałam się też wtedy polityką, później mi to przeszło. Byłam dobrą uczennicą: świadectwa z czerwonym paskiem, nagrody... I książki z biblioteki na Piastowskiej, które wypożyczałam w ogromnych ilościach, zwłaszcza na wakacjach. Pamiętam takie wakacje, w czasie których przeczytałam niemal całą klasykę rosyjską, rok później wszystkie kryminały Agaty Christie... I książki przygodowe. Ja chyba miałam być chłopcem, bo bohaterami mojego dzieciństwa byli Winnetou i Tomek Wilmowski... Czytam bardzo dużo także dziś, wśród moich ulubionych autorów jest nasz opolski pisarz Remigiusz Mróz, ale ze względu na to, że często podróżuję zamieniłam tradycyjne książki na e-booki.

– *Wracamy do liceum. Jest Pani przed maturą...*

– I już nie marzę o zawodzie nauczyciela historii. Chcę być sędzią, z czego bardzo się cieszy mój ojciec, bo namawiał mnie na prawo. Zdaję, za pierwszym podejściem, na Uniwersytet Wrocławski. Studia kończę w 1983 roku. Pracę magisterską piszę z prawa pracy, które coraz bardziej mnie interesuje. Wprawdzie składałam dokumenty

na aplikację sędziowską, ale na rozmowę kwalifikacyjną już nie idę – czuję, że to sędziowanie nie jest dla mnie, wybieram aplikację radcowską. Jako świeżo upieczona absolwentka prawa zaczynam pracę w Urzędzie Wojewódzkim. I zupełnie nie potrafię się tam odnaleźć, czuję, że urząd, ta jednostka – to nie moja bajka. Wtedy mój kolega umawia mnie na rozmowę z prof. Marią Nowakowską, prorektor ds. naukowych Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, której towarzyszy dyrektor administracyjny dr Tadeusz Kampczyk. Szukali pracownika do spraw organizacyjnych. To były czasy rektora Adamusa. I tak, 35 lat temu, rozpoczęłam pracę na uczelni. Przygotowywałam pod kątem prawnym uchwały senatu, zarządzenia rektora, projekty uchwał rad wydziałów, słowem – niezbędne w zarządzaniu uczelnią dokumenty. Jednocześnie rozpoczęłam aplikację. Raz w tygodniu, przez trzy kolejne lata, miałam zajęcia w sądzie, prokuraturze, notariacie... Jeszcze w trakcie aplikacji dostałam pierwszą propozycję pracy w arbitrażu, ale ja już zdążyłam polubić pracę na uczelni... Pokój dzieliłam z radcą prawnym, Stanisławem Szurgotem, za ścianą miałam dr. Tadeusza Kampczyka.

– *Jaki obraz Pani widzi, myśląc o tamtych czasach?*

– Widzę i czuję kłęby dymu. Bo pan Szurgot, bardzo sympatyczny pan, palił jak smok. Sporty, jednego za drugim. Ja dość szybko pisałam na maszynie, dlatego często prosił, żeby coś mu przepisać. Pamięta Pani, jak te maszyny do pisania dudniły? Ten obraz trzeba by więc uzupełnić jeszcze o ten detal: ciemno jak w wędzarni, pan Szurgot pali sporty, ja walę w klawisze.

Z końcem marca 1986 r. na emeryturę odeszła pani Teresa Gontarek, kierownik sekcji kadr. Wtedy ówczesny rektor prof. Stanisław Kochman zaproponował mi przejęcie jej obowiązków. Zrobił to w bardzo specyficzny sposób: „Proponuję to pani, bo nie mam wyboru”. Poczulałam się urażona, bo zabrzmiało to tak, jakbym się nie nadawała, no ale skoro nie ma nikogo lepszego... Rektor uspokoił



Bożena Pytel-Mielnik – w tle Acapulco (Meksyk)

mnie: „Nadaje się pani, tylko jest pani zbyt młoda”. Miałam wtedy 26 lat. Dość szybko zrozumiałam, co miał na myśli, i – co gorsza – że miał rację. Bo w tej pracy oprócz wiedzy potrzebne jest doświadczenie życiowe. A tego mi wtedy brakowało. W zespole pracowały same kobiety: Teresa Panek, Jolanta Ciapała, Irena Pietruszka (później Wielopolska) i Ewa Koralewska. Sprawami socjalnymi zajmowała się wtedy oddzielna sekcja. Na początku bardzo pomagała mi Teresa Gontarek, moja poprzedniczka, z którą widywałam się przez kilka pierwszych miesięcy, a która podpowiadała mi, na co zwrócić uwagę, jak rozwiązać konkretny problem. Uczylałam się tej pracy. Uczylałam się też ludzi.

– Jaką najważniejszą lekcję Pani odebrała?

– Żeby weryfikować, przy pomocy dokumentów, to, co ludzie opowiadają. Bo zdarza im się zapomnieć, że np.

dwa lata temu byli na urlopie naukowym, więc o kolejny mogą się starać po trzy lub pięcioletniej przerwie. Szybko pojęłam, że podstawą jest teczka pracownika – i od niej trzeba zaczynać rozmowę. I pilnować. Przyszła kiedyś pani doktor, chciała przejrzeć swoje dokumenty. I błyskawicznie wyrwała mi z rąk oryginał niezbyt pochlebnej opinii o sobie, żeby go zniszczyć. Ale ja też byłam szybka, odzyskałam ten dokument... Wtedy wprowadziłam zasadę, żeby pracownik przeglądał swoją teczkę – za zgodą rektora – zawsze w obecności pracownika kadr, który przegląda ją razem z pracownikiem.

– Umowa o pracę czasem wygasa, a czasem trzeba ją rozwiązać. To Pani jest posłańcem złej wiadomości...

– Nie są to przyjemne momenty. Bo mówi się: „kadry zwalnają”. Bzdura. Decyzje zapadają przecież gdzie indziej, w poszczególnych jednostkach, ale w kadrach są

wręczane wypowiedzenia czy tzw. dyscyplinarki. Bywa i tak, że musimy iść na konkretny wydział, bo pracownik unika kontaktu... Bardzo nie lubię sytuacji, kiedy pracownik ode mnie dowiadyuje się, że umowy nie przedłużono – jego szef nie potrafił mu tego powiedzieć, wyjaśnić, uprzedzić. I to my musimy zmierzyć się z tym zaskoczeniem i frustracją. Bywa płacz, krzyk, straszenie samobójstwem... Ja też to mocno przeżywam. Choć nie robię tragedii z faktu, że ktoś mnie później nie poznaje na ulicy – widocznie musi to odreagować, albo uznał, że to moja wina. Kiedy zaczynałam pracę, wydawało mi się bardzo ważnym, żeby wszyscy mnie lubili. Teraz wiem, jaka byłam naiwna, bo to jest po pierwsze niemożliwe, po drugie – uczy nas żyć pod czyjeś dyktando, a tego absolutnie nie chcę.

– Pod koniec lat 80., na krótko, zniknęła Pani z uczelni. Dlaczego?

– Coraz trudniej mi się współpracowało z rektorem Kochmanem – ja chciałam móc wyrazić swoją opinię, rektor często nie dopuszczał mnie do głosu... Emocje wzięły górę, poczułam, że nie dam dłużej rady i po trzech latach kierowania sekcją kadr złożyłam wypowiedzenie. Podjęłam pracę radcy od spraw organizacyjnych w tzw. firmie polonijnej – wtedy był ich prawdziwy wysyp – w Gogolinie. Po jedenastu miesiącach ta dobrze prosperująca firma zaczęła padać. A ja, w sklepie, natknęłam się na rektora Kochmana. Spytał: „może pora wrócić na uczelnię?”. Wróciłam. Spokojniejsza, mniej emocjonalna, choć do dzisiaj należę do osób szybko reagujących. Patrząc z perspektywy czasu, dochodzę do wniosku, że powód tych wcześniejszych nieporozumień z rektorem tkwił we mnie, musiałam do pewnych spraw dojrzeć, a inne przemyśleć. Jednym słowem, miał rację, kiedy mi powiedział, że do tej pracy potrzebne jest doświadczenie życiowe...

– W 1989 r. sekcje spraw pracowniczych i socjalną połączono w jeden dział. Moją zastępczynią została Ewa Koralewska z działu socjalnego, gdzie pracował też Adam Maresz i Teresa Karakiewicz, potem Zofia Kościuk. W dziale pojawiały się kolejne osoby: Ela Sałajczyk, Iza Mosielska, Beata Borek – zastąpiła Alicję Sutarzewicz, która odeszła na emeryturę, podobnie jak Lucyna Rozmus moja zastępczyni; przyszły Ewa Gierjekiewicz - na stanowisko zastępcy i Agnieszka Piestrak, odeszła na emeryturę Jola Ciapała i Teresa Panek – zjawiała się Jagoda Kliza. Spośród pierwszego składu działu z 1989r. pozostałam jedynie ja.

– Zjawił się też mąż, którego poznała Pani na uczelni...

– ... a spotykałam wcześniej, jako uczennica opolskiej „dwójki”, w której on wtedy uczył języka angielskiego. Nie, mnie nie, bo ja byłam w klasie z językiem francuskim, choć twierdzi, że pamięta mnie z liceum, bo byłam dziwnym trafem niezłą z fizyki i chemii, co było zaskakujące w klasie humanistycznej. I po latach spotkaliśmy się na uczelni. Przyszedł do mnie, kierowniczką kadr, jako kierownik Studium Języków Obcych, po jakąś informację. Po trzech takich spotkaniach, kiedy tak sobie „kierownikowaliśmy”, zaproponował przejście na „ty”. Pamiętam, jaka byłam zakłopotana, bo doskonale wiedziałam, że ma na imię Izidor, ale nie miałam pojęcia, jak się do niego zwracać: Izidorze? Jak to się zdrabnia? Ale szybko złapałam oddech, bo przedstawił się drugim imieniem: Staszek. Ślub wzięliśmy w czerwcu 1993 r.

– Tymczasem w końcówce lat 90. nieoczekiwanie dostałam dwie propozycje zmiany pracy: z Państwowej Inspekcji Pracy i z policji.

– Jako miłośniczka kryminalów pomyślała Pani o tej drugiej propozycji...

– To miała być praca w wydziale przestępstw gospodarczych, gdzie potrzebny był ktoś, kto zna się na prawie pracy. Muszę przyznać, że bardzo mi ta oferta namieszła w głowie, ale na krótko, zdecydowałam, że zostanę na uczelni. Podjęłam za to dodatkową pracę, jako nauczyciel prawa pracy, w pomaturalnej szkole na ulicy Drobiarskiej w Opolu, którą prowadziło Stowarzyszenie Edukacyjne Regionu Opolskiego – zrezygnowałam z niej dopiero kilka lat temu, podobnie jak z kursów, które też długo prowadziłam. Tak więc z organami ścigania nie wyszło, ale z organami wymiaru sprawiedliwości miewam kontakt do tej pory... Bo zdarzają się sytuacje, kiedy muszę przed sądem reprezentować naszą uczelnię – najczęściej w sprawach dotyczących zwolnień pracowników. Zwolnień niesłusznych – zdaniem pracownika. Różne oskarżenia tam padają, ja najbardziej się denerwuję, kiedy słyszę, że nasza uczelnia jest najgorszym zakładem pracy, że tu wszyscy wszystkich mobbingują... Z jednej strony cieszę się, że jesteśmy świadomi, że takie zjawisko może mieć miejsce, i że należy z nim walczyć. Ale nie może być tak, że wydanie pracownikowi polecenia, zgodnego z zakresem jego obowiązków, jest traktowane jako mobbing! Jeden z naszych emerytowanych profesorów (już dwa lata był na emeryturze) wniósł kiedyś pozew

przeciwko uczelni, o mobbing właśnie, żądając w ramach zadośćuczynienia 200 tysięcy złotych. Na tyle wliczył swoją krzywdę. Lista świadków była bardzo długa, długi był też proces, bo najpierw w Sądzie Okręgowym w Opolu, później we Wrocławiu, w sądzie II instancji, do którego się odwołał. Uczelnia ten proces wygrała, mimo że ze słów profesora wynikało, że mobbingowali go nieustannie wszyscy. Ja chyba też. Bo spytał mnie na koniec: „dlaczego pani mnie nie lubiła?”. Co to ma za znaczenie: lubiłam czy nie? Pracujemy w jednej firmie, stanowimy jeden zespół, wszystkim powinno zależeć na tym, żeby działa się tu dobrze. Przyjaźnić się możemy, ale nie musimy, ale współpracować – jak najbardziej.

– *Mówi Pani o uczelni z dużą sympatią. To nie jest takie częste...*

– Denerwują mnie ludzie, którzy pracują tu jak za karę, wiecznie niezadowoleni – a to z płacy, a to z innych powodów... Pamiętam, jak wybrałyśmy się kiedyś z panią kwestor Marią Najdą na Politechnikę Opolską porównać zarobki tamtejszych i naszych pracowników administracji i biblioteki – bo na politechnice podobno były znacznie wyższe... I co się okazało – zarobki były dokładnie takie same! Tyle że na politechnice mieli niższe premie, a wyższe pensje, u nas zaś było odwrotnie.

– Czasem słyszę od nauczycieli akademickich, szczególnie tych, którzy odchodzą z uczelni: „wszystko oddaliśmy

tej uczelni, a uczelnia nie dała nam nic!”. Przypominam wtedy, że to uczelnia właśnie opłaciła mu doktorat, za badania naukowe płaci, opłaciła habilitację i jeszcze płaci postępowanie profesorskie, nie mówiąc, że co miesiąc wypłaca wynagrodzenie bez żadnych opóźnień. Faktycznie nic! Zwracam też czasem uwagę naszym doktorom, że na stanowisku adiunkta tkwią już od kilkunastu lat, a więc zwyczajnie nie wywiązują się z zawartej umowy. Pytam wprost: „kiedy habilitacja?”

– Ja w ogóle nie lubię narzekać. A do uczelni rzeczywiście mam ogromny sentyment. No cóż, to ogromna część mojego życia, bo przecież pracuję tu od 33 lat. Zostanę do końca kadencji obecnych władz rektorskich, a później, już na emeryturze, mam zamiar zrobić wszystko to, na co dotąd zawsze brakowało mi czasu: spotkania ze znajomymi, podróże...

– *Są jeszcze miejsca na świecie, których Pani, zapalona podróżniczka, nie odwiedziła?*

– I w Polsce, i w Europie, i poza nią... Dużo podróżuję, są też miejsca, do których chętnie wróciłabym, jak choćby ukochana przeze mnie Kreta. Marzę o wyjeździe do Hongkongu, gdzie mieszka moja pasierbica. Mąż nieopatrznie obiecał mi, że wybierzemy się tam w 25. rocznicę naszego ślubu, a obchodzimy ją w tym roku. Na razie stracił zapał, ale kto wie?

GOŚĆ UO: PROF. PAWEŁ ŚPIEWAK

BARBARA STANKIEWICZ

MARCOWE ECHA PO PÓŁWIECZU



Na zdjęciu (od lewej): prof. Stanisław S. Niciejka, prof. Paweł Śpiewak, Ewa Kantor-Majewska, członek Zarządu Stowarzyszenia Drugie Pokolenie – Potomkowie Ocalałych z Holocaustu, dyrektor Muzeum UO dr Wanda Matwiejczuk (fot. Katarzyna Kulesza-Mazur)

Paweł Śpiewak (rocznik 1951) – socjolog i historyk idei, doktor habilitowany nauk humanistycznych, profesor Uniwersytetu Warszawskiego; publicysta, poseł na Sejm V kadencji, dyrektor Żydowskiego Instytutu Historycznego. Zajmuje się socjologią ogólną, socjologią polityki, historią myśli i filozofią społeczną oraz polityczną. Bada i popularyzuje zachodnią filozofię i teorię polityki, zwłaszcza myśl liberalną i konserwatywną. Zajmuje się także problematyką przemian politycznych i społecznych w Polsce i Europie Środkowej. W 2013 otrzymał Nagrodę im. Księdza Józefa Tischnera (w kategorii „pisarstwo religijne lub filozoficzne”) za całokształt twórczości.

„Wydarzenia Marca 1968 – geneza, przebieg i znaczenie historyczne z perspektywy minionego 50-lecia” – taki miał tytuł wykład, w ramach tzw. Złotej Serii Wykładów Otwartych, prof. Pawła Śpiewaka, wygłoszony 16 marca br. w Auli Błękitnej Collegium Maius UO. Prof. Stanisław Niciejka, inicjator tej prestiżowej serii, prezentację sylwetki naukowej wykładowcy uzupełnił przypomnieniem,

że gość jest synem cenionych pisarzy – Jana Śpiewaka i Anny Kamińskiej. Ten prywatny wątek nabrał szczególnego znaczenia na zakończenie spotkania.

Profesor rozpoczął wykład od wydarzeń z 8 marca. Tego dnia, o szóstej rano, aresztowano osoby, które uznano za szczególnie aktywne podczas studenckiej manifestacji pod pomnikiem Adama Mickiewicza.

Jednym ze skutków szyskan było relegowanie z uczelni dwóch studentów: Adama Michnika i Henryka Szlajfera. Formalny pretekst tej drakońskiej decyzji to udzielenie przez tę dwójkę wywiadu dziennikowi „Le Monde”, w którym opowiadali o przebiegu zajęć. W południe 8 marca na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego zebrało się około pół tysiąca studentów. Przygotowano list protestacyjny do prorektora prof. Zygmunta Rybickiego i wiele wskazywało, że dojdzie do spokojnego samorozwiązania zgromadzenia.

Wtedy na dziedzińcu wtargnął tzw. akty robotniczy (wzmocniony funkcjonariuszami SB w cywilnych ubraniach), wyposażony w pałki, a potem uzupełniła atak milicja, oddziały gołędzinowskie, czyli ZOMO. Pałowano także studentki. Ta fala przemocy musiała wywołać nie tylko strach, poczucie zagrożenia, ale także frustrację: władza po raz kolejny pokazała, na czym polega „ludowa demokracja”.

WROGOŚĆ W GENACH

Następnego dnia pojawiły się w gazetach jedynie krótkie notki o jakichś drobnych incydentach na Uniwersytecie Warszawskim. I dopiero w poniedziałek, 11 marca, „Słowo Powszechne” (wydawane przez PAX) wydrukowało duży artykuł, w którym oznajmiono, że za tymi wydarzeniami stoją syjoniści. Szkopuł w tym, że nikt wtedy nie wiedział, co to za twór, ci syjoniści. Ale to słowo pojawiało się na transparentach potępiających studentów, a nawet znalazło się w zawołaniu „Syjoniści do Syjonu” (!). Rozpoczęta kampania próbowała swój antysemityczny charakter ukryć pod szyldem „antysyjonizmu”.

Do nagonki włączyła się cała prasa, radio i telewizja. Prymitywizmem i agresywnością wyróżniała się (wydawana w Łodzi) „Karuzela”, satyryczne czasopismo, wypełniane wtedy rysunkami wzorowanymi na prasie nazistowskiej. Te reżyserowane przez władzę poczynania miały upowszechnić pogląd, że każdy, kto ma żydowskie pochodzenie, jest syjonistą, a w tłumaczeniu na prosty język: jest wrogiem Polski. Organizowano na ten temat „spontaniczne” wiece; akcja nie ominęła zakładów pracy, a nawet szkół.

Ważnym składnikiem tej nagonki było przemówienie Władysława Gomułka z 19 marca: „Granice są otwarte, kogośkolwiek chce wyjechać z Polski, nie napotka przeszkód”. Ta teza została powtórzona w czerwcu 1969 roku. Efekt: opuściło kraj około 14 tysięcy osób, nie tylko żydowskiego pochodzenia. Bo obok aspektu antysemitycznego - kampanii towarzyszył nurt antyrewizjonistyczny, czyli

skierowany przeciwko tym osobom, związanym z marksizmem, które kwestionowały pryncypia ustrojowe i próbowały poddać je interpretacyjnej „rewizji”. Gość serii „Złoty Wykładów” powiedział z ironią: „Gdyby mnie tu państwo zapytali, co to są poglądy rewizjonistyczne, to za diabła nie wiem. Wiem tylko, że są to poglądy niewłaściwe”.

Do strat pomarcowych trzeba koniecznie doliczyć surowe wyroki sądowe, które dotyczyły nie tylko studentów, ale także młodych robotników. Studentów kierowano do odbycia służby wojskowej w karnych kompaniach, zamknięto niektóre wydziały na Uniwersytecie Warszawskim, złamano wiele karier, wykorzystywano atmosferę do porachunków osobistych. To był wstrząs dla Polaków, szczególnie młodych. Było to bowiem pokolenie małej stabilizacji, inwestujące w prywatność. Marzec '68 w istotnym stopniu wpłynął na zmianę świadomości. Swoistym dopełnieniem marcowego klimatu politycznego była inwazja wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację w sierpniu 1968 r. Okres, który nastąpił, profesor Śpiewak nazwał (przywołując pojęcie z innego kontekstu geograficzno-historycznego) polską odmianą *Smuty*, charakteryzującą się u nas zastoje w życiu umysłowym, narastającą biedą, pogłębiającym się kryzysem gospodarczym. Rosło poczucie, że sytuacja polityczna wymaga radykalnego rozwiązania. Nadeszło ono w grudniu 1970 r.

PARTYJNI PARTYZANCI W GARNITURACH

Przygotowania do wydarzeń, których detonatorem był Marzec '68, zaczęły się znacznie wcześniej. Wiązały się – zdaniem prof. Śpiewaka – z walką wewnątrzpartijną w obrębie PZPR. Dochodziła do głosu i znaczenia tzw. frakcja partyzancka (liderem był Mieczysław Moczar, wkrótce szef MSW), propagująca hasła narodowościowe, czyniąca gesty wobec AK, dopominająca się o docenienie polskiego patriotyzmu i heroizmu. Ten język szybko zyskał znaczne wzięcie społeczne.

Ważny, po wielokroć powtarzany argument „frakcji partyzantów”, brzmiał: socjalizm w Polsce uległ wypaczeniu i deformacji m.in. dlatego, że znaczną część ważnych stanowisk w aparacie państwowym i partyjnym zajmowali towarzysze pochodzenia żydowskiego. Gdyby nie oni, to stalinizm w Polsce byłby mniej straszny. Potrzebny jest więc socjalizm z narodową twarzą, a warunkiem jego zaistnienia jest odesłanie wszystkich Żydów do ich Ziemi Obiecanej, czyli Izraela. W realizowaniu zamierzeń grupy „partyzanckiej”, zwłaszcza dotyczących

czystek antyżydowskich w wojsku, ważną i niechlubną rolę odegrał gen. Wojciech Jaruzelski. Usuwano także redaktorów naczelnych gazet i czasopism (antysemickiej nagonce oparł się jedynie tygodnik „Polityka”, kierowany przez Mieczysława Rakowskiego).

Prof. Śpiewak: „Najstraszniejsze przemówienie, jakie w życiu słyszałem, to był Gomułka w 1967 r. na kongresie związków zawodowych. Wobec Żydów i osób pochodzenia żydowskiego użył określenia „piąta kolumna”, nazwał ich przebierańcami, farbowanymi Polakami. Powiedział, że „w Polsce możemy mieć tylko jedną ojczyznę”. Przygotowało to klimat, który pomógł także wymianie kadr, bo do władzy parło kolejne pokolenie aparatczyków.

Po raz pierwszy od 1956 r. studenci i intelektualiści w tak bardzo wyraźny sposób buntowali się przeciwko władzy. Ale bunt ten nie miał charakteru antykomunistycznego. Był buntem przeciwko zamachowi na wolność słowa, niezgodą na wszechmoc cenzury, protestem wobec „dyktatury ciemniaków”; ujawnił solidarność pokoleniową, służył upomnaniu się o represjonowanych, nawoływał do przestrzegania ówczesnej Konstytucji, w której – jak na ironię – były przecież zapisane gwarancje wolności.

Wspólnota pokoleniowa będzie sprzyjała budowaniu mitu: mitu roku 1968. To pokolenie stworzyło i podtrzymało wielki mit kulturowy, stworzyło samych siebie, stworzyło podłoże, taką infrastrukturę psychologiczno-kulturową dla późniejszych protestów politycznych. Zamierzeniem władz było odudzenie młodych ludzi myślenia politycznego, stopienie wrażliwości społecznej, odwrócenie się tyłem do spraw publicznych. A dokonało się coś wręcz odwrotnego, co zaowocowało później, a zmateriałizowało się w postaci KOR-u, rozrastającej się opozycji, z powstaniem „Solidarności” włącznie. Język marcowego protestu, swoiście się samoograniczającego, formułowany był w postaci dość ogólnych, niewątpliwie ważnych, ale abstrakcyjnie ujętych pojęć. W 1968 r. nie istniała kategoria praw człowieka.

CHAŁUPNICZA PRODUKCJA NOWYCH ELIT

Poza figurą „Żyda zdrajcy”, „Żyda nielojalnego” pojawiła się wtedy i była wytrwale propagowana w dyskursie publicznym figura „Sprawiedliwego”. Czyli Polaka ratującego Żydów w czasie wojny. To była taka sytuacja, kiedy ludzie – mówiąc delikatnie – nie najlepszej kondyty (typu Gomułka, Moczar) zasłaniają się czynami ludzi zarynych, by powiedzieć: jak możecie nam, Polakom, zarzu-

cać antysemityzm, skoro mieliśmy tylu Sprawiedliwych?!

Kolejna okoliczność charakteryzująca tamten czas to granie władzy na jeszcze jeden podział: podział na „lud” i „inteligencję”. To był okres wybitnie antyinteligentki. Inteligencji, czyli krytyczne myślenie, niezależność sądów i opinii, zdolność do posiadania i wypowiedzania własnego zdania, krytyczna postawa wobec własnej historii i przeszłości. Tę władzę nie akceptowała, wykorzystywała jako powód do ataków na inteligencję, zwłaszcza tzw. inteligencję twórczą. Miał jej w tym pomagać „lud”, zwany wtedy ludem pracującym. Trzeba – mówiono – dopuścić do karier młodzież robotniczą i chłopską, wymienić elity, które się nie sprawdziły, które jak papuga powtarzają zachodnie brednie i naśladują kosmopolityczne mody. Te hasła, w trochę zmodyfikowanej formie, wracają, niestety, w latach 90.

Profesor Śpiewak zwrócił uwagę, że w Polsce Ludowej coś ważnego działo się co 12 lat: 1944-1956, 1956-1968, 1968-1980... Władza komunistyczna opierała się na ideologii klasowej, na walce klas. I w pewnym sensie lekceważyła problematykę narodową. To była ta dominująca perspektywa, szalenie zideologizowana. „My, partia, walczymy o sprawiedliwość społeczną, żeby klasa robotnicza żyła lepiej”. To miało mieć znaczenie legitymizujące, uzasadniające sprawowanie rządów w państwie. W 1968 r. z ideologią marksistowską zaczęła się mocować ideologia narodowa. Otwarcie na ideologię narodową dało – zdaniem prof. Pawła Śpiewaka – wiele ciekawych efektów, pozwalających polską historię zobaczyć trochę inaczej, trochę inaczej o niej mówić i pisać. To był efekt nieprzewidziany, rodzaj skutku ubocznego.

Na koniec warto pamiętać, że polski Marzec '68 to nie jest zjawisko izolowane, jakaś wyłącznie polska specyfika. Była przecież Praska Wiosna za południową granicą, był Paryski Maj. Ówczesna fala protestów (głównie studenckich) przetoczyła się przez cały niemal świat: od Rzymu i Paryża, przez amerykańskie kampusy, po Tokio.

„Pokolenie Marca '68 odchodzi na emeryturę. Pewnie za jakieś 25 lat nie będzie już komu czcić takich rocznic” – powiedział prof. Paweł Śpiewak na zakończenie wykładu.

Dopełnieniem spotkania był wzruszający moment: prof. Stanisław Nicieja podarował prof. Pawłowi Śpiewakowi zbiór listów ze swego prywatnego archiwum. Profesor Nicieja dostał te listy podczas pobytu w Monachium. Sprezentowany zbiór to korespondencja między Ignacym Szenfeldem, pracownikiem radia „Svoboda” a Anną Kamieńską, z którą Szenfeld był w serdecznej przyjaźni.



Robert Biedroń w Auli Błękitnej Collegium Maius spotkał się z mieszkańcami Opola

BARBARA STANKIEWICZ

PIŚ MNIE SZCZERZE NIENAWIDZI

Robert Biedroń – prezydent Słupska, działacz społeczny, aktywista LGBT i pierwszy polski polityk, który publicznie powiedział, że jest osobą homoseksualną, 9 marca br. w Auli Błękitnej Uniwersytetu Opolskiego spotkał się z mieszkańcami Opola. Wcześniej był gościem rektora prof. dr. hab. Marka Masnyka.

Zanim został prezydentem Słupska, był posłem na Sejm VII kadencji, założycielem i (w latach 2001–2009) prezesem Kampanii Przeciw Homofobii. Jest absolwentem politologii i nauk społecznych na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie, ukończył również Szkołę Liderów Politycznych i Społecznych oraz Szkołę Praw Człowieka przy Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka.

W Auli Błękitnej, podczas rozmowy z opolanami – bo taka była konwencja spotkania – opowiadał m.in. o swoich doświadczeniach z pracy w słupskim ratuszu.

„Jak gej został prezydentem”

– Kiedy wybrano mnie na prezydenta Słupska, wszyscy bacznie obserwowali: jak „ten gej”, który jeździ na rowerze i unika jedzenia mięsa, jak on sobie poradzi na

tym urzędzie, w dodatku w jednym z najbardziej zadłużonych miast w Polsce. To było dla mnie ogromne wyzwanie, przecież ja nawet nie wiedziałem, co to jest WPI (Wieloletni Plan Inwestycyjny)... Dziś wiem doskonale, bo sam się tego nauczyłem. Nie ma przecież żadnego specjalnego uniwersytetu, na którym prezydenci miast mogliby się nauczyć rządzenia. Bez dialogu z mieszkańcami i konsultacji ze wszystkimi grupami nie można być dobrym gospodarzem miasta. Ja mam taką czerwoną kanapę, którą często ustawiam na ulicy, zabieram do szkół, a nawet przedszkoli – na niej siadamy i rozmawiamy z mieszkańcami. To taki symbol dialogu. Ale też, za co mnie krytykują, często jeżdżę po Polsce. Podróżuję chętnie – prywatnie i zawodowo, zawsze z plecakiem. Do Opola też z plecakiem przyjechałem. Z tych podróży

przywożę do Słupska najlepsze, podpatrzone u innych, rozwiązania. Dzięki temu dziś Słupsk nie leży koło Ustki – to Ustka leży koło Słupska. A sam Słupsk jak się w Polsce kojarzy? Słupsk to Biedroń. No i dobrze, o to chodzi. Miasto musi ludziom kojarzyć się jakoś. Dobrze, źle, ale jakoś, nie może być – aż się boję te słowa w Opolu wypowiedzieć – byle jakie...

– Kiedy rozpoczynałem pracę w roli prezydenta, Słupsk był piątym pod względem wielkości zadłużenia miastem w Polsce. Zaczął się czas trudnych decyzji: odebrałem nauczycielom dodatki, przez dwa lata nie było żadnych podwyżek dla samorządowców, wszyscy zacisnęliśmy pasa. Dlaczego się to udało i nikt nie protestował? Już pierwszego dnia zapowiedziałem: będę zarabiał mniej niż wójt najmniejszej gminy. I tak jest do dziś – jestem najmniej zarabiającym prezydentem miasta w Polsce. Zaczęłem ciąć zbyt duże wydatki, zrezygnowałem na przykład z kupowania butelkowanej wody mineralnej do urzędu – bo skoro mamy oszczędzać, to wszyscy. Nie jeżdżę limuzyną, owszem, mamy samochód w urzędzie, ale jeździ nim straż miejska i urzędnicy. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz z niego korzystałem, jeżdżę swoim samochodem, rowerem lub komunikacją miejską. Kierowcy zatrudnieni w ratuszu nie są już tylko kierowcami – zajmują się pracą biurową, a jak trzeba – jadą z urzędnikiem, rozwożą pisma.... To nie są wielkie oszczędności, ale ważne sygnały dla mieszkańców, że pasa zaciskamy wszyscy. Dodam też, że zarobki wszystkich osób zatrudnionych w słupskim urzędzie są jawne.

Miasta muszą być atrakcyjne dla młodych

– Z prognoz wynika, że w 2050 r. w Słupsku, a także w Opolu, będzie żyć raptem ok. 70 tysięcy obywateli. Musimy więc zrobić wszystko, żeby nasze miasta stały się na tyle atrakcyjne, żeby młodzi ludzie stąd nie wyjeżdżali. Dla mnie najważniejsze jest mieszkalnictwo komunalne, stąd budujemy w Słupsku bardzo wiele takich mieszkań. Bo młodzi ludzie, którzy wchodzą w dorosłe życie, muszą mieć własny kąt, inaczej wyjadą, będą wynajmować mieszkania w Gdańsku, Krakowie czy Warszawie... Mieszkalnictwo komunalne, ten mój priorytet, dla neoliberalistów i wolnorynkowców – to jest katastrofa. Leszek Balcerowicz, jak mu powiedziałem, co robię, omal nie dostał zawału...

– My się musimy od siebie uczyć. Na świecie jest 450 tysięcy miast, a każde jest jakoś tam inne. Warto się sobie przyglądać i nie konkurować, ale uczyć się od siebie.

Ktoś, kto mieszka w Namysłowie, może sobie myśleć: „Ta Warszawa taka fajna, a Kraków jaki fajny... A my, taka prowincja, nic się nie dzieje. Nuda”. Trzeba to zmieniać. Ale sami samorządowcy tego nie robią. Potrzebujemy też rozumnych władz centralnych, nie tych, które nam wmawiają, że jak Polska wstanie z kolan, to będzie dobrze... Bo, jak widać, oni wstając z kolan, od razu łbem wałają o belkę... Potrzebne nam władze, które pomogą rozwiązywać konkretne problemy, choćby takie, jakie mają Opole i Słupsk – brak szybkich połączeń z mniejszymi miejscowościami.

– Budowana jest właśnie autostrada S-6, na trasie Szczecin–Gdańsk, która omija Słupsk – biegnie 50 kilometrów przed miastem i 50 kilometrów za miastem. Bez sensu? Oczywiście, że bez sensu, ale jeśli PiS, którzy mnie szczerze nienawidzi, może mi dokopać, to dlaczego ma tego nie robić, utrudniając życie nie tylko Biedroniowi, ale i pozostałym mieszkańcom Słupska? Dlaczego mieszkańcy mają płacić taką cenę za swój wybór? Tym bardziej, że w Konstytucji mamy zapisaną zasadę zrównoważonego rozwoju Polski. I tym powinniśmy się kierować, a nie widzimisię takiego czy innego ministra.

– Przed każdym posiedzeniem Rady Miasta spotykam się ze wszystkimi klubami radnych, także PiS, żeby szukać konsensusu. Staram się realizować politykę w sposób, o którym Hillary Clinton powiedziała: „tak, aby nikt nie pozostawał z tyłu”. Tymczasem rządzący Polską stawiają na podziały – państwo na tej sali są zapewne obywatelami drugiego sortu, ja zresztą też, zapewne razem staliśmy po tej stronie, gdzie stało ZOMO. Brakuje w Polsce polityków, którzy mówią: jesteśmy wspólnotą, Polska to nasz wspólny dom. Łatwo jest hejtować, podburzać... Mógłbym zrobić to i ja: naopowiadać tu państwu o politykach, z którymi się nie zgadzam, a państwo bilibyscie mi brawo, że się śmieję z Pawłowicz, Jakiego i Kaczyńskiego... Trudniej jest, potrzeba więcej energii, żeby szukać tego, co nam jest wspólne. Dlatego tak bardzo są nam dziś potrzebni politycy, którzy chcą łączyć, a nie dzielić społeczeństwo.

Przeciwnik galerii handlowych i wielkiego biznesu

– Czy rozbudowa centrum handlowego w sercu Opola jest przedsięwzięciem miastotwórczym? Ja mam wątpliwości. Bo padną wszystkie małe sklepiki dookoła. Ja mam w Słupsku podobny problem, ale jak może być inaczej, skoro mieszkańcy spędzają każdy wolny wieczór w ogromnym „Jantarze”, największym centrum handlo-

wym na Pomorzu Środkowym? Sami, swoimi portfelami, decydują o plajcie małych sklepików. A przecież prezydent miasta nie będzie sztucznie utrzymywał sklepiku, gdzie pani Gienia sprzedaje bieliznę...

– Mieszkańcy Słupska atakują mnie za to, że nie ściągnąłem do miasta żadnego dużego inwestora. To prawda. Bo ja jestem temu przeciwny – to byłaby najgorsza decyzja. Bo dziś globalizujący się biznes jest w stanie w ciągu miesiąca czy dwóch wyprowadzić się z miasta – ale do tego czasu poupadałyby wszystkie mniejsze przedsiębiorstwa, wydrenowane z pracowników przez tego potentata. Dlatego cieszę się, że do Słupska udaje mi się ściągać bardzo wielu małych i średnich przedsiębiorców, firm, które są bardziej stabilne, tworzą różnorodną tkaninę miasta. Jestem z tego dumny.

Stawiam na chodniki

– Według prognoz w 2050 r. ponad połowę mieszkańców Słupska i Opola będą stanowić seniorzy. Miasta muszą się do tego przygotować, począwszy od tak prozaicznych rzeczy, jak przebudowa chodników, tak aby ludzie starsi bez obaw mogli się nimi poruszać. W Polsce stale rozbudowujemy drogi, inwestujemy w nowe, budujemy kolejne biegnące przez miasto – ja tego w Słupsku nie robię, przez co radni się złością na mnie, bo robili drogi zawsze, przez wszystkie kadencje, to był tradycyjny element ich pracy... A ja robię chodniki. Jak zostałem prezydentem, w mieście na remont i budowę ciągów pieszych przeznaczano 50 tys. złotych rocznie. Dziś – prawie milion złotych. Bo przecież nie każdy z nas jest kierowcą, ale każdy jest pieszym. Trzeba więc spojrzeć na miasto z perspektywy pieszego. Oczywiście, zawsze znajdziemy tysiąc powodów, żeby budować kolejne parkingi – bo chcemy podjechać samochodem jak najbliżej ratusza, kina, sklepu... Ale w miastach wielkości Opola czy Słupska mamy idealne warunki, żeby stawiać na ruch rowerowy, na ruch pieszy...

Ja wiem, jak wywołać oklaski

– Musimy sobie odpowiedzieć na pytanie, w jakim kraju chcemy żyć. Czy, na przykład, w kraju solidarnym. Słowo „Solidarność” piszemy w Polsce przez duże s, ale jak jest w praktyce? Pytam młodych ludzi w szkole – oni mają odwagę mówić rzeczy straszne – jaki ma być nasz kraj, nasze społeczeństwo. I słyszę: żadnych podatków, każdy ma sobie radzić sam. Nie ma pieniędzy na leczenie – niech umiera, nie stać go na naukę – niech się nie

uczy. To jest darwinizm społeczny: jednostki najsilniejsze przetrwają, słabsze zostaną wyeliminowane. Niestety, takie myślenie jest bardzo popularne w młodym pokoleniu, zwłaszcza wśród młodych mężczyzn (dziewczyny, pytane o to samo, na ogół milczą, bo tak je wychowano, nauczone je milczenia). To oni zasilają później te wszystkie ruchy narodowe. Ja oczywiście generalizuję, ale coś w tym jest.

– Politycy dużo obiecują. Ja też mogę to bez trudu zrobić, ja wiem, co mówić, co obiecywać, żeby moi słuchacze klaskali. Na to nie możecie się nabierać. Zauważmy, nasze miasta bardzo się na korzyść zmieniły. A my? Czy my się zmieniliśmy? Wydawało się, szczególnie neoliberalom, że wystarczy zbudować kolejne stadiony, aquaparki, lotniska – a społeczeństwo mentalnie automatycznie doszłusuje do Europy Zachodniej. Tymczasem tymi pięknymi autostradami jeżdżą także polscy neonaziści, a w głowach mają, to co mają. Bo trzeba jeszcze zainwestować w myślenie, w edukację... Musimy to społeczeństwo obywatelskie zacząć budować – poprzez angażowanie się w pracę samorządów, organizacji pozarządowych, poprzez manifestowanie swojej niezgody na to, co się dzieje, uczestnictwo w wyborach... Bo my bardzo wiele oczekujemy od polityków, bardzo mało od siebie. Zróbmy mały test: kto z państwa ostatnio był w jakiejś sprawie u radnego? Kto wymieni nazwiska radnych Opola? A ilu jest parlamentarzystów z waszego okręgu? Czym zajmuje się parlamentarzysta, na którego głosowaliście? No właśnie. Jak zostawałem parlamentarzystą, myślałem, że wyborcy zasypią mnie sprawami, pytaniami, propozycjami (przed telewizorem robimy to wszyscy) – a tu nic, cisza. Oglądamy Pawłowicz, jak je sałatkę w sejmie i komentujemy: za nasze podatki je, zamiast pracować! Tymczasem Krystyna Pawłowicz jest akurat jedną z najbardziej pracowitych posłanek, oczywiście robi różne rzeczy niezrozumiałe dla kogoś zrównoważonego, ale ma ogromną wiedzę prawniczą, przygotowała najbardziej liberalny projekt ustawy o zgromadzeniach, który działał, nim PO go nie popsowała. Nikt o tym nie wie, bo to nie jest medialne, nie taki obraz serwują nam media. W telewizji dokładnie wiedzą, że jak tematem programu będą sprawy merytoryczne, to państwo przełączy kanał. Kiedy mnie zapraszają do studia, nikt mnie nie pyta o moją pracę, tylko np. o to, co sądzę o Pawłowicz jedzącej sałatkę. Bo widzowie tego chcą, bo na to czekają reklamodawcy.

„Oswoiliście Biedronia”

– Dla mnie najważniejszym pytaniem jest: na jakim fundamencie budujemy nasz kraj. Ma to być Polska wykluczająca czy łącząca? Kraj otwarty czy zamknięty? I wreszcie – co z uchodźcami, przyjmujemy czy nie? To pytanie, przed którym stoi dziś każdy kraj, a już na pewno kraj europejski. Czy jeżeli nie jesteśmy solidarni z ludźmi, których spotkało nieszczęście, mamy prawo oczekiwać pomocy, kiedy nam się podobne nieszczęście przydarzy? A co, jeśli sami z takiej pomocy w przeszłości korzystaliśmy? A przecież Polaków, w latach minionych, przyjmowali wszyscy.

– Była sobota, rano. Wchodzę na facebooka, a tam jedna z nauczycielek słupskich pisze, że „trzeba ucinąć ciapatym głowy”. Zezłościłem się: ta kobieta nie może uczyć dzieci! Ale ochłonąłem: co z tego, że ona straci pracę, jak i tak nie zmieni swoich poglądów. Zaprosiłem do każdej szkoły, do każdej klasy, syryjskich uchodźców (mężczyźni, kobiety i dzieci), mieszkających w Słupsku od kilku lat. I pewnego dnia ta nauczycielka musiała usiąść naprzeciwko „tych ciapatych”, którym chciała urznąć głowy. Opowiadali dzieciom o wojnie w Syrii. Wszyscy słuchali w skupieniu i jakoś nikt nie miał ochoty nazywać tych ludzi „ciapatymi”. Wniosek: trzeba edukować, pokazywać, konfrontować, nie ma innej drogi. Kilka lat temu, kiedy byłem na spotkaniu w Opolu, w moim kierunku poleciały różne przedmioty. Bo przyjechał „ten gej”. Dzisiaj przyjeżdżam i moja orientacja nie jest już problemem. Bo już oswoiliście Biedronia. Oswajanie obcego jest trudne, ale przecież robimy to przez całe życie. Tak działa świat. A politycy straszą obcym, innym – także po to, aby odciągnąć naszą uwagę od innych rzeczy. To za ich sprawą zajmujemy się dziś problemami, którymi nie powinniśmy się zajmować. Jakim problemem dla Polski jest przyjęcie siedmiu tysięcy uchodźców? W Polsce mamy 2,5 tysiąca gmin, więc gdybyśmy przyjęli tych uchodźców, na jedną gminę przypadnie raptem jedna rodzina. Statystycznie rzecz biorąc, przeciętny opolanin nie pozna nawet tych ludzi. W latach 90. do Polski wjechało 100 tys. Czeczenów – kto z państwa poznał choćby jednego z nich?

– Kiedy wprowadzałem parytet do spółek miejskich, gdzie w radach nadzorczych musi być co najmniej 40 proc. jednej z płci, zostałem wyśmiany. Mówiono, że nie ma takich kobiet. Nie mają kompetencji, doświadczenia. Tymczasem z danych wynika, że 60 proc. absolwentów szkół wyższych w Polsce to kobiety, większość zdających egzaminy do rad nadzorczych to także kobiety, ale po-

tem znikają gdzieś po drodze na wyższe stanowiska. Dziś muszą robić konkursy, bo do rad nadzorczych zgłasza się tak wiele kobiet. One świetnie sobie radzą w życiu publicznym, trzeba im tylko dać szansę, a raczej – stworzyć równe szanse dla obu płci. Ja mam to szczęście, że spotkałem w swoim życiu wiele mądrych, silnych i odważnych kobiet – jedna z nich miała taką odwagę, żeby napisać do ówczesnego ministra Romana Giertycha, że jako nauczycielka nie będzie respektować jego poleceń i nadal będzie uczyć w szkole tolerancji dla wszelkiej odmienności. To opolanka, dziś pracownik Uniwersytetu Opolskiego, Marzanna Pogorzelska.

– Skąd to wyczulenie na sytuację kobiet? Kiedy człowiek jest wykluczany z powodu swojej orientacji seksualnej czy wyznania, to szybko wyczuje, że ten sam mechanizm dotyczy także kobiet i innych grup. Bo to nie działa tak, że ci, którzy wykluczają, wykluczają tylko Żydów. Dziś wykluczają Żydów, ale jutro ten sam mechanizm poprowadzi ich do wykluczania gejów, innowierców, ludzi innych nacji... Choćby Niemców – to *à propos* Opola i „ukrytej opcji niemieckiej”... Ja też mam swoje uprzedzenia, nad którymi pracuję, ale ważne jest, żeby próbować poznać tego obcego, którego się boimy. Wiem, że pani Krystyna Pawłowicz mnie nie cierpi, ale ilekroć mijaliśmy się na korytarzach sejmowych, zawsze jej mówiłem: „dzień dobry”. A ona, za każdym razem: „nie podchodź do mnie!”. Odkąd zostałem prezydentem Słupska, już się nie spotykamy, ale jak ją znów spotkam, też się przywitam, będę miły, zrobię wszystko, żeby wreszcie oswoiła tego obcego, czyli Biedronia.

– Zapraszam do Słupska, tam jest świeże powietrze. Także to polityczne.



Fotografia autorstwa Maxa Glauera, która znalazła się w książce Stanisława Wasylewskiego „Na Śląsku Opolskim” (ze zbiorów Muzeum Śląska Opolskiego)

URSZULA ZAJĄCZKOWSKA

TAJEMNICA STAREGO MASZYNOPISU

Czy Stanisław Wasylewski poznał Maxa Glauera?

Przypadająca w 2018 roku 80. rocznica I Kongresu Polaków w Berlinie oraz 95. rocznica założenia I Dzielnicy ZPwN stały się dla naszego muzeum pretekstem do poszukiwań nowych treści, związanych z tymi wydarzeniami i ich uczestnikami. Okazało się przy tej okazji, że jest jeszcze sporo dokumentów, które nie były przejrane, a zawierają dużo ciekawych faktów, ukazujących działalność członków Związku Polaków w Niemczech. Muzeum Śląska Opolskiego otrzymało maszynopis Jana Klicha – jednego z działaczy tej organizacji, który w latach 1934-1939 pracował w biurze I Dzielnicy ZPwN, w Opolu. Jego wspomnienia pozwoliły nam odkryć nowe fakty.

Dla mnie największym odkryciem stało się rozwiązanie zagadki – skąd wzięły się w książce Stanisława Wasylewskiego zdjęcia Maxa Glauera. Zawsze nurtowało mnie pytanie - czy Wasylewski poznał Glauera i jakie były relacje między nimi? Wasylewski opublikował swoją książkę „Na Śląsku Opolskim” w 1937 roku. Przygotowując się do jej publikacji, musiał przecież ten teren wcześniej zwiedzić i poznać. Zamieszczone w książce zdjęcia, ilustrujące tekst, pochodzą z różnych źródeł. Zdjęcia opolskiego fotografa, wykorzystane w tej publikacji, są dowodem przemyślanego doboru materiału. Max Glauer zmarł co prawda w 1935 roku (25 sierpnia), jednak nie był to na tyle odległy czas, żeby Wasylewski nie mógł poznać Glauera.

W roku 1993 przygotowałam w muzeum wystawę dedykowaną Stanisławowi Wasylewskiemu, która ukazywała jego twórczość i związki z naszym regionem. W 2015 roku zorganizowaliśmy z kolei w muzeum wystawę poświęconą Maxowi Glauerowi – i niezmiennie pojawiało się pytanie o relacje między tymi osobami.

Odpowiedź przyszła dopiero w tym roku wraz z podjętą pracą nad wystawą poświęconą rodłakom. Skarbnicą wiedzy okazał się maszynopis Jana Klicha, który poświęcił cały rozdział Wasylewskiemu, tytułując go: „Stanisław Wasylewski na Śląsku Opolskim”. Jak wynika z tych notatek, Wasylewski przyjechał do Opola w lutym

1935 r. Wtedy to konsul generalny RP w Opolu Bohdan Samborski zadzwonił do Jana Klicha i zaprosił go do konsulatu na spotkanie, gdzie poznał obu panów.

Konsul uznał, że Jan Klich będzie dobrym przewodnikiem dla znanego polskiego pisarza i oprowadzi go do Opolu, i po najbliższej okolicy. Jan Klich przyjął to wyzwanie, oprowadził pisarza po mieście, pokazując każdy ważny zakątek, a także towarzyszył Wasylewskiemu w wypadach za miasto.

Wasylewski, jak pisze w swoich notatkach Klich (pisownia oryginalna), „wyraził życzenie posiadania, czyli nabycia zdjęć dokumentalnych. Wówczas jeszcze nie posiadałem aparatu fotograficznego ani też żadnych zdjęć własnych. Pragnąłem jednak zadość uczynić życzeniu pisarza. Przypomniałem sobie, że w oknie wystawowym opolskiego fotografa nadwornego Maxa Glauera często widziałem i podziwiałem jego piękne zdjęcia Ziemi Śląskiej i folkloru jej. Gdy pisarzowi o tym wspomniałem, natychmiast wyraził chęć nabycia ich – po każdej cenie. Po powrocie do miasta i otrzymaniu większej sumy pieniędzy, udałem się więc do w/w fotografa. Przyjęła mnie jego córka. Przedstawiłem się jako turysta z Westfalii, którego dziadek pochodził ze Śląska. Bawiąc na tutejszym terenie, pragnę nabyć, na pamiątkę dla siebie i rodzeństwa swego, zdjęcia folkloru tutejszego. Glauerówna uwierzyła w moje słowa, bo mówiłem przecież płynnie językiem zachodnioniemieckim i dlatego też bardzo usłużnie przedłożyła mi cały plik pięknych zdjęć do wyboru. Wybrałem kilka z nich, zapłaciłem za nie dość drogo i wyszedłem z zakładu uradowany, że na pewno znajdą one poklask pisarza. Tak też było, czego najlepszym dowodem jest to, że w swej później wydanej książce pt. *Na Śląsku Opolskim*, opublikował je wszystkie w oryginalnych tj. całostronicowych rozmiarach na stronach: 31, 33, 34, 104, 125, 144, 154, 162, 168, 173, 186, 196, 214, 218”.



Legitymacja Jana Klicha, członka Związku Polaków w Niemczech

I tak rozwiązała się zagadka zdjęć Glauera w książce Wasylewskiego. Okazuje się, że panowie się nie spotkali, zdjęcia nie są przysługą przyjacielską, zostały kupione przez Jana Klicha na prośbę i za pieniądze pisarza. Wasylewski na koniec pobytu w Opolu wpisał się do notosu swojego przewodnika, dziękując za okazaną pomoc. Rzec miała miejsce w Opolu, w Gospodzie Polskiej, przy kieliszku koniaku i kawie – jak pisze we wspomnieniach Jan Klich.

Jan Klich, mówiąc Glauerównie, że jest turystą z Westfalii, aż tak bardzo nie skłamał. Urodził się bowiem w 1903 r. w Zagłębiu Ruhry, w gminie Röhlinghausen (obecnie dzielnica miasta Wanne-Eickel). Jego rodzice przyjechali tam z Poznańskiego za pracą – ojciec pracował jako górnik. Dzieci chodziły do szkół niemieckich, jednak rodzice nie zapominali o nauce języka polskiego, dzięki czemu, jak pisze Klich: „nigdy nie nabyliśmy się kompleksu niższości wobec dzieci niemieckich – prze-

ciwnie: dumni byliśmy choćby z tego, że przewyższaliśmy je władaniem dwoma językami!”.

Z chwilą powołania III Dzielnicy Związku Polaków w Niemczech (Westfalia i Nadrenia) Klich wstąpił, w 1923, w jej szeregi. Działał aktywnie w środowisku polonijnym. Był m.in. współzałożycielem Towarzystwa Młodzieży Polsko-Katolickiej w Wanne-Eickel, które liczyło 120 członków. W 1934 r. został etatowym pracownikiem Dzielnicy I ZPwN, co wiązało się ze zmianą miejsca zamieszkania. Do jego obowiązków należało organizowanie życia kulturalnego – wymiana zespołów amatorskich między Polską a Niemcami oraz sprowadzanie polskich artystów i zespołów na teren Górnego Śląska. W 1939 r. został aresztowany przez Gestapo i osadzony w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie. Po wojnie zamieszkał w Szczecinie.

JOANNA MATLACHOWSKA

WIERSZE

Marzec

(Irenie Wyczółkowskiej)

Fiołków jeszcze nie ma
dziś sprawdzałam
nie ma też Ciebie
marzec wrócił – ale nie ten

Wraca tylko tytuł
Twojego wiersza
brzęczy gdy szukam patrząc pod nogami
wciąż żółto i mokro

Nie odwiedzam Cię tam
w pustym miejscu
odwiedzam tutaj
– w trawie

Gdy łąza wybiera się na spacer
teraz ją zapraszam – no chodź już –
niech ci będzie...

Najpierw nogi...
uczmy się stawiać ostrożniej
– stopy bołą
obcasy w ką
witaj lecznicza wkładko
potem parasol – zmyłka
łaska niechętnie
kula – ostateczność
samochód – bo dalej
wciąż dalej od siebie
wózek na kółkach – mniejsze zło
w końcu łóżko

Buty jak na wystawie
rzędem pokazują języki
Zdrajcy!

We śnie – skrzydła

„Chory w nocy bez duszności...”
złudna pociecha

Noc otwiera pysk
i pożera poranki i południa
przy wtórze ostrej piszczalki
w głowie
Zamknięty
w bezdusznosci nocy
wieczorem cierpliwie odrabia zadania domowe
z jasnych chwil życia

uparcie porządkuje przestrzeń
na wyciągnięcie ręki

ADAM WIERCIŃSKI

ZA SZYBKIE PISANIE (50)

Tyle razy powtarzane, ciągle ponawiane pytanie: ile Lwowa we Wrocławiu? Nieustające próby obalania legendy. Zadziwiająca trwałość tradycji lwowskich przeniesionych na zachód, na jeszcze jednym, jak pisał kiedyś Stanisław Vincenz – *dalekim posterunku lwowskiego odwrotu*. I mity powstające czasem mimo woli. Ostatni – o Stefanie Banachu we Wrocławiu! O „mieście lwowskim”, dotąd zresztą żywotnym, przypomnieli niedawno Autorzy wnikliwego artykułu o mieszkańcach ziem zwanych jeszcze niedawno odzyskanymi, o różnorakich próbach osławiania przestrzeni: *Bo czym innym niż dowodem autokreacji jest mit lwowski, mówiący o tym, że głównym żywiołem tworzącym polski powojenny Wrocław byli lwowianie? W rzeczywistości 74 proc. osiedleńców pochodziło z obszarów znajdujących się w granicach PRL [szacunki pochodzą z 1947 roku, a określenie PRL pochodzi dopiero z 1952 roku – A.W.], ze Lwowa przybyło 6–10 proc. [sic!] przyszłych wrocławian. Tyle tylko, że wśród nich znalazły się takie postaci, jak Hugo Steinhaus i Stefan Banach [sic!], do tego Ossolineum, a także pomnik Aleksandra Fredry [i po 39 latach ukrywania w magazynach: Panorama Raclawicka – A.W.] – wszystko razem złożyło się na „lwowskość” (Edwin Bendyk, Urszula Schwarzenberg, *Kłopotliwe stulecie*, „Polityka” 2018, nr 8, s. 27).*

Mogliby jeszcze gwoli ścisłości przypomnieć Autorzy, że tuż po II wojnie światowej Wrocław nazywano czasem „małym Lwowem”. Pisał Stanisław Wasylewski w 1948 roku na łamach katowickiej „Odry” tak: *Nad jaką rzeką leży Wrocław, to wielkie pytanie: nad Odrą czy raczej nad Pełtwią? Już dziś jest Wrocław, jeśli się uchem kierować, w 60% lwowski [sic!]. Bytom też może być przykładem zaborczości tej gwary. W ciągu trzech lat przybysze zza Sanu usadowili się tak mocno i wladczo, że gwara tubylcza ustępować im musi co krok miejsca na chodniku. Nie tylko w Bytomiu, wszędzie indziej też usiłuje śpiewna mowa usunąć w cień i przygłuszyć inne, mniej rozdobędne gwary. [...] Żadna inna gwara polska nie zdoła wytrzymać impetycznego naporu czerwieńskiego i cofa się, ustępuje na plan drugi już w pierwszym starciu w przedziale pociągu, w autobusie czy na targu.* (Zob. Stanisław Wasylewski, *Szkiec serdeczne i przewrotne. Książka dla miłośników przeszłości Śląska*, wyboru dokonał Wilhelm Szewczyk, Katowice 1964, s. 116).

Przesadził Wasylewski w obliczeniach, to oczywiście, rozmnożył wrocławskich lwowian na papierze ponad miarę, ale miał też i częściowo rację: po wojnie polszczyznę z lwowskim zaśpiewem było słychać prawie wszędzie, na wrocławskich dworcach, na targowiskach, w kościołach, w tramwajach, w urzędach, szkołach i na wyższych uczelniach. Podobnie było i w innych dużych miastach śląskich. I tam słychać było polszczyznę egzulantów z Ziemi Czerwieńskiej. Kilka lat temu mówił Józef Hen w Zabrze o swoich kontaktach ze Śląskiem: *Wspominałem też spotkanie autorskie w bytomskim Klubie Literackim (tak, był taki, potwierdza prezydent miasta, jeszcze do niedawna), świetny poziom, na ogół lwowianie. Śląsk – powiedziałem Jurkowi Woźniakowi – bardzo wiele zyskał na migracji ze Lwowa, przyjechali ludzie wykształceni, czytający, uczestniczący w kulturze – Bytom, Gliwice mówiły „po lwowsku” – teatr Wyspiańskiego to był po wojnie teatr lwowski, Widziałem tam w roku 1945 wspaniałą „Wieczór Trzech Króli” w reżyserii Bronisława Dąbrowskiego, z Tadeuszem Kondratem (ojcem Marka) jako Chudogębą, z Bardnim jako Tobiaszem Czkawką – co to była za para!... (Józef Hen, *Powrót do bezsennych nocy. Dzienniki*, Katowice 2016, s. 12–13).*

Kiedy latem 1946 roku wieziono Panoramę Raclawicką z Przemyśla do Wrocławia, kilka miast spierało się o miejsce dla niej; lwowianie z Katowic chcieli mieć Panoramę u siebie, ponieważ Katowice – dowodził Jerzy Rosinkiewicz w „Dzienniku Zachodnim” – *to teraz największy ośrodek lwowian*, lwowianie bytomscy upierali się, że to Bytom stał się po wojnie największym ośrodkiem lwowian. I Opole miało swoje powody, aby zatrzymać Panoramę u siebie (cytaty za: Beata Maciejewska, *Kłopotliwa Panorama*, „Ale Historia” 2014, nr 47, s. 8).

Gdzie indziej osiedliło się o wiele więcej lwowian niż we Wrocławiu (w Opolu np. zamieszkało po wojnie ponad 10 tys. ekspatriantów z województwa lwowskiego, w tym około 5 tys. z samego Lwowa), ale to właśnie miasto bywało nazywane „małym Lwowem”, tutaj tradycje lwowskie okazały się trwale naprawdę. Paradoxy historii. Nie ilość tym razem zadecydowała, ale siła oddziaływania elit umysłowych wywodzących się z miasta nad Pełtwią. Pisał w 1969 roku Aleksander Małachowski: *Jest bowiem legendą, że Wrocław odziedziczył lwowskie*

*tradycje miejskie. W rzeczywistości tylko niewielka grupa urzędników, tramwajarzy i naukowców pochodzących ze Lwowa, zabarwiła nieco społeczność wrocławską akcentem i obyczajami tamtego miasta. Lecz było to zaledwie lekkie zabarwienie (Aleksander Małachowski, *Iliada półinteligentów*, Kraków 1972, s. 110–111).*

Ale mitotwórcy powtarzali swoje. Norman Davies, za szybko czasem pisujący znakomity historyk, wmałwiał niedawno anglojęzycznym czytelnikom: *Dwóm czy trzem milionom Polaków [niecałym dwóm – A.W.] pozwolono przenieść się na zachód z prowincji przyłączonych do ZSRR. Na przykład miasto Breslau, przemianowano na Wrocław [przez kilka wieków współistniały polskie i niemieckie nazwy tego miasta; Juliusz Słowacki pisał do matki 17 marca 1831 roku: *Do Wrocławia jechałem przez Zula, gdzie widziałem piękną zwierzyniec... – przyp. A.W.], zostało przejęte przez Polaków wygnanych ze Lwowa [sic!], którzy przywieźli ze sobą wszystko: uniwersytet, burmistrza, władze miejskie i muzeum narodowe (Norman Davies, *Europa. Rozprawa historyka z historią*, przekład Elżbieta Tabakowska, Kraków 2010, s. 1128).**

Długo by trzeba było prostować wzmówienia Normana Daviesa. Pióro go poniosło. Nie napisał na szczęście o tym, że lwowianie przywieźli z sobą katedrę łacińską i ormiańską, kościół Bernardynów i kościół Dominikanów, a także Wieżę Korniańską i kaplicę Boimów. Ile Lwowa było we Wrocławiu po wojnie? Ilu lwowian zamieszkało tam naprawdę? Irena Turnau wylczyła, że *w końcu 1947 roku 70–75% mieszkańców tego miasta byli to przesiedleńcy z Polski centralnej i dawnych województw zachodnich, 20–23% stanowili repatrianci ze Związku Radzieckiego (Irena Turnau, *Studia nad strukturą ludnościową polskiego Wrocławia*, Poznań 1960, s. 38).* Ze Lwowa i ze wschodniej części dawnego województwa lwowskiego pochodziło w pierwszych latach po wojnie od 6–10% mieszkańców Wrocławia. Tłumaczyła Turnau: *liczba tzw. lwowiaków [tzn. dawnych mieszkańców Lwowa i wschodniej części województwa lwowskiego – A.W.] nie przekraczała nigdy 10% ogółu mieszkańców, a obecnie zapewne jest znacznie niższa. Jeszcze raz więc należy podkreślić niesłuszność panującego przekonania, że we Wrocławiu znajdowała się*

TABELA II

Województwo lub kraj	Mieszkańcy Wrocławia urodzeni w danym województwie		Mieszkańcy Wrocławia przybyli z danego województwa	
	liczba	%	liczba	%
Przesiedleńcy				
Warszawskie	3 450	13,6	2 806	10,9
Łódzkie	1 650	6,5	1 671	6,7
Kieleckie	2 035	8,0	1 645	6,6
Lubelskie	1 432	5,7	1 222	4,7
Białostockie	690	2,8	543	2,0
Pomor-skie	1 025	4,2	1 124	4,4
Poznańskie	3 756	14,7	5 020	19,5
Śląskie	773	3,1	1 050	4,0
Krakowskie	1 800	7,0	1 964	7,7
Rzeszowskie	1 930	7,6	1 806	7,5
razem	18 541	78,2	18 851	74,0
Repatrianci z ZSRR				
b. lwowskie	463	9,9	1 395	5,4
b. stanisławowskie	464	1,8	151	0,6
b. tarnopolskie	660	2,7	229	0,9
b. wolińskie	463	1,9	1 170	4,6
b. poleskie	230	0,9	67	0,2
b. nowogrodzkie	170	0,6	69	0,2
b. wileńskie	770	2,8	309	1,2
z innych części ZSRR	480	1,5	774	3,0
razem	5 700	22,0	4 164	16,1
Reemigranci				
Niemcy	490	1,6	375	1,3
inne kraje europejskie	320	1,3	130	0,4
inne kraje poza-europejskie	46	0,2	80	0,3
razem	856	3,1	585	2,0
Ludność miejscowa				
autochtoni	503	1,7	2 000	7,9
razem	503	1,7	2 000	7,9
ogółem	25 600	100,0	25 600	100,0

Pochodzenie regionalne mieszkańców Wrocławia w 1947 roku. Źródło: Irena Turnau, *Studia nad strukturą ludnościową polskiego Wrocławia*, Poznań 1960, s. 31

W kinie nie jesteśmy petentami⁷. Nie byłoby polskiej szkoły filmowej bez polskiej szkoły plakatu, *Alma Mater (ASP)* i *Alma Matera (licium)*⁸. Widać to nie krakowiaczek cija (ze wsi), a city (z miasta). Nie zamienił się na głowy z UJ-em⁹. Studiował malarstwo, więc maluje historię Polski i powstania¹⁰. W *Popiele i diamentach* urzekają „Zaduszki” z kielichami-zniczami, w *Powidokach* – lokal zalany czerwienią, bo za oknem wisi portret Stalina. W *Zemście* biel i czerwień żrą się jak zima z krewkością, ale

⁷ Petent, osoba ścigana z urzędu (z każdego).
⁸ Licium plastyczne, z tyłu licium, z przodu muzeum, Zachęta.
⁹ Zamienić się na głowy z UJ-em, zaliczyć Jagiellonkę.

„Twórczość” 2018, nr 2, s. 175
 Jagiellonki się nie zalicza, ale skąd, w Jagiellonce się czyta. Jagiellonka to przecież Biblioteka Jagiellońska, a nie Uniwersytet Jagielloński, jak się niektórym (zamieszkałym na północ od Krakowa) wydaje

znaczniejsza grupa repatriantów z byłego woj. lwowskiego, przede wszystkim zaś z samego Lwowa. Sugestię znacznie większej liczby lwowiaków we Wrocławiu spowodował napływ dawnej lwowskiej inteligencji, która zajęła wiele stanowisk w szkolnictwie wyższym i średnim, i w szeregu innych instytucji wrocławskich oraz przeniesienie się do Wrocławia znacznej liczby dawnych tramwajarzy lwowskich. Przy tym lwowiaczy byli niewątpliwie ruchliwym elementem wielkomięskim, umiejącym nadać ton miastu (Irena Turnau, *op. cit.*, s. 45).

Tramwajarze i profesorowie lwowscy przyczynili się w dużej części do powstania lwowskiego mitu we Wrocławiu. Ponad stu profesorów ze Lwowa (prawie 60% wrocławskiej profesury po wojnie) współtworzyło ważny ośrodek naukowy i kulturalny nad Odrą. Rektor Stanisław Kulczyński (pozbawiono go dziś, o, wstydzie!, ulicy we Wrocławiu) mówił podczas inauguracji roku akademickiego na Uniwersytecie w 1945 roku: *Jesteśmy materialnymi spadkobiercami kultury niemieckiej, duchowymi zaś kultury polskiej Uniwersytetu Lwowskiego*”.

Wśród sławnych profesorów przybyłych znad Pełtni nad Odrę nie było genialnego matematyka – Stefana Banacha, współtwórcy lwowskiej szkoły matematycznej. Pomylili się Autorzy z „Polityki”. Hugo Steinhaus notował w maju 1945 roku: *2 maja pan Pająk przywiózł list od Lidki [córki Steinhausa, żony Jana Kotta] z 1 maja. Podobno Banach ma wrócić do Krakowa, kilka miesięcy później wspominał: Banach ciężko chory (Hugo Steinhaus, *Wspomnienia i zapiski*, Londyn 1992, s. 305). Nie wiadomo, czy Banach wybierał się do Wrocławia; Sowietom zależało na zatrzymaniu światowej sławy uczonego na Uniwersytecie im. Iwana Franki (tak nazwano w 1940 roku Uniwersytet Jana Kazimierza), ale przyjaciele postarali się dla niego o miejsce w Krakowie: *Z Krakowa w tym czasie nadchodzi propozycja objęcia katedry na Uniwersytecie Jagiellońskim, którą Banach przyjmuje z wdzięcznością i radością. Stanowi to formalny powód repatriacji ze Lwowa (Roman Kałuża, *Stefan Banach*, Warszawa 1992, s. 121).**

Nie zdążył się przenieść Stefan Banach ze Lwowa do Krakowa. Zmarł 31 sierpnia 1945 roku. W grudniu następnego roku odbyła się akademia poświęcona pamięci znakomitego matematyka. Wspominał Steinhaus: *mówiłem o nim jako o typie matematyka, tego co założył w kawiarni seminarium, a u płatniczego – księgę problematów (Wspomnienia..., s. 352).*

Tę księgę problematów, czyli sławną Księgę Szkołacką, przywiozła do Wrocławia Łucja Banachowa.

* * *

Kłopoty recenzenta z geografią: *O Adamie Leszkiewicz, autorze zbioru „Fantomowa głowa” wiem tylko tyle, co napisano o nim na skrzydełku książki: pochodzi z Dolnego Śląska, ściślej z Opolszczyzny [sic!], mieszka w Krakowie, „redaguje, muzykuje, tłumaczy”. I to wszystko [(JD), rec. Adam Leszkiewicz, *Fantomowa głowa*, „Magazyn Literacki KSIĄŻKI” 2017, nr 9, s. 38].*

Opolszczyzna to część historycznego Górnego Śląska; Śląskiem Opolskim zaczęto nazywać przed II wojną światową tę część Górnego Śląska, która po plebiscycie i po powstaniach śląskich pozostała po stronie niemieckiej. Do dzisiejszego województwa opolskiego należą też skrawki Dolnego Śląska (Brzeg i okolice), może to stamtąd pochodzi autor *Fantomowej głowy*?

* * *

Zapomniane czasy i pojęcia. W czasie konferencji poświęconej Sienkiewiczowi jeden z dyskutantów podzielił się wątpliwościami: *Dzisiaj rano zastrzygłem uszami, słysząc nazwę „egzulancki”. To byli ci, którzy stracili majątki na kresach i wylądowali w Królestwie [po powstaniu styczniowym – A.W.], a przecież to słowo – wydaje mi się – pojawiło za pierwszej emigracji, pokościuszkowskiej, i oznaczało emigrację prawie w dzisiejszym sensie – wyjazd na Zachód z powodów politycznych. Przejęcie tego słowa w języku późniejszym lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych [XIX wieku] przecież coś znaczyło. To oznaczało, że teraz Rosja to jest jakaś obca domena i wobec tego emigracja to przeniesienie do Królestwa, prawda? (Zob. *Sienkiewicz polityczny. Sienkiewicz ideologiczny*, pod redakcją Macieja Glogera i Ryszarda Koziołka, Warszawa 2016, s. 102).*

Wysadzonych z siodła ziemian, czyli ziemian bez ziemi, którzy potracili swoje majątki za udział w powstaniu styczniowym (udział prawdziwy, a czasem tylko domniemany, za co i tak karano konfiskatą majątku i zesłaniem w głąb Rosji czy na Syberię), pochodzących z prowincji litewsko-ruskich dawnej Rzeczypospolitej, nazywano w Królestwie niekiedy egzulantami, to prawda. Ale słowo to znaczyło coś innego niż w czasach emigracji pokościuszkowskiej; nawiązywano do czasów odleglejszych, do XVII wieku, kiedy po utracie Podola w 1672 roku pojawili się w głębi kraju wygnańcy podolscy, a po rozejmie andruszowskim i po traktacie Grzymułtowskiego – egzulanci z Zadnieprza i ziemi smoleńskiej. Nawiasem: po utracie Smoleńszczyzny zachowano tytułowe województwo smoleńskie. Egzulancki smoleńscy przez

lata odprawiali swoje sejmiki, nazywane egzulanckimi. Odbywały się one w kościołach wileńskich: u o.o. Bernardynów i u Karmelitów Bosych. W Polsce bez Smoleńska tytułarnym biskupem smoleńskim był znany historyk Adam Naruszewicz.

Dla egzulantów postyczniowych Ziemi Zabrane nie były Rosją, jak zasugerował uczestnik wspomnianej konferencji. Ależ skąd! Przyjechali oni przecież nad Wisłę nie z zachodnich guberni Cesarstwa, ale z głębi Rosji europejskiej i zza Uralu. Pojawili się w Królestwie m.in. dlatego, że po zwolnieniu z kilkuletniej zsyłki nie wolno im było wracać do poprzedniego miejsca zamieszkania. Zakaz miał, w zamierzeniach władz carskich, wpłynąć na odpolszczenie ziem dawnego Wielkiego Xięstwa Litewskiego.

Tadeusz Korzon, zesłany jeszcze przed wybuchem powstania styczniowego, nie mógł wrócić po zwolnieniu na Litwę; wyznaczono mu Piotrków na miejsce osiedlenia się „pod ścisłym dozorem policyjnym”, pozbawiono go też prawa do zamieszkania w Warszawie. Rodzina Witkiewiczów nie wróciła po zesłaniu do swojego Poszawsza na Żmudzi; przez kilka lat mieszkała w Urdominie na Suwalszczyźnie. Kazimierz Szetkiewicz, teść Sienkiewicza, kiedy został zwolniony z zesłania, mógł się osiedlić w Kongresówce, ale nie w rodzinnych Hanuszyszkach w powiecie trockim. Obowiązywał go, surowo przestrzegany, zakaz powrotu na Litwę. Był naprawdę egzulantem, wygnańcem z ziemi rodzinnej, a nie – emigrantem.

* * *

Przytoczone przez dziennikarza wywody pani reżyser, Anety Groszyńskiej, przygotowującej spektakl – *Sienkiewicz superstar* – w teatrze wałbrzyskim: – *Sienkiewicz zrobił z I RP to, co dzisiejszy rząd z powstaniem warszawskim czy Muzeum II Wojny Światowej, a mówiąc szerzej, w ogóle z historią. Stał się kompensacją naszych kompleksów historycznych i z tym się trzeba zmierzyć, „Krzyżacy” lub „Trylogia” wpisują się idealnie w politykę historyczną, pokazując Polaków wyłącznie jako mężów stanu [sic!] lub niewinne ofiary państw ościennych. Z taką narracją w spektaklu polemizujemy – mówi reżyserka (Jacek Cieślak, *Intymne życie Sienkiewicza*, „Rzeczpospolita” 2018, nr 42, s. A10).*

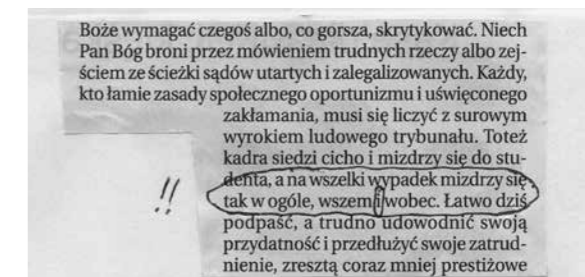
Sienkiewicz nadaje się, widać, do wszystkiego. Jaka szkoda, że pani reżyser zapomniała o rozmowie Chmielnickiego ze Skrzetuskim i o wywodach Jana Weyharda Wrzeszczowicza w Kruszynie, które podsłuchał Kmicic: *Wreszcie słowa Wrzeszczowicza przepełniły ten kielich go-*



„Gazeta Wyborcza” 2018, nr 57, s. 2

Znowu ktoś pomylił sławę z osławą! Po co sławne postacie przeżywać osławionymi, czyli nie cieszącymi się dobrą sławą? W marcu 1968 roku osławieni byli ormowcy udający na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego „aktyw robotniczy” czy „aktyw społeczno-polityczny”. Osławiony też został dziennikarz z „Prawa i Życia”, Tadeusz Kur; powtarzano wtedy w Warszawie: *Kur wie lepiej* (tytuł polemiki Dariusza Fikusa zatrzymanej przez cenzurę).

Po co powielać tekst z błędnie użytym wyrazem? Może lepiej przypomnieć stosowną sentencję: *Nec Caesar supra grammaticos*



„Polityka” 2018, nr 7, s. 96

Mizdrzyć się można do kogoś, przed kimś, nawet przed lustrem, a „wszemu wobec” (bez zbędnego //) się oznajmia, komunikuje, powiadamia czy podaje do wiadomości wszystkich. Król Jegomości był łaskaw wystawić Paskowi takie pismo: *Wszem wobec i koźdemu z osobna, komu by o tym wiedzieć należało, [...] wiadomo czyniemy...*

ryczy i żółci; wykazały mu jasno to, co było dotąd niewyraźnym poczuciem, że nie tyle Szwedzi, Septentrionowie i Kozacy zabili ojczyznę, ile cały naród.

„Szaleni, swawolni, źli i przedajni tę ziemię zamieszkują – powtarzał za Wrzeszczowiczem pan Kmicic – i nie masz innych!... Króla nie słuchają, sejmy rwą, podatków nie płacą, nieprzyjacielowi sami do zawojowania tej ziemi pomagają. Muszą zginąć!

Dla Boga! Żeby choć jedno łgarstwo mu zadać! Zali prócz jazdy, nie masz w nas nic dobrego, żadnej cnoty, jeno zło samo?!”

Szkoda, że pani reżyser nie zajrzała wcześniej do prawie doskonałej książki Ryszarda Koziółka – *Ciała Sienkiewicza. Studia o płci i przemocy* (2010, wyd. 2, Wołowiec 2018), czy do któregoś z tomów z znakomitej serii redagowanej przez Jerzego Axera i Tadeusza Bujnickiego: „Sienkiewicz – nowe odczytania”. Choćby do wspomnianego już zbioru studiów – *Sienkiewicz polityczny. Sienkiewicz ideologiczny*, pod redakcją Macieja Glogera i Ryszarda Koziółka (Warszawa 2016), czy szkiców Jolanty Sztachelskiej – *Mity sienkiewiczowskie i inne studia tylko o nim* (Warszawa 2017).

Po co powtarzać naiwne sądy z przestarzałych podręczników, po co powielać wzmówienia drugorzędnych *Schnellschreiberów*, którzy powtarzają do znudzenia kilka zdań z głośnego eseju Gombrowicza, czasem powtarzają je bezmyślnie, bez próby zrozumienia intencji przekornego pisarza. A może by tak przeczytać i przemyśleć kiedyś jeszcze za mało znany (nawet sienkiewiczologom) późny wywiad z Gombrowiczem: *Dziś stoję się coraz bliższy Sienkiewiczowi i coraz dalszy Simone Weil*. [...] *Jestem dziś bliski odkrycia na nowo pewnych dodatnich stron Sienkiewicza! Moja postawa intelektualna obliczona jest na krytykę ekstremizmów*.

Warto zaglądnąć i do *Dzienników* Marii Dąbrowskiej, ona umiała czytać Sienkiewicza, notowała w 1938 roku: *po obiedzie czytam „Trylogię”, a właściwie „Ogniem i mieczem”. Jakim sposobem ta posępna wizja Polski miała służyć „ku pokrzepieniu serc”, trudno mi dziś zrozumieć. Chyba tylko ku ostrzeżeniu serc mogła służyć. Beznadziejnego to czasu obraz i Sienkiewicz nie był bynajmniej poczucia tej beznadziejności pozbawiony. Wcale nie był tak „wsteczny” ani tak głupi politycznie, jak o nim gadano. Sprawiedliwie też obdzielił zbrodniami i urokami obie strony – polską i ukraińską. Artyzm genialny i nic się nie starzeje – ale oczywiście narzuca mi się jakby wizja dopełnienia „przemilczanego” w obrazie tego czasu (Maria Dąbrowska, *Dzienniki**

1936–1945, wybór, wstęp i przypisy Tadeusz Drewnowski, [w:] eadem, *Dzienniki 1914–1945*, t. 3, Warszawa 2000, s. 238).

I Dąbrowska miała wątpliwości, i inni, z podobnymi wątpliwościami dzielił się kilkadziesiąt lat później uważny czytacz prozy Sienkiewicza – Stanisław Lem, a w Wałbrzychu pani reżyser wszystko wie i rozumie, wszystko dla niej jasne i zrozumiałe. Może nawet nastąpi zwrot w sienkiewiczologii po tym spektaklu?

* * *

Rozważania historyzoficzne i dziwne uogólnienia: *różnimy się znacznie od społeczeństw protestanckich, gdzie chrześcijaństwo pozbyło się feudalnej hierarchii, a jednocześnie poszło bardzo głęboko w lud i gruntownie go oświecało. Na początku XX w. w Polsce [sic!] analfabetyzm wśród mas ludowych był powszechny, a w Niemczech [tzn. i w prowincjach polskich należących do państwa niemieckiego przed 1914 rokiem – A.W], Anglii czy Holandii był już niemal całkowicie wykorzeniony. [...] Oczekiwanie, że nagle Polska nadrobi 500 lat trwałego zapóźnienia, jest naiwnością. W tym sensie optymizm reformatorów III RP, wywoływał we mnie zdumienie. Nie wystarczy stworzyć kolejnego wydziału europeistyki i zagonić tam studentów w oczekiwaniu, że po kilku latach wyjdą z nich gotowe kadry modernizacyjne. Jak mówią specjaliści od historii intelektualnej, pewne idee muszą się głęboko zakorzenić, muszą uzyskać tzw. długie trwanie (Nowe Średniowiecze. Rozmowa z prof. Agatą Bielik-Robson, filozofką, o tym, jak internet zabija cywilizację, młodych leniach i mentalności motłochu, rozmawiał Mirosław Pęczak, „Polityka” 2018, nr 5, s. 36).*

Znana filozofka, pisząc, że na początku XX w. w Polsce analfabetyzm wśród mas ludowych był powszechny, a w Niemczech, Anglii czy Holandii był już niemal całkowicie wykorzeniony, zapomniała, zdaje się o tym, że niepodległej Polski wtedy nie było. Analfabetyzm wśród polskich mas ludowych wcale nie był powszechny w Wielkim Księstwie Poznańskim ani w Prusach Zachodnich, inaczej było w zaborze austriackim, a jeszcze inaczej w rosyjskim. Skoro w Niemczech analfabetyzm był już niemal całkowicie wykorzeniony, to i wśród Polaków tam mieszkających analfabetów było mało. W Królestwie Polskim analfabeci stanowili ok. 65% ludności, na „Ziemiach Zabrzanych” było jeszcze gorzej, ale w zaborze pruskim, gdzie jednak rzeczywiście obowiązywało powszechne nauczanie, tzn. obowiązek szkolny dla dzieci od 6 do 14 roku

życia. Toteż procent analfabetów był tu znikomy, a poziom nauczania stosunkowo wysoki, gdyż od nauczycieli wymagano wysokich kwalifikacji. Szkoły realizowały jednak politykę germanizacyjną (Jan M. Małecki, *Zarys dziejów Polski 1864–1939*, Kraków 1991, s. 133). Jeszcze jedno uściślenie: ani Niemcy, ani Holandia nie były krajami wyłącznie protestanckimi, w niektórych regionach przeważała tam ludność katolicka.

Przestrzegali kiedyś mądrzy poeci przed grzechem uogólnienia. Tak łatwo się powiedziało pani filozof aż o pięciu wiekach trwałego zapóźnienia. Co by na to powiedział Aleksander Brückner, który z taką znajomością rzeczy rozprawiał o złotym i srebrnym wieku kultury polskiej. Stanisław Brzozowski przesadzał w krytycyzmie. Czy nie lepiej sięgnąć jeszcze do Tazbira, do jego szkicu o kompleksie pawia i papugi? Tłumaczył wybitny znawca kultury staropolskiej: *To prawda, że Moliere, Szekspir, Cervantes czy Pascal nie nad Wisłą przysli na świat. Przy ocenie osiągnięć kulturalnych należy jednak porównywać ze sobą nie szczyty, lecz średnie poziomy. Te zaś w Polsce w XVI–XVII stuleciu w wielu dziedzinach dorównywały Zachodowi. Nie ulega także wątpliwości, iż w zdecydowany sposób górowaliśmy nad najbliższymi sąsiadami Rzeczypospolitej, zwłaszcza tymi od południa i wschodu (Janusz Tazbir, *Od Haura do Isaura. Szkice o literaturze*, Warszawa 1989, s. 85).*

Po co mylić czasy i przestrzenie? Różnie bywało przecież w tych wiekach nad Wisłą i nad Niemnem. Przytomne uwagi Hanny Malewskiej: *Polacy w Europie XVII wieku wyróżniali się nie wojowniczością i bohaterstwem [...], ale zamiłowaniem do wolności i tymi rysami osobistości ludzkiej i cywilizacyjnymi, jakie wolność publiczna w ludziach wytwarza. A są to rysy bardzo cenne. Między innymi Polacy byli inteligentni. Czytając listy całkiem nawet nieznanym osobom z tego czasu na tematy polityczne, czujemy się zaskoczeni dyscypliną rozumowania i kulturą polityczną [...]. Tak, ustrój Polski był niemożliwy, a człowiek, któremu jak magnatowi polskiemu, było wszystko wolno, nie mógł się nie zdegenerować. Ale jednocześnie nieodparte świadectwa nam, że niewiele brakowało, by ustrój wówczas zreformowano, bo poziom umysłowy ludzi publicznych był na ogół wyższy niż poziom posłów Sejmu Czteroletniego. [...] Polacy XVII wieku bardzo dziwiłoby się zarówno naszym poglądom jak i naszym kompleksom. Nie mieli żadnych kompleksów w stosunku do zagranicy jak i do siebie wzajemnie. Cenili Rzplಿತą i krytykowali ją. Wbrew pozorom cenili najwyższe hu-*

manistyczne, a więc i ogólnoludzkie wartości życia. Glorifikowanie klęsk czy szukanie chwalebnej śmierci uważaliby za absurd, chociaż zdarzało im się ginąć (Hanna Malewska, *Mity polskie*, [w:] eadem, *O odpowiedzialności. Wybór publicystyki (1945–1976)*, Kraków 1981, s. 57–59).

Po co wmawiać czytelnikom poważnego pisma, że już kilkaset lat liczy polskie trwałe zapóźnienie? Były przecież czasy lepsze i gorsze. Rozprawiał Brückner po swojemu o Polsce po roku 1648: *Moc jej i bogactwo ustępowały słabości i ubóstwu, ale kultura jej promieniowała aż do wrogiej Moskwy i do Jass opornych; nigdy nie sięgały tak daleko wpływy polskie, jak w latach wyraźnego już upadku, 1670–1690; przypomina się poniekąd wyrocznia Mickiewicza o rozszerzeniu granic za polepszeniem ducha, bo duch polski unosił się zwycięsko, mimo klęsk politycznych i ekonomicznych (Aleksander Brückner, *Dzieje kultury polskiej*, t. II: *Polska u szczytu potęgi*, Kraków 1930 [reprint: Warszawa 1991], s. 377).*

Po co grzeszyć uogólnieniem? Czy nie lepiej przypomnieć *Listy staropolskie z epoki Wazów*, w opracowaniu Hanny Malewskiej (wyd. 2, Warszawa 1977), poczytać powoli, i porównać dojrzałość umysłową ówczesnej klasy politycznej i współczesnej. Pytała Malewska: *Jaką wymowę ogólną ma, dla mnie przynajmniej, owa wielka „silva rerum”, którą poznałam w obszerniejszym, niż tu podaje, wydaniu? Na różnym tle, w różnym ujęciu uderza siłą i powszechnością pewnego ideału politycznego i cywilizacyjnego. [...] Zajadłe walczyła opozycja z dworem, a dwór ostrożnie, uporczywie z opozycją, lecz w tej epoce prawie wyłącznie w ramach legalizmu. [...] Druga połowa XVI i pierwsza XVII wieku to w Polsce wielki kompromis, którego nietrwała choćby równowaga daje do myślenia, a nawet imponuje. Kompromis, w który wierzone i przez lata poświęcano mu najlepsze wysiłki (Listy..., s. 18–20).*

ODESZLI: JAN GOCZOŁ

BARBARA STANKIEWICZ

VALE CEZAR!



Pięć lat temu, w redakcji „Indeksu”. Od lewej: Jan Goczoł, Adam Wierciński, Andrzej Hamada, Barbara Stankiewicz, Marian Buchowski, Wojciech Dindorf (fot. Tadeusz Parcej)

Jan Goczoł urodził się w Rozmierzy w 1934 r. Po szkole podstawowej uczył się w Liceum Administracyjno-Handlowym w Strzelcach Opolskich. W 1965 r. ukończył studia (polonistyka) w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu. W latach 1965-1970 pracował w redakcji katowickich „Poglądów”. Wraz z Edwardem Pochroniem zakładał (1970 r.) miesięcznik społeczno-kulturalny „Opole”; w latach 1975-1990 był jego redaktorem naczelnym. Był członkiem redakcji „Regionów” i „Sycyny”, kierowanej przez Wiesława Myśliwskiego. Publikował m.in. w „Tygodniku Kulturalnym”, „Miesięczniku Literackim”, „Życiu Literackim”, „Poezji”. W latach 1985-1991 sprawował mandat posła na Sejm PRL IX i X kadencji. W 2005 r. został uhonorowany medalem „Zasłużony kulturze - Gloria Artis”.

Opublikował zbiory wierszy: *Topografia intymna* (1961), *Małgorzata* (1961), *Sprzed drzwi* (1969), *Manuskrypt* (1974), *Poezje wybrane* (1985), *Znad Odry* (1996), *Zapisy śladowe* (1999), *Na brzoźowej korze* (2000), *Z pogorzeliśka* (2011). Jego wiersze były tłumaczone na niemiecki, angielski, bułgarski, czeski, rosyjski.

Był laureatem wielu konkursów poetyckich – otrzymał m.in. Nagrodę „Czerwonej Róży” (Gdańsk, 1963). Za twórczość poetycką nagrodzony Nagrodą im. Stanisława Piętaka, której laureatami byli także m.in. Urszula Koziół, Tadeusz Nowak, Wiesław Myśliwski, Edward Redliński, Jerzy Harasymowicz, Edward Stachura, Adam Ziemiannin.

„Poezja Jana Goczoła wyrosła daleko poza centrum życia literackiego. Goczoł nie starał się nigdy nadać za kanonami różnych orientacji. Szedł osobną drogą” – napisał przed laty Bogusław Żurkowski. Wędrowka drogą osobną, na dodatek omijającą miejsca, w których rozdają laury i zachwyty sprawiła, że wiersze Goczoła są dużo większe niż zainteresowanie nimi ze strony krytyków literackich i recenzentów. Jan Goczoł był marnym impresario swoich wierszy, nie dbał o ich „piar”, nie pchał się z nimi na targowisko literackich wdzięków.

Także dlatego wielu w Opolu nie wie do dziś, że Jan Goczoł to poeta znakomity.

Od 2006 r., przez jedenaście kolejnych lat, Jego wiersze zaczęły ukazywać się w „Indeksie”. To było dla nas ogromne wyróżnienie – przyjęłaby je przecież z wdzięcznością każda redakcja prestiżowych ogólnopolskich pism. Takich, jak „Twórczość”, w której, trzy dni po śmierci poety, ukazało się kilka jego ostatnich, wcześniej publikowanych w „Indeksie”, wierszy. W naszym, uniwersyteckim, skromnym piśmie opublikował też po raz pierwszy utwory, które później zostały wydane w tomiku „Z pogorzeliśka” (PIW, Warszawa 2011).

Nie pamiętam, kiedy takie wspólne, redakcyjne biśiadowanie odbyło się po raz pierwszy. W 2012, a może wcześniej? Co dwa, trzy miesiące zjawiali się w komplecie: Jan Goczoł, Andrzej Hamada, Adam Wierciński i Wojciech Dindorf. Z czasem dołączył Marian Buchowski i Tadeusz Parcej, dzięki któremu nasze spotkania były utrwalane na zdjęciach, bywała i żona Jana, Małgosia, zaglądał Jerzy Beski... Było gwaro. W powietrzu fruwały łacińskie sentencje, erudycyjne cytaty, opowieści, wspomnienia...

Ave Cezar! – tak żartobliwie witali go pozostali, ilekroć wchodził do pokoju z reklamówką pełną śląskiego kołacza. Na co on, wieszając płaszcz, który bardziej od szat cesarza przypominał prochowiec porucznika Colombo, podnosił rękę i odpowiadał z uśmiechem: Morituri te salutant! (jakże złowieszco dziś brzmią te słowa!). Po czym kładł na stole maszynopis kolejnego wiersza, obok kołacza „od Chmiela”, jak mówił, choć właścicielem tej opolskiej piekarni od dawna jest już ktoś inny. Był kołacz, pachniała kawa, toczyła się, co raz przerywana śmiechem biesiadników, rozmowa.

Jan Goczoł opowiadał o swojej fascynacji Syberią, wspominał przyjaciół: niezującego już poetę Aleksandra Plitczkę z Nowosybirsk, macedońskiego – Atanasa Vangelowa, Uwe Juergensena z Kilonii, Tadeusza

Nowaka, Zbigniewa Żakiewicza, z humorem przytaczał słowa Wiesława Myśliwskiego, który ostro naganiał go do odkładanej wciąż pracy nad prozą literacką... Miał szczęście poznać Bułata Okudżawę i być „adoptowanym synem” Rafała Urbana – o tej niezwyklej relacji powiedział kiedyś tak: „Chyba nie umiem opowiedzieć o Rafale Urbanie. To był rodzaj więzi, która nie lubi słów”.

Kiedyś ze wzruszeniem opowiadał o ostatnim życzeniu swojej Matki, najważniejszej, obok żony, kobiety w jego życiu: żeby włożył tomik swoich wierszy „Topografia intymna” pod jej trumienną poduszkę... „Jak wysoko żeś doszoł” – tak mu z dumą powiedziała, kiedy po raz pierwszy trzymała tę książeczkę syna w rękach.

I ulubiona Jego opowieść o Matce: jak Goczołka fli-grem leciała. Bo zabrał ją kiedyś (ubraną w tradycyjny, śląski strój) do Gdańska, żeby zobaczyła Bałtyk, a potem podstępem – o czym opowiadał z szelmowskim uśmiechem – zwiabił na pokład samolotu: „Bo tak bardzo chciałem jej ofiarować to doświadczenie”.

Pod koniec lutego, cztery dni po pogrzebie, znów siedzieliśmy przy tradycyjnej kawie.

Andrzej Hamada zdecydował, że krzesło obok niego ma pozostać puste. Jan Goczoł patrzył na nas ze zdjęcia, które Tadeusz wyświetlił na ekranie komputera.

Vale Cezar!

ODESZLI: JAN GOCZOŁ

WIESŁAW MYŚLIWSKI

WIECZOREM U JANKA GOCZOŁA



Wiesław Myśliwski i Jan Goczoł, Warszawa, Zamek Ostrogskich, 2001 r. (fot. Jan Cofalka)

Było to niedawno. Pewnego wieczoru w marcu tego roku [2009 – przyp. red.]. Z okazji pobytu w Opolu zostaliśmy zaproszeni wraz z moją żoną, Wacławą, i moim przyjacielem, reżyserem teatralnym, Bogdanem Toszą, na kolację do Małgosi i Janka Goczołów. Mimo że z Bogdanem Toszą Goczołowie nie znali się, atmosfera zrobiła się od razu serdeczna, zgodnie z powiedzeniem: „przyjaciele moich przyjaciół są i moimi przyjaciółmi”. Jedzenie było smaczne i co nieco wypiliśmy, tak że nie mieliśmy kłopotów z wiązaniem rozmowy, a nawet okazało się, że gdyby wieczór trwał całą dobę, nie wyczerpalibyśmy tego, co mieliśmy sobie do opowiedzenia z rzeczy ważnych i mniej ważnych. Zwłaszcza że z Jankiem przyjaźnimy się od kilku dziesiątków lat, a spotykamy się, niestety, raz na parę lat, no i czasem do siebie telefonujemy.

Pod koniec wieczoru Janek pokazał nam kilka rodzinnych zdjęć matki, braci, córek, toteż w pewnej chwili zapytałem go o ojca, którego na tych zdjęciach nie było. Coś nieco wiedziałem, mówił mi w jakiejś rozmowie przed laty, co spotkało jego ojca, lecz jakoś nieściśle zapamiętałem. Zastanowił się, jakby niepewny, czy nie zakłóci nastroju spotkania, i z jakimś wewnętrznym oporem, wyciskając słowo po słowie, zaczął nam opowiadać tę najtragiczniejszą historię rodzinną, która stała się piętnem całego jego życia. Tym bardziej tragiczną, że nie była historią odosobnioną, lecz doświadczyła w podobny sposób wiele tysięcy Polaków zamieszkujących tę jego rodzinną, śląską ziemię z dziada pradziada i pielegnujących w warunkach germanizacyjnej presji swoją polską tożsamość.

Oto młody jeszcze mężczyzna tuż po zakończeniu II wojny światowej zostaje wraz z innymi zabrany rzekomo do jakichś robót, a następnie bez wiedzy rodziny wywieziony w głąb Rosji, gdzie w nieludzkich warunkach pracuje w kamieniołomach i wkrótce, w wieku 38 lat, umiera. Nie mogąc zdobyć żadnych wieści, mimo starań, co się z nim dzieje i gdzie przebywa, rodzina nie ustaje w nadziei, wciąż oczekując jego powrotu. Skąpą informację, gdzie ojciec był i jak umarł, wraz z wyrzeźbionym przez niego krzyżykiem, przynosi dopiero po latach jeden z niewielu ocalałych. Poza tym nic więcej już nigdy do rodziny nie dociera.

Wspominam o tym wieczorze i o tej tragicznej opowieści Janka dlatego, że jakkolwiek znam wszystkie jego wiersze, od debiutu poczynawszy, dopiero tego wieczora zrozumiałem, z jakiego bólu jego poezja wyrasta. Podejrzewam, że to ten ból stał się w ogóle impulsem poezjowania Jana Goczoła. Odkrył go dla poezji, pchnął go w jej ramiona jako tej sztuki, w której człowiek może być najdotkliwiej sam na sam ze sobą. Zarazem już na zawsze określił przestrzeń tej poezji, jej źródło, ale i jej słowo, jej metaforykę, jej oschłą czułość, jej utrzymaną na wodzy wyobraźnię. Wstrzemięźliwy, podskórny, ukryty, ten ból tli się niemal w każdym jego wierszu. W tej oszczędności słów, a właściwie w ich surowości, słychać wyraźnie echo dawnej mowy chłopskich przodków Jana Goczoła. Ale też w poezję swoją wgarnął Jan Goczoł całą tradycję i całą tragiczność dziejów swojej śląskiej ziemi, dla której cała rodzinna historia jest tych dziejów jednym z symboli.

Toteż tego wieczora słuchałem opowieści Janka o ojcu jak jednego z jego wierszy. Miałem wrażenie, że oto w naszej obecności rodzi się wiersz, mimowolny, nieświadomy siebie, lecz najprawdziwszy wiersz, bo tego nie można było inaczej przekazać, jak tylko zdaniami poezji. Ludwik Wittgenstein, wielki filozof austriacki, powiedział, że „w zdaniu tkwi tyle samo, ile poza nim”. Otóż w opowieści Janka poza zdaniami było więcej niż w zdaniach. Czuliśmy to we wszystkich niedopowiedzeniach, przemilczeniach, załamującej się raz po raz narracji. Do tego opowiadał z tak wyraźnym, charakterystycznym dla jego codziennej mowy rytmem. I z taką samą dostojnością, powstrzymując emocje i wybierając słowa jedynie niezbędne – jak w swoich wierszach.

Gdzieś kiedyś przeczytałem, jak ktoś, omawiając poezję Jana Goczoła, zastanawiał się, czy to jest poeta ogólnopolski, czy regionalny. Śmieszny, irytujący schemat, dowodzący jedynie, jak nasze umysły zniewolone są

wciąż przez schematy. I cóż by to miało znaczyć, poeta ogólnopolski – poeta regionalny? W żadnej dziedzinie sztuki nie ma takiego podziału. Sztukę mierzy się jakością, a nie pochodzeniem. Tak jak mierzy się człowieka. I tylko tak. Sztuka może się rodzić w zabitych deskami wsiach i metropoliach, nie ma to znaczenia. Czy rodzi się z inspiracji regionalnych, czy narodowych, nie ma to znaczenia. Może ogarniać najmniejszy skrawek ziemi i cały kosmos, jakież to może mieć znaczenie? Jeśli kulturę narodową przyrównać do Wisły, to nie byłoby Wisły bez dorzeczy. Zewsząd płyną zasilające ją wody. Gdziekolwiek spełnia się ludzki los – tam jest źródło sztuki. Doświadczenie jednostkowe czy zbiorowe ma wszędzie taką samą uniwersalną wagę, niezależnie od takiej czy innej, choćby najbardziej lokalnej, scenografii. I to właśnie z dotkliwości swojego i swojej ziemi losu bierze się polska poezja Jana Goczoła.

ODESZLI: JAN GOCZOŁ

BARTOSZ SUWIŃSKI

OSTATNI AKORD



W sierpniu ubiegłego roku, w przydomowym ogrodzie w Opolu-Półwsi (fot. Bartosz Suwiński)

Jan Goczoł to poeta osobny i odrębny. Zainteresowany tym, co najmniejsze. Jego poezja zaczęła się od gorączki uczuć, pobudek serca, za sprawą Małgorzaty, przyszłej żony. Jego debiut kręcił się wokół intymnej topografii, wokół lotnych piasków, którym na imię świat. Goczoł zdawał sprawę, że być może najbliżej z człowiekiem można być poprzez słowa, że to one skracają dystans, zjednują nam tę samą przestrzeń.

To poeta niezwykle czuły na każde drgnienie, powab, falowanie rzeczywistości. Wydany przestworowi, który z wolna sylabizuje nam i nazywa światło, za sprawą którego zawiązują się widoki. Jest to poeta szerokiego oddechu i świeżego powietrza.

Poeta ziemi, którego miejscami najbliższymi stawały się pola, łąki, lasy, miedze. Kroczył własnymi ścieżkami

i duktami, starając się zawsze zostawić w tyle miasto. W jego poezji jest coś z najlepszego rzemiosła: umiłowanie pracy i trud, jaki trzeba ponieść, starając się o cokolwiek. Znał smak i zapach ziemi. Rozmiłowany był we wszelkich jej owocach.

Jan Goczoł to poeta przydomowego ogrodu. Obserwator samotnej, postrzępionej chmury, wsiąkającej w głąb kałuży, porzuconej w kącie rabatki, ptaków wlatujących po okruszki, lotu pojedynczego liścia, którym targa wiatr. W zeszłym roku, w lutym, długo lamentował nad ściętą przez sąsiada wierzbą. W tym miał napisać wiersz o nawłoci, którą opiekuje się Pani Małgorzata – nie zdążył.

To poeta, przez wiersze którego błąka się Stary Ślązak, prawodawca minionego, wycięty z przeszłości, który

stale kluczy tymi wersami i pewnie nigdy nie odnajdzie swojej straty. Goczoł to poeta mitu, dla którego dawna wieś była miejscem odświętnym, gdzie czasy i ludzie goździli się ze sobą. Wiedział, że los to wzięcie odpowiedzialności za swoje przeznaczenie.

To również autor wierszy zgnębionych, poeta ciemnych pasm, który dobrze wiedział, że w każdym śnie może mieszkać ból, że życie jest wydzieraniem powietrza kolejnych oddechów, że jest tylko zbliżaniem się i oddalaniem od Tajemnicy. W Przypisie do całości czytamy:

*Mój czas, który jest
wapienną ścianą w celi śmierci.
W ścianie śladowe zapisy
wydrapane ukradkiem. Być może
całkiem inaczej znaczą
niż sentencja wyroku. Być może
znaczą wszystko.*

W ostatnich tygodniach Jan często opowiadał, że nie może spać, budzi się nocami, wspomina. Wracal do niego stale sen. Stoi na Noconiowej Górze, w Rozmierzy, przed sobą ma ojcowiznę, patrzy na rodzime ziemię, miedzę, sąsiedzkie i inne pola, i obejmuje to wszystko wzrokiem jak ramionami: czule i ciasno. A z oddali idzie ku niemu Matka, harda i silna, której trud i troskę – wychowała sama sześcioro dzieci – zawsze podziwiał.

Jan Goczoł to człowiek księżycowy, któremu patronowały gwiazdy. Janie, wracaj w swoje uroczyska, odpoczywaj w pokoju. Niech to będzie niewidzialne, ale niech jest. Poeta u progu stycznia, dwa lata temu napisał:

*Jeżeli za wstawiennictwem mojego orędownika,
świętego Jana Nepomucena,
w miłosiernym osądzie otwarta zostanie dla mnie
niebiańska furtka zbawienia, będę prosić o miejsce,
z którego mógłbym słyszeć bezustannie
niebiańską muzykę.*

Janku, niech melodie płyną nie tylko na pocieszenie!

ODESZLI: JAN GOCZOŁ

JAN MIODEK

WSPOMNIENIE O JANIE GOCZOLE



Jan Goczoł, w tle – jego portret namalowany przez Krzysztofa Buckiego, na ścianie zdjęcie z matką. Rok 2013 (fot. Tadeusz Parcej)

Zacznę od wyznania nauczycielskiego: Jan Goczoł od wielu już lat jest przeze mnie niezmiennie przywoływany na wykładach i w czasie wszelkich wystąpień poświęconych współczesnej polszczyźnie, gdy mówię o denerwującej manierze fonetycznej cechującej coraz większą liczbę młodych osób płci żeńskiej, a polegającej na zamienianiu miękkich spółgłosek ś, ź, ć, dź na półmiękkie s, z, c, dz. Taką ich artykulację, czyli „s’ła”, „z’ima”, „czes’c”, „s’edz’ec” (siła, zima, cześć, siedzieć), opolski poeta Jan Goczoł nazwał w jednym ze swoich wierszy „umizglwym seplenieniem” – pointując każdą wypowiedź temu zjawisku poświęconą, dodając przy tym, że od strony fizjologiczno-psychologicznej takie określenie jest nader trafne!

Na wykładach z gramatyki historycznej zaś, gdy tłumaczę zjawisko przegłosu polskiego, czyli obligatoryjnego przejścia w naszym języku samogłoski „e” - po spółgłosce miękkiej, a przed t, d, s, z, n, r, ł - w „o” lub w „a”, zawsze przywołuję miejsce urodzenia Jana Goczoła – Rozmierz (a także nieodległą Rozmierkę) koło Strzelec Opolskich – uświadamiając słuchaczom, że w tych starych nazwach (jak i w czasowniku *mierzyć* czy w rzeczowniku *mierniczy*) zachowało się dawne „e”, które w innych formach zgodnie z regułą owego przegłosu przeszło w „a” (*miara, miarka, rozmiar*, nazwisko *Rozmiar*).

Nazwiska *Goczoł*, dopowiem w tym momencie, trudno nie skojarzyć z nazwą miejscową *Goczałkowice* – typowym tworem patronimicznym o pierwotnym znaczeniu „potomkowie, ludzie Goczałka”. Ów *Goczałek* zaś uznawany jest za spolszczony wariant niemieckiej postaci *Gottschalk* (por. na ten temat: Stanisław Rospond, *Słownik etymologiczny miast i gmin PRL*, Wrocław 1984, str. 314). *Goczoł* różni się od *Goczałka* brakiem przyrostka zdrabniającego „-ek” i typowym w śląskich gwarach pochylonym dawnym długim „a”, wymawianym jak „o” (*Goczoł* – jak *Musioł, Kowol, Bógdoł, Niewiedziol, Tkocz, Bednorz, Nowok, Cierpiol, Kuczok, Lepiorz, Durczok, Październiok*).

Takie są moje asocjacje swoiście oficjalne, zobiektywizowane. W części subiektywnej, uczuciowej tego wspomnienia nie mogę nie wyznać, że z relacji z Janem Goczołem byłem zawsze bardzo dumny. Dobrze mi było z Nim – partnerem rozmów o języku, o Śląsku, o Polsce, o sporcie, o życiu. Było to partnerstwo z człowiekiem mądrym i dobrym.

W moich rodzinnych Tarnowskich Górach spotkałem się kiedyś z trzema poetami: Janem Goczołem, Florianem Śmieją i Bolesławem Luboszem. Oczywiście, sporo czasu poświęciliśmy przy tej okazji chorzowskiemu Ruchowi. Bo Ruch to jeszcze jedna nasza wspólna miłość!

Nie było wtedy z nami wielkiego kibica Ruchu Jana Cofałki. Za to na co dzień kwartet Cofałka – Goczoł – Śmieja – Miodek pozostawał w stałym internetowym kontakcie, a euforia po zwycięstwie bądź gorzkie wyklbanie „pierońskie dziady” po przegranym meczu przeczały się po sieci w minutę po końcowym gwizdku sędziego na łączach Warszawa – Opole – Toronto – Wrocław.

Brakować nam teraz będzie ogniwa opolskiego – tak jak nie doszło już, niestety, do naszego spotkania w Opolu w grudniu ubiegłego roku na promocji książki Jana Cofałki „Legendy sportu śląskiego”, które tak sobie wymarzyliśmy.

ODESZLI: JAN GOCZOŁ

JAN COFAŁKA

CHORY NA ŚLĄSK



„Dziedzic Śląskości” – ten żartobliwy tytuł nadała Janowi Goczołowi prof. Krystyna Kossakowska-Jarosz. A koszulkę z tym napisem podarował mu Jan Cofałka. „Paraduję w niej z dumą podczas naszych corocznych zlotów chorych na Śląsk w Jarnołtówku” – mówił Goczoł. W tych zlotach brali udział także Jan Cofałka i nieżyjący już Włodzimierz Kosiński. Jarnołtówek, 2001 r. (fot. Jan Cofałka)

Z Janem Goczołem, oprócz jego twórczości, która do mnie zawsze bardzo przemawiała (szczerze żałuję, że nie pozostawił po sobie znacznie więcej), łączył nasz Śląsk.

Dlatego nazwaliśmy go „Dziedzicem Śląskości”.

Przy czym ja urodziłem się na polskiej, po 1922 roku, jego części, Jan na tej, która po powstaniach śląskich pozostała w Niemczech. Mnie w 1945 roku, jako pięciolatka, pytali u babci w Chorzowie wkraczający na Śląsk czerwonarmiści, gdzie jest ta Germania. Tu musieli być jeszcze w miarę przyzwoici, ale kilkanaście kilometrów dalej, od Bytomia, Zabrze i Gliwic, zaczynała się dla nich „ta Germania”, na której mogli robić wszystko, mszcząc się na

Niemcach – palić, gwałcić i grabić. Obu nam zabrali ojców. Mój wrócił po jakimś czasie ciężko chory na tyfus, jego ojca pochowano gdzieś na Kaukazie. Pokazywał mi miejsce w Suchym Dańcu, gdzie go ostatni raz widział. Jan miał wtedy już jedenaście lat, więc rozumiał znacznie więcej niż ja. Dla mnie Polska była zawsze. Do niego przyszła i musiał ją sobie przyswoić, łącznie z językiem, który go zafascynował, i który tak ukochał.

A przecież po czerwonarmistach, często razem z nimi, zalała Śląsk Opolski fala szabrowników, a potem przybyszów, do tego tak ogromna, że ten dawny Śląsk, z jego specyfiką i kulturą, zaczął się niej roztapiać. To wi-

dział i czuł Jan, nazywany barometrem spraw śląskich. To była choroba, na którą cierpiał całe dorosłe życie, którą odkryłem u Niego, kiedy go bliżej poznałem w czasie Jego poselskiej aktywności.

W moim pokoju w Warszawie od lat wisi oprawiony na ścianie rękopis Jego gorzkiego wiersza z 1991 roku, napisanego długopisem na odwrocie druku poselskiego, pt. „Mój Śląsk”.

Mój Śląsk jest niewidoczną stroną księżycy.

Jego prawda pozostaje w cieniu, niewidzialna dla oślepych jego cudzym światłem, kłamiącym w żywe oczy.

Mój Śląsk jest mroczną stroną księżycy.

Nikt, kto łaski pańskiej, okruszyny władzy oczekuje, spojrzeć tam się nie odważy.

Oprócz niepokoju o Śląsk, łączyło nas kibicowanie najbardziej polskiemu, od jego powstania w 1922 roku, klubowi sportowemu na tej (wówczas polskiej) części Górnego Śląska: Ruchowi Chorzów. Drużynie takich piłkarskich asów, jak Wilimowski, Wodarz i Peterek (przed wojną) oraz słynny atak ABC: Alszer, Breiter, Cieślik – po drugiej wojnie. Nie było tygodnia, żeby na linii: prof. Jan Miodek (Wrocław), prof. Florian Śmieja (Kanada), Jan Goczoł (Opole) i Jan Cofałka (Warszawa) nie były wymieniane opinie o coraz mizerniejszych ostatnio losach naszego Ruchu Chorzów. O Legendach sportu śląskiego napisałem książkę i wymarzyłem sobie, iż na jej promocji w Opolu 19 stycznia 2018 r. spotka się trzech kibiców – Janów: Miodek, Goczoł, Cofałka. Niestety, nie udało się.

Jan napisał kiedyś:

Gdy umiera przyjaciel ślepnie nam jedno oko

Głuchnie jedno ucho, martwieje jedna dłoń.

Jest nas o połowę mniej.

Jedynie samotności jest w nas dwakroć więcej.

Żegnaj Janie,

Ciągle wierzę, że w przychylniejszych czasach dla takich ja Ty, prawdziwych synów tej ziemi, którzy pozostawili po sobie nieśmiertelne wiersze o Starym Ślązaku, znajdzie się dla Ciebie godniejsze miejsce pochówku niż to, gdzie Cię złożono. Może w końcu trafisz na Wzgórze Uniwersyteckie i spocznieś obok innego chorego na Polskę, Edmunda Jana Osmańczyka.

Od red. W 12. numerze tygodnika „Przegląd” (19-25 marca br.) Jan Cofałka zamieścił tekst o usunięciu, przez wojewodę opolskiego, nazwy ulicy Jana Rychła w Strzelcach Opolskich. Przypomina przy okazji o przemianowaniu – także decyzją wojewody – opolskiej ulicy Obrońców Stalingradu na ulicę Jerzego i Ryszarda Kowalczyków, sprawców wysadzenia auli WSP w Opolu w 1971 r. W konkluzji tekstu Cofałka pisze: „Kiedy w październiku 2017 r. zmarł starszy z braci Kowalczyków, Ryszard, pochowano go z wielkim honorami w alei zasłużonych cmentarza na Półwsi w Opolu. Kilka miesięcy później, w lutym 2018 r. zmarł wybitny polski poeta, Ślązak z krwi i kości – Jan Goczoł, nazywany dziedzicem śląskości i barometrem spraw śląskich. Jemu honorowego miejsca na cmentarzu nie zaproponowano, bo był posłem na Sejm IX i X kadencji (...) i należał kiedyś do partii, do której według dzisiejszej miary należeć się nie powinno, podobnie jak Wilhelm Szewczyk w Katowicach i wielu innych, którzy zamiast burzyć, tworzyli i odbudowywali Polskę”. Dodajmy, że historyk Zbigniew Bereszyński ujawnił, że Ryszard Kowalczyk, w połowie 1981 r., gdy odbywał karę pozbawienia wolności, został zarejestrowany jako tajny współpracownik SB – po wyjściu na wolność był w sieci agenturalnej Departamentu III MSW jako TW ps. „Seep”.

ODESZLI: JAN GOCZOŁ

EDWARD POCHROŃ

RAZEM ZAKŁADALIŚMY CZASOPISMO



Posiedzenie Rady Redakcyjnej i kolegium miesięcznika „Opole”. Od prawej: prof. Józef Kokot, Augustyn Wajda, prof. Krzysztof Kwaśniewski, red. Ryszard Hajduk, Edward Pochroń, Marek Jodłowski, Jan Goczoł i Zbigniew Zielonka (fot. Jerzy Stemplewski)

W mroźne przedpołudnie, na pagórku rozrastającego się cmentarza w Opolu-Półwsi, pochowaliśmy Jana Goczoła, 84-letniego wybitnego pisarza, redaktora, posła, działacza społecznego, a prywatnie mojego długoletniego przyjaciela. Nie wiem, czy Janek za życia wybrał sobie to miejsce wiecznego spoczynku z widokiem na pobliską Półwieś i ulicę Partyzancką, gdzie w małym ogrodzie stoi jego dom, w którym z żoną Małgorzatą mieszkał przez prawie pół wieku. Gdyby miejsce wybrał, to poszedłby za przykładem swojego starszego przyjaciela po piórze i filozofii, przybranego ojca, Rafała Urbana, który za życia obstałową dobrą kwaterę na cmentarzu w Głogówku, aby mieć z niej widok na całe miasteczko i swoje gospodarstwo w Winiarach.

Dzisiaj już nie pamiętam, kiedy i w jakich okolicznościach poznaliśmy się z o dwa lata młodszym Jankiem. W każdym razie musiało to być co najmniej jakieś 60 lat temu, bo wtedy jeszcze był on kawalerem, jako prezes rozmiarskiego LZS-u grał w piłkę, startował w długodystansowych biegach. W domu w Rozmierzy, z którego przez kuchnię wchodziło się do stajni, jeszcze w komplecie mieszkała cała Goczołownia, to znaczy: mama Emi-

lia, najstarszy syn Janek, jego młodszy bracia – Joachim, Gerard i Józek oraz siostra Marysia. Już wtedy poznałem rodzinny dramat: ojciec Janka, Józef, w 1945 roku został zabrany przez Ruskich i z wycieńczenia oraz głodu zmarł na tyfus w Borżomi (Zakaukazie). Rządy w domu i na 6-hektarowym gospodarstwie sprawowała szczuplutka, wysoka Emilia Goczoł z Gawlików, która jeszcze wtedy obrabiała pola krówskim zaprzęgiem, co na płótnie utrwalił przyjaciel Janka, pochodzący z kieleckiego Pińczowa świetny malarz opolski, Krzysiek Bucki.

Jako świeży jeszcze opolanin z nakazu pracy, to od Janka i jego rodziny w Rozmierzy uczyłem się Śląska, śląskiej wsi tak mocno różniącej się od mojej małopolskiej Zabawy. Niejeden raz chodziliśmy z Jankiem po polach za jego domem. Opowiadał o mieszkańcach wsi, między innymi o kierowniku miejscowej szkoły, który namówił mamę, aby posłała Janka do liceum, a nie do stolarza na naukę zawodu. Zwierzał się też, że nie wszystkim we wsi podobało się jego społeczne zaangażowanie w ZMP. W 1960 r. byłem na ślubie Janka z mieszkającą niemal po sąsiedzku Małgosią Witoń i przy okazji poznałem typowe dla Śląska narodowościowe podziały przebiegające

przez rodziny. Bracia mamy Małgosi, mieszkający na Górnym Śląsku i służący w polskim wojsku, w czasie wojny mogli strzelać do szwagra Witoniego służącego w Wehrmachcie. O takiej możliwości szwagrowie dyskutowali spokojnie przy biesiadnym stole.

Była też wspólna z naszymi żonami letnia wędrówka z plecakami po bezludnych jeszcze Bieszczadach, a później grzybowe wyprawy w podopolskie lasy, już z naszymi dziećmi – córkami Goczołów Joasią i Marysią, i naszym synem Adasiem.

To już prawie pół wieku mija od czasu, kiedy wspólnie z Jankiem Goczołem i Zbigniewem Zielonką (przeniósł się później do Koszalina) opracowywaliśmy założenia programowe powstającego miesięcznika społeczno-kulturalnego „Opole”.

Nasza organizatorsko-koncepcyjna trójca musiała się początkowo skoncentrować na skompletowaniu zespołu redakcyjnego. Janek Goczoł, współpracując z katowickimi „Poglądami” Wilhelma Szewczyka, zdobył już pewne doświadczenie redaktorsko-dziennikarskie, a przede wszystkim nawiązał tak potrzebne kontakty z pisarzami, ludźmi kultury nie tylko naszego regionu. Zbyszek Zielonka miał dobre kontakty w środowisku nauczycielskim i naukowym, a ponadto najlepiej z nas znał historyczne tradycje regionu. Ja miałem już dość duże doświadczenie dziennikarskie i dobrą znajomość społeczno-gospodarczych realiów województwa. Wspólnymi siłami udało nam się skompletować interesujący zespół redakcyjny oraz spore grono stałych współpracowników i autorów z województwa i kraju.

Przez pięć lat, od 1970 do 1975 r., wspólnie z Jankiem kierowaliśmy redakcją miesięcznika. Początkowo on był sekretarzem redakcji, a potem moim zastępcą. Po Janku sekretarzem został Marek Jodłowski, skaperowany przez nas nauczyciel brzeskiej szkoły średniej. Kiedy z perspektywy czasu patrzę na podział ról w redakcji, to przypominam sobie, że Janek koncentrował się na bieżącym kierowaniu redakcją, a ja więcej czasu poświęcałem zewnętrznym inicjatywom „Opola” – organizowaniu i prowadzeniu sympozjów plastycznych (w Łosiowie, Krapkowicach, Otmuchowie, Górażdżach). W 1975 r. przeszedłem do „Trybuny Opolskiej” na zastępcę redaktora naczelnego.

Niejeden raz w rozmowie z Jankiem zadawaliśmy sobie pytanie: dlaczego nasz region od kilkunastu lat nie ma własnego pisma społeczno-kulturalnego? Wprawdzie jesteśmy o wiele mniejszym województwem niż

dolnośląskie (mające znakomitą „Odrę”) czy śląskie (dysponujące miesięcznikiem „Śląsk”), ale przecież nie aż tak ubogim finansowo i intelektualnie, aby nie było nas stać na wydawanie miesięcznika o ambitnym profilu.

ODESZLI: JAN GOCZOŁ

KRYSTIAN CZECH

BYŁ ANIOŁEM STRÓŻEM NASZEGO ZESPOŁU



Przed Zamkiem Ostrogskich w Warszawie, 2001 r. Na zdjęciu (od lewej): Barbara Wysocka, Jan Cofalka, Jan Goczoł, Wiesław Myśliwski, Kazimierz Kutz i Gabriela Dworakowska

Jana Goczoła poznaliśmy w grudniu 1994 r. podczas VII Zjazdu Opolskiego Towarzystwa Kulturalno-Oświatowego. Byliśmy zaproszeni z zespołem, aby dać krótki koncert. Po występie Jan Goczoł zapytał: *Gdzieżecie się to wychowali?* To, co przed chwilą śpiewaliście, śpiewała moja mama. Po tym spotkaniu przeczytaliśmy zamieszczony w gazecie felieton, który prawie w całości dotyczył naszego zespołu. Było nam zwyczajnie bardzo miło. Jeszcze wielokrotnie ukazywały się teksty tego autora, związane z naszą działalnością artystyczną i nie tylko (dotyczyły również spotkań rodzinnych). Ten pierwszy felieton był jednak szczególny. Jego treść stała się bowiem dla nas rodzajem testamentu, jaki zapisał nam do wypełnienia nasz przyszły Przyjaciel. Felieton zaczynał się opowieścią o jeżu szukającym zimowego schronienia

w przydomowym ogródku i mówił o radości z niezakłóconego nasłuchiwanie. A potem o nas:

„To jest cisza dla „Silesii” z podolskiej Brynicy. Gdy się pojawiła na sali konferencyjnej opolskiego Urzędu Wojewódzkiego – niespodziewana, nieznana tu dotychczas, dwie kobiety i dwóch mężczyzn wobec kilkudziesięciu zaferowanych doraźnymi sprawami uczestników zjazdu towarzystwa kulturalnego. Zdawało się – nie mają szans w tym zjazdowym rozgwarze. Klarinet, akordeon, skrzypce i trzy głosy – obu kobiet i klarncisty. I oto po pierwszych dwóch-trzech wersach pierwszej piosenki sala zamarła – mógłbym powiedzieć – zdumiona: skąd się ta czwórka wzięła, gdzie się uchowała (a właściwie – gdzie i z czego wyrosła).

(...) Uroda duchowa tego zespołu: pojechałem do Brynicy, Łubnian, Dąbrówki Łubniańskiej – z tamtych krajobrazów wsi, jakby schowanych za lasami, z dala od szumu i warkotu szybkich szos i szybkiego gadania, z tamtej ciszy wciąż jeszcze wstającej wieczorami z płaskich pól i przyleśnych łąk, są melodie tych pieśni. Stamtąd, jak mój jeź, zespół z Brynicy wychynął niespodziewanie, po cichu, ale bardzo wyraźnie i czytelnie. I nie chciałbym, żeby mi zniknął gdzieś pod suchym listowiem, jak mój podwórkowy iglasty”. („NTO”, 17-18 grudnia 1994).

W krótkim czasie nawiązaliśmy z Janem Goczołem, a później i z jego żoną Małgorzatą, znajomość, która przerodziła się w przyjaźń, a nasze spotkania miały charakter typowo rodzinny, organizowane zarówno przez nas, jak i Jana z Małgorzatą. Najczęściej dotyczyły urodzinowych rocznic w Brynicy oraz w naszym rodzinnym domu w Dąbrówce Łubniańskiej. Prezentami, jakie otrzymywaliśmy od Goczołów, były najczęściej książki, zawsze z okazjonalnymi dedykacjami, które dziś czytane przywołują obrazy naszych serdecznych spotkań.

Do wyjątkowych należały jednak kolędowe wieczory organizowane w styczniu każdego roku przez Barbarę i Artura w naszym domu rodzinnym. Atmosfera tych wieczorów była niezwykła. Śpiewaliśmy z wielką radością, graliśmy na skrzypcach, klarncie, gitarze, a nasz ojciec Franciszek na harmonijce ustnej. Dużo rozmawialiśmy, a Basia z Arturem dbali o to, aby poza duchowym przeżyciem nie zabrakło niczego na stole. Spotkania kolędowe były też okazją do śpiewania pieśni ludowych z naszego repertuaru oraz pieśni na specjalne życzenia. Dla Jana Goczoła była to zawsze pieśń „Na wójtowej roli”, którą śpiewał pięknym i donośnym, tenorowym głosem. Nasze spotkania trwały do późnych godzin nocnych i po każdym z nich cieszyliśmy się na kolejne.

W czasie wieloletniej znajomości z rodziną Goczołów mieliśmy okazję poznać także rodzinne strony Jana i Małgorzaty – Rozmierz. Także w Rozmierzy zagraliśmy kilka koncertów. Mijały lata, nasza znajomość była na tyle ugruntowana, że pozwoliliśmy sobie przyjąć Jana Goczoła do zespołu. Ceremonia przyjęcia miała się odbyć podczas uroczystości organizowanych z okazji 10-lecia działalności „Silesii”. Jednym z punktów programu było właśnie nadanie Janowi tytułu „Anioła Stróża”. To pomysł Barbary Wysockiej, którą Jan – naszym zdaniem – adorował szczególnie, ale nie byliśmy o to zazdrośni. Portret Jana ze skrzydłami anioła namalował łubniański artysta Jerzy Czech. Od tamtego czasu Jan stał się for-

malnym, piątym, duchowym członkiem „Silesii”. Czasami z nami występował. Rola anioła stróża została przyjęta bardzo życzliwie przez poetę. Jako duchowy opiekun naszej czwórki czuł się, jak często mawiał, za nas odpowiedzialny. Traktowaliśmy to jako formę przyjacielskiej zabawy, jednak jako zespół byliśmy z tego powodu bardzo dumni.

Wspólnie przeżyliśmy wiele interesujących i bardzo ważnych dla nas (ale sądzę też, że ważnych dla Jana) wydarzeń artystyczno-kulturalnych. Nie sposób wymienić wszystkich. Do nich należą między innymi dwa występy „Silesii” w Muzeum Chopina na Zamku Ostrogskich w Warszawie, podczas wręczania wyróżnień prof. Franciszkowi Kokotowi i prof. Dorocie Simonides, nagród przyznawanych przez Towarzystwo Przyjaciół Śląska w Warszawie, a także trzy wspólne, wyjątkowe – dzięki Janowi – podróże zagraniczne na Litwę, do Rosji i Stanów Zjednoczonych (Teksas).

Był to rok 2004. Ks. prałat Franciszek Kurzaj zaprosił „Silesię” na uroczystość obchodów 150-lecia emigracji Ślązaków do Teksasu, dokąd teraz udawała się ponad trzydziestoosobowa grupa z Polski. Na podróż do Ameryki Jan długo nie był zdecydowany. Decyzję podjął prawie w ostatniej chwili, mówiąc: – Nie możecie przeca polecieć tak daleko bez waszego anioła stróża. A jak już tam banda, może udoł mi się trefić Gawlików, krewnych łód stróny mojej matki, ktorzi w Pannie Marii stawiali kościół.

Naszemu aniołowi stróżowi towarzyszył w tej podróży także jego osobisty Anioł Stróż. Bo wydaje się to nieprawdopodobne, ale po trzytygodniowych poszukiwaniach, spotkaniach z wieloma osobami noszącymi nazwisko Gawlik, Jan odnalazł w końcu swojego krewnego Gawlika. Od tamtego spotkania amerykańscy Gawlikowie i opolscy Goczołowie przez cały czas utrzymywali listowny kontakt.

Niestety, zdrowie Jana zaczęło się pogarszać. Coraz rzadziej nas odwiedzał. W miarę możliwości zaglądaliśmy do domu Goczołów w Opolu. Ostatnie spotkanie „Silesii” z Janem Goczołem miało miejsce 6 stycznia 2018 roku. Od wielu lat w tym czasie odwiedzamy z zespołem naszych krewnych i przyjaciół, aby złożyć im tradycyjne, przekazane nam jeszcze przez ojca, życzenia noworoczne. Tego dnia, jako Trzej Królowie, odwiedziliśmy też dom Goczołów przy ulicy Partyzanckiej. Trudno było nam tym razem wyśpiewać noworoczne powinszowania, ale zgodnie z tradycją przestąpiliśmy zawsze gościnny próg

Jana i Małgorzaty, śpiewając: *Do tego domu wstympujemy, szejściol zdrowioł wiynsujemy...*

Po chwili Jan dołączył do wszystkich i usiadł z nami przy stole. Był zmęczony chorobą. Z trudem się uśmiechał, ale w pewnej chwili, tak jak dawniej, w niedalekiej przeszłości, zaśpiewał z nami swoim mocnym tenorowym głosem „Bóg się rodzi, moc truchleje...”. To był jednak nasz ostatni wspólny występ.

W listopadzie 2003 roku otrzymaliśmy od Jan Goczoła list z Estonii. List był dość obszerny, napisany tradycyjnie, piórem. Kończył się słowami: *Dziękuję Wam za to, że w Waszym śpiewaniu i graniu mogłem usłyszeć głęboki, czysty głos dawnego Śląska! Gratuluję Wam Waszego Jubileuszu!* (list został napisany z okazji jubileuszu 10-lecia działalności zespołu, kiedy nadaliśmy Janowi tytuł „Anioła Stróża”) *I życzę Wam bezustannej radości śpiewania i w czasie przyszłym, w którym będziecie śpiewali nadal. Ja będę w nim przy Was, z otwartym ku Wam sercem, jak dotychczas. Aż do chwili, w której ten czas przestanie już być moim czasem. Ale i wtedy – jeśli będzie mi ta łaska dana – będę wraz ze Starym Ślązakiem spoglądał ku Wam tam z góry, znad chmur – Wasz Jan Goczoł.*

Drogi Janie! To my dziękujemy za to, że mogliśmy być z Tobą. Uczyc się od Ciebie mądrości i pokory. Postaramy się tak długo, jak to tylko będzie możliwe, nie zakopywać się jeszcze w jesiennych liściach, jak ten jeż z Twojego przydomowego ogrodu.

Zespół „Silesia”: Barbara, Gabriela, Krystian, Rajmund

PS Zespół Pieśni Ludowej „Silesia” powstał w 1993 r. Działa przy Łubnieńskim Domu Kultury, w składzie: Krystian Czech (lider zespołu, klarnet, śpiew), Gabriela Dworakowska (skrzypce, śpiew), Barbara Wysocka (śpiew), Rajmund Szymaniec (akordeon).

ODESZLI

KAZIMIERZ M. WOLSZA

KS. PROF. DR HAB. JÓZEF HERBUT (1933–2018)



Ks. prof. Józef Herbut (zdjęcie ze zbiorów ks. prof. Kazimierza M. Wolszy)

Józef Herbut urodził się 1 listopada 1933 r. w Baryszu, w powiecie buczackim, w województwie tarnopolskim, na Podolu. W 1942 r. rozpoczął naukę w szkole powszechnej w rodzinnej miejscowości. Ukończył w niej cztery pierwsze klasy. Po zakończeniu wojny wraz z całą rodziną zamieszkał w Krzywiczynach, w powiecie kluczborskim, gdzie rodzice otrzymali niewielkie gospodarstwo rolne. Ukończył tu szkołę podstawową. W 1948 r. rozpoczął naukę w Liceum Ogólnokształcącym w Kluczborku i w 1952 r. zdał egzamin maturalny. Z jego klasy szkolnej wyszło czterech profesorów. Oprócz niego byli to uczeni

związani potem z Uniwersytetem Wrocławskim: prof. Roman Duda (matematyk), prof. Janina Ławińska-Tyszkowska (filolog klasyczny) oraz Józef Witkowski (ornitolog). „Nowa Trybuna Opolska”, 2 września 2002 r., informowała o spotkaniu klasowym zorganizowanym w kluczborskim liceum w pięćdziesięciolecie matury. Prof. Roman Duda, były rektor Uniwersytetu Wrocławskiego, mówił wtedy: „Byliśmy różni: Ślązacy, Polacy, katolicy, protestanci, przepędzeni i ci, którzy wypędzenia uniknęli, ale przede wszystkim byliśmy dziećmi, które chciały poznać świat”. Prof. Janina Ławińska-Tyszkowska, wówczas dyrektor Instytutu Filologii Klasycznej i Kultury Antycznej Uniwersytetu Wrocławskiego, dopowiadała: „Wojna zabrała nam dzieciństwo, ale przeżyliśmy i byliśmy silni. (...) Chcieliśmy się dalej kształcić, realizować swoje pasje”. Józef Herbut uznał, że pasją jego życia będzie zostanie duchownym.

Po maturze w 1952 r. rozpoczął studia filozoficzno-teologiczne w Wyższym Seminarium Śląska Opolskiego w Nysie i Opolu. Jego pierwszymi nauczycielami filozofii byli: ks. dr Franciszek Ilków-Gołąb (1909–1978), ks. dr Tadeusz Wojciechowski (1917–2000), późniejszy profesor Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie, oraz ks. dr Albert Warkocz CM (1908–1992), uczeń Władysława Tarkiewicza (1886–1980), autor prac dotyczących filozofii francuskiej oraz myśli patrystycznej. Tematykę filozoficzną podejmował w swych zajęciach także ks. dr Edward Kopeć (1918–1999), wykładowca teologii fundamentalnej, związany potem jako profesor z Wydziałem Teologii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Pod jego kierunkiem Józef Herbut napisał pracę dyplomową na temat sposobów poznania Boga u Karła Adama (1876–1966). W 1957 r. Józef Herbut przyjął święcenia kapłańskie z rąk ówczesnego administratora Śląska Opolskiego, biskupa Franciszka Jopa (1897–1976). Wraz z nim święcenia przyjęło trzech innych przyszłych profesorów Uniwersytetu Opolskiego: Alfons Nossol, późniejszy biskup opolski oraz profesor teologii dogmatycznej i ekumenicznej, Kazimierz Dola, historyk Kościoła, a także Alojzy Marcol (1931–2017), zajmujący się etyką i teologią moralną.

Bezpośrednio po święceniach kapłańskich ks. Józef Herbut został skierowany na studia specjalistyczne w zakresie filozofii. W latach 1957–1961 odbył studia na Wydziale Filozofii KUL (filozofia teoretyczna), zakończone magisterium w 1961 r. Pracę magisterską *Analiza sylogizmu z terminami o znaczeniach analogicznych* napisał pod kierunkiem ks. prof. Stanisława Kamińskiego (1919–1986). Już w 1962 r. obronił pracę doktorską pt. *O formalnej wyrażalności analogii metafizycznej*, której promotorem był również prof. S. Kamiński. Recenzentami w przewodzie doktorskim byli natomiast: prof. Mieczysław A. Krąpiec OP (1921–2008) oraz prof. Izidora Dąbska (1904–1983). W 1962 r. ks. dr Józef Herbut rozpoczął pracę dydaktyczną w Wyższym Seminarium Duchownym Śląska Opolskiego w Nysie jako wykładowca logiki, wstępu do filozofii oraz historii filozofii. W kolejnych latach, w związku z następującymi po sobie odejściami poprzedników (T. Wojciechowskiego w 1962 r., A. Warkocza w 1963 r. i Ilkowa-Gołąba w 1971 r.) przejmował stopniowo dalsze wykłady, stając się w latach 1971–1978 jedynym nauczycielem filozofii w seminarium, wykładającym niemal wszystkie dyscypliny filozoficzne.

Pomimo licznych i zróżnicowanych tematycznie zajęć kontynuował własną pracę badawczą, publikował i przygotowywał pracę habilitacyjną. Habilitował się w 1976 r. na Wydziale Filozofii KUL na podstawie dorobku naukowego oraz pracy *Hipoteza w filozofii bytu*. Recenzentami w przewodzie habilitacyjnym byli: ks. prof. S. Kamiński, prof. Antoni B. Stępień oraz prof. Edward Morawiec CSsR. Po habilitacji Józef Herbut został zatrudniony w Katedrze Metodologii Nauk KUL i prowadził wykłady oraz seminaria z metodologii filozofii i logiki języka religijnego. Przez kilkanaście lat dojeżdżał na zajęcia z Nysy, gdzie nadal prowadził zajęcia dydaktyczne. Wykładał ponadto w Miśnym Seminarium Księży Werbistów (Wydział Filozofii) w Nysie oraz w Instytucie Teologiczno-Pastoralnym (filii KUL) w Opolu. Po śmierci prof. S. Kamińskiego i zwiększeniu zajęć na Wydziale Filozofii KUL zamieszkał w Lublinie. Zaczął wtedy stopniowo ograniczać dotychczasowe wykłady w Nysie oraz w Opolu i przekazywać je młodszemu pracownikom. Nieprzerwanie jednak od 1962 do 2004 r. przez 42 lata akademickie prowadził zajęcia z logiki. W 1987 r. ks. Herbut otrzymał tytuł profesorski (wówczas tytuł profesora nadzwyczajnego), uzwycajnienie nastąpiło w 1992 r. Jako tzw. książkę profesorską zgłosił monografię *Metoda transcendentna w metafizyce* (Opole 1978).

W 1992 r. został pierwszym kierownikiem Katedry Metodologii Filozofii na Wydziale Filozofii KUL, wyłonionej z Katedry Metodologii Nauk. Po powstaniu Uniwersytetu Opolskiego w 1994 r. został (również pierwszym) kierownikiem Katedry Filozofii Systematycznej i Historii Filozofii na Wydziale Teologicznym nowej uczelni. Zorganizował grono współpracowników i wyznaczył kierunki prac jednostki. Działalność dydaktyczną w środowisku opolskim zakończył w 2004 r., po ukończeniu siedemdziesiątego roku życia. Został też wówczas uhonorowany godnością kapelana Jego Świątobliwości (prałata), a w 2005 r. – Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. W Lublinie jeszcze przez trzy lata pozostawał pracownikiem etatowym na Wydziale Filozofii KUL, potem prowadził zajęcia zleczone oraz prace w redakcji *Encyklopedii katolickiej* – do 2010 r. Jako emeryt zamieszkał ponownie w Nysie, w dawnym domu profesorskim, przekształconym obecnie w dom księży emerytów diecezji opolskiej. Tu zmarł 8 marca 2018 r. Pochowany został na cmentarzu Jerozolimskim w Nysie.

Podstawowymi obszarami naukowych badań prof. Józefa Herbuta były: metodologia filozofii, filozoficzna analiza języka religii oraz etyka i metaetyka. Publikacje na te tematy ukazywały się w „Rocznikach Filozoficznych”, „Zeszytach Naukowych KUL”, „Przeglądzie Filozoficznym”, „Studia Philosophiae Christianae”, „Studiach Teologiczno-Historycznych Śląska Opolskiego”, „Filo-sofija”. Najważniejsze publikacje książkowe to: *Hipoteza w filozofii bytu* (Lublin 1976), *Metoda transcendentna w metafizyce* (Opole 1978), *Elementy metodologii filozofii* (Lublin 2004, 2007), *Artykuły i szkice. Z metodologii i teorii metafizyki, filozoficznej analizy języka religii oraz etyki i metaetyki* (Opole 2008).

Do najważniejszych osiągnięć Józefa Herbuta w zakresie metodologii filozofii można zaliczyć: przeanalizowanie możliwości formalnego ujęcia analogii transcendentnej, określenie zasięgu stosowalności logiki formalnej w metafizyce, rekonstrukcję procedur metodologicznych stosowanych w metafizyce ze szczególnym uwzględnieniem wyjaśniania hipotetycznego, zbadanie struktury metod transcendentnych i możliwości ich zastosowania w metafizyce. Filozoficzna analiza języka religii obejmowała m.in. takie zagadnienia, jak: geneza, struktura i funkcje języka religijnego, filozoficzne i teologiczne sposoby orzekania o Bogu, uzasadnianie przekonań religijnych m.in. przez autorytet i hipotezę religijną, pojęcie tajemnicy religijnej, struktura doktryny

religijnej i doktryny ideologicznej, struktura wypowiedzi modlitewnych, logiczna charakterystyka celów ruchu ekumenicznego. W obszarze etyki i metaetyki Józef Herbut poruszał m.in. następujące problemy: uzasadnianie norm moralnych przez konsens oraz doświadczenie moralne, struktura teorii etycznych, typy zdań deontycznych i rodzaje relacji między nimi, pojęcie prawdy moralnej w relacji do prawdy poznawczej i religijnej.

Prof. Józef Herbut zajmował się także działalnością leksykograficzną, redagując *Leksykon filozofii klasycznej* (Lublin 1997), pracując w redakcji filozoficznej oraz naczelnej *Encyklopedii katolickiej*, współredagując *Słownik terminów naukoznawczych* (Lublin 2009), opracowując ok. 290 haseł biograficznych i tematycznych zamieszczonych w *Leksykonie filozofii klasycznej*, *Encyklopedii katolickiej*, *Powszechnej encyklopedii filozofii*, *Słowniku terminów naukoznawczych* oraz tłumacząc wybrane hasła w *Leksykonie religii* (Warszawa 1997).

Dorobkowi naukowemu prof. Józefa Herbuta poświęcone były pamiątkowe tomy: *Ratio et revelatio* (Opole 1998) – z okazji sześćdziesiątej piątej rocznicy urodzin, *Novis vetera augere atque perficere* (Lublin 2004) – na okoliczność siedemdziesięciolecia, *Artykuły i szkice. Z metodologii i teorii metafizyki, filozoficznej analizy języka religii oraz etyki i metaetyki* (Opole 2008) – zbiór tekstów i opracowań dla uczczenia siedemdziesiątej piątej rocznicy urodzin, *W trosce o kulturę logiczną* (Opole 2014) – prace uczniów dedykowane Profesorowi z okazji jego osiemdziesięciolecia.

W 2019 r. przypadnie siedemdziesiąta rocznica dydaktyki filozofii w opolskim środowisku teologicznym. Prof. Józef Herbut w nieprzerwany sposób wykładał przez 42 lata akademickie. Współpracował w tym czasie ze wszystkimi wykładowcami przedmiotów filozoficznych. Jako młody doktor był bowiem współpracownikiem pierwszych nauczycieli filozofii w Nysie i Opolu: Franciszka Ilkowa-Gołąba, Alberta Warkocza i Tadeusza Wojciechowskiego. Potem zaś, aż do emerytury, był współpracownikiem młodszych od siebie wykładowców, takich jak: ks. prof. Józef Król (1945–2011), ks. dr Krzysztof Pagór, ks. dr Jan Cichoń, ks. dr hab. Joachim Piecuch, prof. UO, oraz ks. prof. Kazimierz Wolsza. Śmierć prof. Józefa Herbuta przerwała łączność z poprzednikami. Pozostaje jednak więź wytworzonej tradycji. W 1. Liście do Koryntian czytamy: *Ego accepi a Domino quod et tradidi vobis* (1 Kor 11,23) – „Otrzymałem od Pana to, co [następnie] wam przekazałem”. Najlepiej spłacamy dług

zaciągnięte wobec naszych nauczycieli, wychowawców, poprzedników, gdy rozwijamy i przekazujemy innym to, co od nich otrzymaliśmy.

ODESZLI

HARCMISTRZ DR JANUSZ MICHUŁOWICZ



Dr Janusz Michułowicz i HAKI

13 lutego br., w wieku 85 lat, zmarł w Katowicach hm dr Janusz Michułowicz, syn skauta, lwowskiego „Orlęcia” i „Sokoła”, harcerz i drużynowy ZHP w latach 1946–1948 we Wrocławiu. Absolwent studiów pierwszego stopnia Państwowej Wyższej Szkoły Pedagogicznej we Wrocławiu (rocznik 1953/1954).

W 1954 roku, wspólnie z Alojzym Smolką, konwojował do Opoli mienie wrocławskiej uczelni, która jesienią tego roku zaistniała jako Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Opolu. Już w murach tej opolskiej uczelni otrzymał dyplom ukończenia studiów pierwszego stopnia, a przed ówczesnym gmachem głównym (przy ul. Luboszyckiej 9) podczas uroczystej promocji oficerskiej został mianowany na stopień podporucznika.

Był jednym z pierwszych pracowników WSP w Opolu. Początkowo został zatrudniony w Studium Wojskowym,

a następnie (w 1956 roku) – w Katedrze Języka Rosyjskiego na stanowisku lektora. Począwszy od roku akademickiego 1959/1960 pracował w Katedrze Pedagogiki tejże uczelni. W latach 1959–1960 studiował na Uniwersytecie Wrocławskim, kończąc studia II stopnia i uzyskując tytuł magistra pedagogiki. Początkowo prowadził ćwiczenia z psychologii i pedagogiki, później uzyskał uprawnienia do prowadzenia wykładów z zakresu nauk pedagogicznych. W opolskiej WSP obronił swoją rozprawę doktorską (w 1967 roku), co stanowiło podstawę do prowadzenia seminariów dyplomowych.

Poza obowiązkami naukowo-dydaktycznymi i organizacyjnymi często był wykonawcą nietypowych zadań. Między innymi w październiku 1954 roku ówczesny rektor WSP dr Jan Zborowski (późniejszy profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego) wysłał Go do Fabryki Naczyn Emaliowa-

nych w Częstochowie celem zakupu naczyń i sprzętu kuchennego do uczelnianej stołówki, mieszczącej się wtedy w Domu Studenta przy ul. Nysy Łużyckiej. Ponieważ wiosną 1957 roku ukończono budowę Domu Profesora (przy ul. Matejki 12), rektor WSP prof. dr Stanisław Kolbuszewski powierzył Mu obowiązki przewodniczącego komisji przejmującej ten obiekt od przedsiębiorstwa budowlanego. 5 października 1957 roku powierzono Mu „sprawowanie nadzoru nad życiem kulturalnym, moralnym i towarzyskim studentów”. W praktyce pełnił obowiązki kierownika Domu Studenta.

Kiedy z inicjatywy rektora Kolbuszewskiego, 15 lutego 1958 roku, w sali obrad Wojewódzkiej Rady Narodowej w Opolu odbył się I Bal Akademicki, był jednym z jego organizatorów. Na balu, który stał się wydarzeniem dość głośnym w Opolu, bawili się m.in. aktorzy opolskiego teatru, dziennikarze, prawnicy, lekarze, urzędnicy władz wojewódzkich i miejskich Opolszczyzny, działacze polityczni i społeczni i, oczywiście, nauczyciele akademicy oraz brać studencka.

Jesienią 1958 roku, za namową ówczesnego dyrektora administracyjnego WSP, a równocześnie komendanta Opolskiej Chorągwi ZHP, harcmistrza Stefana Grobelnego, zorganizował na uczelni drużynę harcerstwa akademickiego. W 1959 roku drużyna przyjęła oficjalną nazwę: Harcerski Akademicki Krąg Instruktorów im. Bohaterów spod Monte Cassino, czyli „HAKI”. Była to jedna z pierwszych drużyn harcerstwa akademickiego w Polsce. Imię patrona nie zyskało Mu sympatii czynników politycznych. Jak sam mówił, musiał się z tego nie raz tłumaczyć w tzw. białym domu.

Celem programowym Kręgu było kształcenie i doskonalenie umiejętności pedagogicznych instruktora harcerskiego oraz wzbogacanie przyszłego warsztatu nauczycielskiego o dorobek metodyczny harcerstwa polskiego. Badanie i upowszechnianie dorobku pedagogicznego harcerstwa stało się podstawowym zadaniem powstałej jesienią 1968 roku, z Jego inicjatywy, Pracowni Metodyki Wychowania Harcerskiego, pierwszej w Polsce akademickiej placówki naukowej podejmującej tę problematykę. Pracownia działała przy ówczesnej Katedrze Pedagogiki. Powstanie pracowni zainspirowało wiele szkół wyższych kształcących nauczycieli do powołania podobnych placówek. Działalność tych pracowni oraz działania wielu pracowników naukowych – instruktorów harcerskich miały wpływ na wprowadzenie do kanonu kształcenia pedagogów przedmiotu metodyka wychowania w ZHP.

W lutym 1974 roku dr Michułowicz uzyskał zgodę władz opolskiej uczelni na przejście do pracy na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Początkowo pracował w filii UŚ w Cieszynie. Tam, w różnych okresach, pełnił obowiązki dziekańskie oraz kolejno: kierownika Zakładu Pedagogiki Pracy Kulturalno-Oświatowej oraz kierownika Zakładu Metodyki Pracy Organizacji Młodzieżowych (przekształconego następnie w Zakład Teorii Nauczania i Wychowania). W październiku 1983 roku uzyskał przeniesienie na Wydział Pedagogiki i Psychologii UŚ w Katowicach. W Cieszynie i w Katowicach prowadził wykłady i ćwiczenia z pedagogiki i metodyki wychowania harcerskiego, a także seminaria magisterskie. Na Wydziale Pedagogiki i Psychologii UŚ pracował do odejścia na emeryturę (w 1996 roku). Będąc na emeryturze, do 2002 roku prowadził wykłady i ćwiczenia z zakresu metodyki pracy nauczyciela bibliotekarza w Instytucie Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej, przy którym zorganizował (a także pełnił obowiązki opiekuna naukowo-merytorycznego) pierwszą w Polsce Pracownię Polskiej Bibliografii Harcerskiej i Skautowej.

Fenomen Kręgu „HAKI”, jakim byliśmy i jaki stanowimy do tej pory, był całkowicie jego zasługą. We wspomnieniach każdego z nas jawi się wiele obrazów, chwil, w których – niezależnie od wyzwań czasu studiów, jakie by one nie były – zawsze był obecny śp. druż. Janusz, komendant, kurator, mentor, opiekun, przyjaciel – ze swoim optymizmem, pogodą ducha, wsparciem. Jego postawa, wspólne z nami uczestniczenie w celebrowaniu uroczystości uczelnianych, miały istotne znaczenie w kształtowaniu naszych tożsamości bycia studentem, a później absolwentem WSP. Jego wielką troską było to, abyśmy po skończeniu studiów, po rozjechaniu się do swoich środowisk i wyznaczonych nam miejsc pracy, stanowili nadal całość, która jest sobie bliska. Każdy obozowy dzień, zbiórka, spotkanie z Nim na szlaku harcerskiej służby były czasem, który dawał nam to, czego żadną miarą nie da się zmierzyć i wypowiedzieć.

Dziękujemy Ci, Druhu Komendancie, w imieniu wszystkich „Haków” za te chwile. Serdecznie dziękujemy Małżonce, pani Marii, za okazywaną wyrozumiałość dla naszych harcerskich spraw.

Druhu Komendancie, nikt Cię nie jest w stanie zastąpić. Pozostaniesz na zawsze w naszej pamięci, ale już nie będzie tak samo, jak kiedyś z Tobą!

Czuwaj!

Eryk Holona – w imieniu byłych „Haków”

KS. KARDYNAŁ KARL LEHMANN



Ks. kardynał Karl Lehmann (fot. Tadeusz Parcej)

11 marca br. zmarł ks. kardynał Karl Lehmann, doktor *honoris causa* Uniwersytetu Opolskiego – tę godność przyjął 24 stycznia 2002 r.

Był wybitnym ekumenistą, doktorem filozofii i teologii, profesorem uniwersytetów w Moguncji i Fryburgu, autorem licznych dzieł i opracowań naukowych, znakomitym uczonym o wielkim wkładzie w dzieło dialogu między teologią i Kościołem a nowoczesną nauką i kulturą, a także w dzieło pojednania między narodami polskim i niemieckim.

Ks. kardynał Karl Lehmann urodził się 16 maja 1936 r. w Sigmaringen. W 1956 r. podjął studia filozoficzne i teologiczne na Uniwersytecie we Fryburgu, po roku kontynuował je na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie. Studia filozoficzne zakończył obroną pracy doktorskiej z filozofii w 1962 r. (trzytomowa rozprawa pt. *Ursprung und Sinn der Seinsfrage beim früheren Martin Heidegger*). W 1963 r. przyjął święcenia kapłańskie. W latach 1964-1967 był asystentem znanego jezuitę profesora Karla Rahnera, w Monachium i w Monastyrze. W 1967 r. uzyskał doktorat z teologii na podstawie pracy pt. *Auferweckt am dritten Tag nach der Schrift. Früheste Christologie, Bekenntnisbildung und Schriftauslegung im Lichte von 1 Kor 13,3-5*.

W 1968 r. został mianowany profesorem teologii dogmatycznej i ekumenizmu Uniwersytetu w Moguncji. Po trzech latach objął stanowisko profesora Uniwersytetu we Fryburgu w Bryzgowii. W 1983 r. wrócił do Moguncji, ale już jako biskup ordynariusz diecezji (przestał nim być w maju 2016 roku, po 33 latach sprawowania urzędu). Święcenia biskupie przyjął w 1983 r. W 1987 r. Konferencja Episkopatu Niemiec wybrała go na swojego przewodniczącego (sprawował tę funkcję do 2008 r.) Zostaje także wiceprzewodniczącym Rady Konferencji Episkopatów Europy. Uczestniczy w pracach Stolicy Apostolskiej jako członek Kongregacji Nauki Wiary i Kongregacji ds. Biskupów. W 2001 roku został przez papieża Jana Pawła II powołany do godności kardynała. Za imponujący dorobek naukowy i pisarski (dotąd ok. 1500 publikacji) został członkiem Akademii Nauk i Literatury oraz Europejskiej Akademii Nauk w Salzburgu. Był jednym z najpopularniejszych niemieckich duchownych, zwolennikiem ekumenizmu.

EWA MALINOWSKA

PROF. ANNA STARZEC (1948-2018)



Prof. Anna Starzec (fot. Tadeusz Parcej)

Z wielkim smutkiem i żalem informujemy, że 24 marca br. zmarła nasza Droga Koleżanka – Profesor Anna Starzec, wieloletni pracownik Katedry Języka Polskiego Instytutu Filologii Polskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej, obecnie Instytutu Polonistyki i Kulturoznawstwa Uniwersytetu Opolskiego.

Absolwentka polonistyki Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu (magisterium w 1971 r.). Doktorat uzyskała w 1981 r. na Wydziale Filologiczno-Historycznym WSP na podstawie rozprawy „Rozwój polskiej terminologii motoryzacyjnej (od początku do 1945 r.)”, habilitację w 1999 r. na podstawie monografii „Współczesna polszczyzna po-

pularnonaukowa”. Stanowisko profesora nadzwyczajnego Uniwersytetu Opolskiego zajmowała od 2006 r.

Lata 2002-2008 to czas pełnienia odpowiedzialnej, wykonywanej wzorowo, funkcji zastępcy dyrektora Instytutu Filologii Polskiej, łączonej w czasie od roku 2002 do 2005 z rolą kierownika Zakładu Stylistyki.

Zawsze interesowało Ją językoznawstwo, zwłaszcza stylistyka, teoria tekstu, pragmatyka, terminologia, kultura języka. Opublikowała 2 książki oraz bardzo wiele artykułów, ważnych zwłaszcza dla stylistyki. Podkreślić należy autorski wkład w prace zespołowe – spod Jej pióra wyszło między innymi opracowanie stylu nauko-

wego („Przewodnik po stylistyce polskiej”, pod red. S. Gajdy, Opole 1995) oraz stylu popularnonaukowego („Style współczesnej polszczyzny. Przewodnik po stylistyce polskiej”, pod red. E. Malinowskiej, J. Nocoń, U. Żydek-Bednarczuk, Kraków 2013). Uczestniczka i współorganizatorka wielu konferencji, twórcza i odważna dyskutantka podczas naszych zakładowych seminariów naukowych.

Profesor Anna Starzec należała do wielu towarzystw naukowych, m. in. była członkiem Polskiego Towarzystwa Językoznawczego (od 1975 r.), Komisji Językoznawstwa Oddz. PAN w Katowicach (od 1984 r.), Opolskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk (od 1983 r.) oraz Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego (1975–2000). Opolskie Koło TMJP zyskało w Niej świetnego organizatora odczytów naukowych, pełniła w nim kolejno funkcje sekretarza, skarbnika i prezesa.

Była cenionym i szanowanym, wymagającym dydaktykiem. Promieniowała w kontaktach z młodzieżą akademicką erudycją, sumiennością i kreatywnością. Zawsze życzliwa i wyrozumiała wypromowała, licznych magistrów filologii polskiej. Prowadziła również kursy przygotowawcze dla cudzoziemców przy Instytucie Matematyki, Fizyki i Chemii Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Opolu (1985–1991). Wyrazem troski o poziom i jakość kształcenia był wydany pod redakcją Profesor Anny Starzec w roku 2005 Pakiet informacyjny. Europejski system transferu punktów ECTS dla kierunku filologia polska. W uznaniu działalności naukowej i dydaktycznej przyznano Jej w 2001 r. Srebrny Krzyż Zasługi RP, a w 2005 r. Medal Komisji Edukacji Narodowej.

Prywatnie zapalona żeglarka. Była jachtowym sternikiem morskim, przez 17 lat pracowała z młodzieżą szkolną jako instruktorka żeglarstwa ZHP. W ostatnich latach bezgranicznie zakochana w swej jedynej wnuczce Agacie.

Heroicznie walczyła z chorobą i bólem, co nie wykluczyło Jej zainteresowania sprawami macierzystego Instytutu i uczelni, w której pracowała ponad 40 lat.

Zapamiętamy Cię, Aniu, jako osobę niezwykle rzetelną, obowiązkową, taktowną i życzliwą, mądrą i elegancką, dyskretną, pełną wewnętrznego ciepła. Trudno uwierzyć, że dwa tygodnie temu to była nasza ostatnia rozmowa, że już nie usłyszę: „Ewciu, a co w Instytucie?”

PAWEŁ MARCINKIEWICZ

31 PRZEWAG PAŹDZIERNIKA NAD CZERWCEM

Pamięci Ojca

1. Nareszcie można wrócić z Biedronki krokiem sprężystym niczym ze snu paraolimpijczyka
2. albo do niej pójść krokiem niepewnym jak filozoficzna konkluzja,
3. nie zwracając na siebie uwagi sąsiadów z bloku nr 5
4. ani równie sympatycznego chóru starców z bloku 5A.
5. Opadłe liście szeleszczą nieskończenie wdzięczniej niż świeża trawa fiu-bǫdziu.
6. Już za dwa miesiące Christmas: wow, będzie kutia i karp!
7. Z wierzchołka brzozy pozdrawia nas sroka,
8. ten słowik wczesnej jesieni,
8. a jej piosenka jest o niebo prostsza niż barok szpaków:
10. kra-krza, kra-krza – ile jeszcze chciałbyś żyć, prochu marny!?!
11. Październik przychodzi w sam raz: pierwszy szron ścina mrzonki o wiecznie zielonych wyspach.
12. Jakże jesteś dostoyny, o miesiącu różańca,
13. patronie bibliotek szkolnych
14. i walki z rakiem!
15. Pokręcony czerwiec jest tymczasem miesiącem LGBT,
16. ba, miesiącem uchodźców z bombami ukrytymi w tobołkach!
17. Niekiedy i na Świętego Medarda wiosna jeszcze przytwarda.
18. Jak się Janek kąpie w wodzie, żniwom deszcze na przeszkodzie.
19. Za to w październiku słońce wreszcie radośniejsze niż w rozmowie z Majakowskim.
20. Od Świętej Jadwigi z pola na wyścigi.
21. Na Świętego Franciszka odlatuje pliszka.
22. Umilkła wyskokowa ławka pod kubłem PCK,
23. a placu zabaw nawet nie widać,
24. bo stanął w niebiańskich płomieniach babiego lata.
25. Ale mimo wszystko, wychodząc z auta na parkingu przed działkami, człowiek się waha, bo jednak
26. Real czy Barcelona?
27. Zimowe ferie w St. Moritz czy letnie wakacje na Malediwach?
28. Lepiej jak pierwsza umiera matka czy ojciec?
29. Tymczasem hen daleko między altanami kołysz się łubin
30. i nad pooraną twarzą kogoś, kto drzemie na ławce, zapada wczesny zmierzch, zagarniając władczym gestem każdy kształt i odcień.
31. I tak jest dobrze...

„TAK WYGLĄDA OBÓZ AUSCHWITZ OGLĄDANY ZE SZKOLNEJ ŁAWKI”

– to tytuł rozmowy Krzysztofa Ogioldy z prof. dr. hab. Adamem Suchońskim, która ukazała się 12 lutego br. w „Nowej Trybunie Opolskiej”.

Oto fragmenty:

– *Zmieniona ustawa o IPN – wbrew intencjom jej pomysłodawców – zwróciła na Polskę oczy świata. Chce ona m.in. zapobiec używaniu terminu „polskie obozy koncentracyjne”. Czy takie zapisy pojawiają się gdzieś w podręcznikach?*

– Niestety tak. W Izraelu. I nigdzie więcej. Można jako przykład podać podręczniki autorstwa Nili Keren, w których można było znaleźć rozdziały zatytułowane: Polacy i Niemcy mordowali Żydów. Potem się z tego trochę wycofywała. Poprzestawała na zapisach, że Polacy przyglądali się biernie mordowaniu. A przecież obok krajów należących do Jugosławii Polska miała najsilniejszą partyzantkę. Ci partyzanci powinni – zdaniem Nili Keren – Żydów bronić. Sugestia polskiej współwiny za Zagładę jest w jej podręcznikach bardzo wyraźna. Już w XXI wieku w wydany w Wiedniu zbiorowym tomie „Holokaust i narodowy socjalizm”, omawiając swój podręcznik dla szkół średnich, który w Izraelu nadal obowiązuje, ta sama autorka pisze, iż w dwóch rozdziałach omawia fenomen obozów koncentracyjnych i obozów śmierci od 1933 do ich punktu szczytowego, i tu cytat: „masowego mordu dokonanego na Żydach w polskich obozach zagłady”.

– *Nie pojawia się słowo „Niemcy” ani „naziści”. Wyraźniej już nie można...*

– Takich akcentów było i pewnie jest w izraelskim nauczaniu historii więcej. Do szkolnego kanonu należy tam specjalny przedmiot – wiedza o Holokauście – w wymiarze 80 godzin. Na tych zajęciach uczeń na pewno zoba-

czy filmy „Shoah” i „Lista Schindlera”. Przed maturą każdy uczeń powinien pojechać do Auschwitz.

– *Miał pan kontakty z takimi uczniami?*

Tak, i to bardzo zróżnicowane. Przed laty ci uczniowie, jadąc do Polski, dostawali ulotkę (mam ją w swoich zbiorach) z napisem: „Jedziesz do kraju, którego mieszkańcy mają krew na rękach. Niemcy mordowali Żydów, a Polacy im w tym pomagali”. Sam się przekonałem wtedy – w Krakowie na Kazimierzu, i to kilka razy – że do takiej grupy izraelskiej młodzieży praktycznie nie dało się podejść. Pilnowała ochrona. Oni wtedy ograniczali się do zwiedzania krakowskiego Kazimierza i Muzeum Auschwitz-Birkenau. Interweniowałem u posła Szewacha Weissa, byłego ambasadora Izraela w Polsce. Efekt był taki, że spotkanie z polską młodzieżą stało się punktem obowiązkowym każdej wizyty. Ponieważ poseł podał organizatorom wyjazdu mój numer telefonu, sam sporo takich polskich grup organizowałem. Na marginesie, warto pamiętać, że aż do procesu Eichmanna temat Holocaustu był w Izraelu tabu. Obywatelskim modelem byli obrońcy Massady, którzy odebrali sobie życie w liczbie 960 i zostali znalezieni martwi przez rzymskiego wodza Flawiusza Silwę w 73. roku nowej ery. Osoby, które przeżyły Holocaust, nie mówiły o swoim doświadczeniu, często bojąc się pytać: Dlaczego przeżyłeś, skoro tyłu zginęło? Dopiero później narodził się w Izraelu inny model patriotyzmu: Walki o państwo.

– *Skoro w izraelskich podręcznikach tak pokazywano i jeszcze pokazuje się II wojnę światową, to może ustawa podpisana właśnie przez prezydenta RP jest potrzebna?*

– W niektórych sytuacjach jest potrzebna obrona dobrego imienia Polski, ale nowelizacja ustawy o IPN tego nie ułatwi. Po tamtej stronie brakuje zrozumienia dla naszej wrażliwości, ale po naszej stronie brakuje precyzji. A już podpisanie ustawy najpierw, a wysłanie jej do Trybunału Konstytucyjnego potem, jest – przy całym szacunku dla prezydenta – absurdalne. Niepotrzebny jest taki pośpiech. Skoro pojawił się konflikt, trzeba było spokojnie rozmawiać. Trzeba ustawę napisać tak, by nie było pola do interpretacji i by była pewność, że nikt nie będzie w badaniach naukowych ograniczony, ale też że Polska nie zamierza ani jednego szmalcownika bronić. I co najważniejsze, trzeba budować przekaz pozytywny. On też na Zachodzie jest. Czytam w artykule jednego z profesorów Oksfordu, że za ratowanie Żydów Niemcy zabili 60 tysięcy Polaków. Czy świat zna tę liczbę? Czy ona jest znana w Polsce? Nie jest. Zrozumiałe, że bronimy heroicznej strony swojej historii, ale i ze zła, które Polacy popełnili, musimy się rozliczyć. Bez tego nie ma historycznej prawdy.

– *Na ile potrafimy wysiłkami historyków bronić dobrego imienia?*

– Przede wszystkim nie chcemy tego robić. Przez głupotę. Materiały do nauczania historii są od lat przygotowywane przez departament edukacji Rady Europy i Polska od lat - nie tylko za rządów PiS-u, wcześniej też – odmawia udziału. Boimy się, że nas ocenzurują, że będziemy musieli przyjąć punkt widzenia tamtej strony itd. A to nieprawda. Moglibyśmy dostać w międzynarodowym podręczniku 60 stron do zagospodarowania po sobie. Nikt by nam nie kazał uważać Bismarcka za bohatera. Ale my się boimy wziąć udział. Jako jedyny Polak byłem w Oslo w 2000 roku na światowym kongresie pod hasłem: Jak pisać podręczniki i uczyć historii w świecie, który się globalizuje. Na wyjazd większej, 8-osobowej grupy polskich badaczy nie znalaziono pieniędzy. W sprawie obrazu Polski w podręcznikach izraelskich przed laty Ambasada Polski w Izraelu upomniała się o ekspertyzę tych podręczników. Powstała nawet dwustronna komisja – rozwiązana na wniosek strony izraelskiej. Być może do pomysłu ekspertyzy warto wrócić. Ale na razie o swoje dobre imię w kwestii podręczników nie walczymy. Nawet tam, gdzie trzeba.

– *Jakiś konkret?*

– Mam przed sobą niemiecki przekład jednej z książek francuskiego historyka Marca Ferro. Roboczo jej tytuł – tom nie ma jeszcze polskiego przekładu - można by przetłumaczyć tak: „Obrazy historii. Jak aranżowana jest przeszłość. Przykłady z całego świata”. Ferro pisze wprost, że w polskiej praktyce edukacyjnej antysemityzm jest stale obecny, a jego źródła tkwią zarówno w katolicyzmie, jak i w marksizmie.

– *Co konkretnie zarzuca nam Ferro?*

– Wiele rzeczy. Za antysemicki uznał m.in. „Kanał”, film Andrzeja Wajdy. Myląc zresztą powstanie w getcie z powstaniem warszawskim. Zarzuca nam także m.in., że świadomie i celowo w szkolnej praktyce rugujemy obecność i dokonania Żydów z polskich dziejów i uznaje to za przejaw antysemityzmu. Uważam, że to nie jest zarzut słuszny. Zresztą polskie podręczniki do nauki historii były przez lata konsekwentnie i surowo recenzowane przez Żydowski Instytut Historyczny. Znam te recenzje i zarzut antysemityzmu był podnoszony sporadycznie.

– *To może trzeba francuskiego autora po prostu przecześć?*

– Tylko że jego obraz polskiej szkoły idzie w świat, bo Ferro został przetłumaczony na 17 języków. Dzwoniła do mnie niedawno w tej sprawie koleżanka z Katedry Dydaktyki Historii Uniwersytetu Tokijskiego, pytając, dlaczego się nie bronimy. Jeszcze nie miałem tej książki w rękę, kiedy na międzynarodowych konferencjach od dydaktyków historii z całego świata słyszałem pytanie: „Dlaczego wy w Polsce po takich wojennych doświadczeniach uczycie w szkole nienawiści do Żydów?”. „My tak uczymy? Zglupiałeś” – odpowiadam. A oni mówią: „To przeczytaj sobie Ferro”. Co gorsza, ten francuski autor powołuje się na polskiego historyka Krzysztofa Pomiana, profesora Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu i członka Komitetu Doradczego Europejskiej Sieci Pamięć i Solidarność, który rozdział dotyczący edukacji historycznej w Polsce, jak czytamy we wstępie, podobno gruntownie przejrzał i skorygował. Jeśli tak było, to powinien krzyknąć wielkim głosem, że Ferro pokazuje jednostronny obraz naszego kraju. Tymczasem w Polsce nikt

przeciwko tej publikacji nie protestuje. Pokazywałem ją w różnych miejscach, z ministerstwem włącznie. I wszędzie słyszałem: To skandal! Tylko że za tym oburzeniem nie idą żadne konkretne reakcje. Ustawa jest tupnięciem nogą. A w tej sprawie nie wystarczy tupać. Trzeba pokazywać błędy i konsekwentnie domagać się prostowania.

– A jak wygląda obraz Auschwitz i innych obozów w podręcznikach w krajach zachodniej Europy?

– Odpowiedzialności za Holokaust nikt nam nie zarzuca, ale wiele sformułowań jest z polskiego punktu widzenia nie dość precyzyjnych. W wielu angielskich podręcznikach czytamy o obozie Auschwitz w Polsce. Geograficznie jest to oczywiście prawda. Ale politycznie aż się prosi, by jednak zauważyć, że były to ziemie zajęte przez III Rzeszę. Podobny efekt mają sformułowania typu „obóz Auschwitz niedaleko Krakowa”. Takie zwroty też wymagają komentarza. Wreszcie bardzo ważna jest towarzysząca podręcznikowym treściom ikonografia. W wielu podręcznikach publikuje się nie zdjęcia z epoki, ale współczesne obrazy z Muzeum Auschwitz-Birkenau, na których pojawiają się napisy po polsku. Utrwała to skojarzenie obozu z Polską i to uważam za autentyczny problem (...).

– Na polski projekt ustawy bardzo krytycznie zareagowały Stany Zjednoczone. Oficjalnie zaprotestował Departament Stanu USA. Ciekawe, jak o Zagładzie piszą podręczniki amerykańskie.

– To może być zaskakujące, ale Amerykanie z jednej strony bezkompromisowo przedstawiają niemiecką odpowiedzialność za Zagładę, a z drugiej – pokazują ten czas bardzo krytycznie wobec siebie samych.

– Jakiś przykład?

– Proszę bardzo: w podręczniku wydanym w Nowym Jorku w 2010 roku czytamy: „Po zajęciu Polski hitlerowskie służby specjalne tworzyły na terenie tego kraju centra eksterminacji Żydów. Największym z nich był obóz zagłady Auschwitz. Żadne inne problemy związane z II wojną światową nie prowokowały tak otwarcie pytań o dobro i zło w człowieku, jak właśnie Holokaust. A Stany Zjednoczone powinny zrobić znacznie więcej, by ocalić przynajmniej część z sześciu milionów Żydów wymordowanych przez Niemców”.

– Amerykanie są przykładem, że czasem należy wziąć uczciwie winę na siebie?

– Tak, i są w tym bardzo konsekwentni. W innym podręczniku z tego kraju znajdziemy wręcz rozdział: „Tak wydawaliśmy Żydów”. Mowa o tych Żydach z Niemiec, którzy – znając już ustawy norymberskie – usiłovali, gdy jeszcze było to możliwe, opuścić III Rzeszę i dostać się do USA. Stamtąd ich deportowano. Można wręcz zobaczyć – chętnie to zdjęcie pokazuje się też w podręcznikach niemieckich – jak pod eskortą policji Żydzi są prowadzeni do portu. Dzieje się tak, choć w rękach mają tabliczki z błagalną prośbą: „Ludzie ratujcie! My trafimy do obozu”. Jaki będzie ich los, nie ma wątpliwości, bo w głębi zdjęcia widać statek z napisem z nazwą „Bremen” wypisaną na burcie. Jeden z niemieckich badaczy przytoczył w tym kontekście tłumaczenia amerykańskiej administracji o skutkach wielkiego kryzysu i destabilizacji amerykańskiej gospodarki. Nie ukrywał też informacji o tym, że ówczesny sekretarz stanu USA miał żydowskie korzenie. Mimo to współczucia i zrozumienia zabrakło.

– A jak pokazuje się Holokaust w podręcznikach niemieckich?

– Niemcy robią wszystko, by tę tematykę jak najbardziej do świadomości uczniów zbliżyć. Na pewno nie uciekają od odpowiedzialności za swoje czyny. Praktycznie we wszystkich podręcznikach znajdziemy uczciwe przyznanie się: To jest nasza wina. Ich podręczniki świetnie pokazują historyczne korzenie antysemityzmu, poczynając od średniowiecza. Jako jedyne w Europie pokazują też proces stopniowego – chciałoby się powiedzieć – oswajania ludzi z Holokaustem. Bo przecież nie od razu zabijano. Najpierw zakazywano wstępu do parków czy do tramwaju. To był test. Skoro społeczeństwo nie staje w obronie Żydów, można się posunąć o krok dalej.

– Co piszą o Polsce?

– W wielu podręcznikach przeczytamy, że obozy zagłady – łącznie z tym największym – usytuowano na zajętych ziemiach polskich, bo tam mieszkało bardzo wielu Żydów. Chodziło także o zapewnienie siły roboczej usytuowanym na tych terenach niemieckim zakładom przemysłowym. O jakimkolwiek polskim udziale w Zagładzie – choćby pośrednim – w niemieckich podręcznikach nie znajdziemy ani słowa. Podręczniki niemieckie

pod jednym względem górują także nad polskimi. Nie są pisane, jakby miał je czytać dorosły. O nazizmie i Holokaucie mówi się w szkole od pierwszej klasy. Ale uczeń sześciolatek dowie się raczej, że jego żydowski rówieśnik po roku 1933 nie mógł mieć w domu swojego zwierzęcia. Kiedy uczeń jest starszy, w każdym prawie podręczniku historii znajdzie teksty źródłowe, przede wszystkim wspomnienia świadków, zwłaszcza Żydów niemieckich czy austriackich, którzy przeżyli. Tę wiedzę się dozuje, by całą prawdę o Zagładzie przekazać wtedy, kiedy uczeń jest na nią gotowy.

INDEKSOWA GALERIA SZTUKI

OPOLE >>> LWÓW /// LWÓW >>> OPOLE

Na przedsięwzięcie *Poza ramę* złożyły się dwie międzynarodowe wystawy, w których udział wzięli studenci Wydziału Sztuki Uniwersytetu Opolskiego oraz studenci Katedry Designu Narodowego Leśno-Technicznego Uniwersytetu Ukrainy we Lwowie. Pierwsza wystawa odbyła się w Opolu, w Filharmonii Opolskiej im. Józefa Elsnera. Druga – we Lwowie, w Galerii Zefiryra. Pomysłodawczyniami tej akcji artystycznej były studentki Wydziału Sztuki UO – Olha Koval i Anastasiia Shevchuk, które przyjechały do Opolu ze Lwowa i tutaj kontynuują naukę na studiach magisterskich (*Poza ramę* to integralna część ich prac dyplomowych, których obrony odbędą się w lipcu br.). Celem wystaw było skonfrontowanie postaw artystycznych, zaprezentowanie odmiennych wizji twórczych, promocja sztuki studenckiej, ale także szeroko rozumiane SPOTKANIE. Wystawy w Opolu, jak i we Lwowie, były bowiem pretekstem do spotkań studentów i wykładowców z obu uczelni, a więc spotkań ludzi, kultur i myśli.

Zaproponowany przez Olhę Koval i Anastasię Shevchuk tytuł *Poza ramę* był dla studentów biorących udział w wystawach punktem wyjścia do pracy w różnych dyscyplinach artystycznych (malarstwo, rysunek, grafika, ilustracja), zachętą do tego, aby spojrzeć dalej, inaczej, wyjść poza bezpieczny, znany obszar. Albo też spojrzeć na to, co doskonale znane – na nowo, inaczej.

Podczas wystaw zostały zaprezentowane prace 30 autorów, czyli kilkadziesiąt odmiennych wizji, postaw, technik i technologii. Była to wymiana doświadczeń studentów reprezentujących różne kraje, miasta i szkoły artystyczne.

(mh)



Wernisaż wystawy we Lwowie w Galerii Zefiryra (fot. Grzegorz Gajos)



Wernisaż wystawy w opolskiej filharmonii. Na dole: Olha Koval i Anastasiia Shevchuk tuż przed wernisażem. (fot. Grzegorz Gajos)

GRZEGORZ HEBDA

JAJKO NIESPODZIANKA



Jaja pokrzywnicy

Ptasie jajo. Koniec i początek.

Koniec, bo wieńczy spektakularny, corocznie powtarzający się okres ptasich toków, bogaty w zalotne pieśni, stroje, tańce, podrygi, zakończone miłosnym uniesieniem. Początek, bo to zaczyn nowego życia, tak w ptasiej, jak i ludzkiej symbolice, o czym doskonale nam przypominają święta Wielkiej Nocy.

Ptasie jajo to majstersztyk niekończącego się teatru ewolucji Natury. Twarda skorupa zabezpieczała embrion przed wysychaniem i uszkodzeniem, umożliwiając – ok. 360 milionów lat temu! – przodkom lądowych kręgowców porzucenie środowiska wodnego i ekspansję w środowisku lądowym. Ten twardy pancerz wyposażony jest w mikroskopijne pory umożliwiające wymianę gazową i kontakt, także akustyczny, piskląt z wysiadującym jaja ptakiem. Wiele przystosowań możemy dostrzec tak-

że w kształcie i kolorach ptasich jaj. Wydaje nam się, że wszystkie jaja są... jajowate? I w dodatku jednokolorowe: białe lub kremowe, jak znane nam jajo kurze czy kacze? Nic bardziej błędnego. Jaja mogą być różnych kształtów, owalne: jak u wróbla, kuliste: np. sów, elipsoidalne: lelka, gruszkowate, a nawet stożkowate, jak jaja czajki.

Oczywiście wielkość i obły kształt jaja wynika z ograniczeń anatomicznych jajowodu i kloaki samicy, ale jego modyfikacje są już wypadkową dwóch czynników: miejsca gniazdowania, zapewniającego bezpieczeństwo lęgu i efektywności ogrzewania jaj przez wysiadującego ptaka. Jaja tych ptaków, które mają gniazda na skalnych urwiskach, klifach, są wypukłe i stożkowate, co ma zapobiec ich stoczeniu w przepaść czy zniwelować jego skutki, bo jajo o takim kształcie turla się gorzej i po minimalnym okręgu.

Jaja równobiegunowe, kuliste, jak np. sów i ptaków drapieżnych, mają z kolei identycznie silną skorupę w każdym miejscu, są więc odporne na przypadkowe uszkodzenia w gnieździe, o co nietrudno, bo są to masywne ptaki. Taki kształt jaja ma też najkorzystniejsze proporcje powierzchni w stosunku do objętości, wymaga zatem produkcji najmniejszej ilości budulca – wapiennej skorupki. Z ledwie rok temu opublikowanej w czasopiśmie „Science” syntezy wynika, że kształt jaja jest także silnie skorelowany ze zdolnością do lotu. I że ten kształt ewoluował niezależnie u różnych linii ewolucyjnych, wykazujących się podobną zdolnością do lotu.

Jeszcze większą zmienność obserwujemy w ubarwieniu jaj. Prócz barwy podstawowej skorupka może być upstrzona różnego kształtu plamkami, żyłkami, kropkami. Bogactwo zdobień jest tym bardziej zaskakujące, gdy uzmysłowimy sobie, że za tę paletę kolorów odpowiedzialne są tylko dwa barwniki: oocyjan i protoporfiryna. Pierwszy odpowiedzialny jest za barwę strukturalną jaja, nadając skorupce odcienie niebieskości i zieloności, natomiast dzięki aktywności protoporfiryny, barwnika rdzawoczerwonego, jajko upstrzone jest kubistycznymi wręcz wzorami.

Kolorystyka i ornamenty jaj nie są przejawem wrażliwości estetycznej ptaków, ale efektem milionów lat działalności doboru naturalnego, procesu, w którym także jaja podlegały selekcji. Gatunki, które mają niewiele naturalnych wrogów (np. ptaki drapieżne) lub te, gniazdujące w niedostępnym ukryciu (np. w dziuplach i norach, jak dzięcioły i zimorodki), składają jaja czysto białe, kremowe – bo produkcja takiego barwnika jest dla samicy najtańsza energetycznie. Ptaki budujące gniazda otwarte muszą więcej zainwestować w maskujące kolory i wzory, by strzec zawartości gniazda przed drapieżnikiem bądź pasożytem lęgowym, jakim jest w Europie kukułka.

Barwa jaj może także pochodzić, a w zasadzie przechodzić, z roślinności, na której leżą – tak się dzieje u perkozów, u których skorupka jaja nasiąka barwnikiem z rozkładających się w gnieździe roślin. Są to barwy ochronne, co czyni jaja bardziej kryptycznymi wobec bystrego wzroku patrolującego wody powietrznego drapieżnika, jak błotniak stawowy.

Ten cenny produkt ptasiej miłości jest rozważnie dystrybuowany, w zdecydowanej większości przypadków – w jednodniowych odstępach, o świcie. Bardzo rzadko ptaki robią dwu- lub trzydniowe przerwy w składaniu



Jaja drozda



Jaja potrzeszca



Jaja słonki



Jaja zięby

jaj, czynią to jedynie gatunki o dużych rozmiarach ciała. Oczywiście liczba składanych jaj jest bardzo zmienna, są więc ptaki mające niewielkie lęgi – znoszą zaledwie 1-2 jaja (np. bieliki czy gołębie), inne mają lęgi wyjątkowo obfite, jak np. kaczki (14 jaj) czy kuropatwy (nawet do 22 jaj). Wiele ptaków składa stałą liczbę jaj, np. jedno jajo – alki czy sępy, dwa jaja składają żurawie i gołębie, a cztery – ptaki siewkowe, jak czajki i bataliony. Większość ptaków jednak składa zmienną liczbę jaj, w ograniczonym oczywiście zakresie. Regułą jest, że wśród gatunków blisko ze sobą spokrewnionych, ptaki o mniejszych rozmiarach ciała składają większą liczbę jaj niż te duże. Dzieciątek na przykład składa przeciętnie 7-8 jaj, podczas gdy dzieciąt dużych 5-6 jaj; krogulec 5-7 jaj, a jastrząb 3-4 jaja.

Większość z nas na widok jaja strusia wydaje okrzyk zachwytu: „ale wielkie jajo!”. Pozory mylą. To fakt, z punktu widzenia człowieka, który jajo nie składa i dostrzega jedynie fizyczną wielkość jaja, strusie jajo jest ogromne. Z punktu widzenia ptasiej samicy składającej jaja – wygląda to zgoła odmiennie. Struś afrykański, ważący około 100 kg, składa bowiem jajo ważące 2-3 kg, a więc raptem

ok. 2-3 proc. masy ciała samicy, podczas gdy np. malutki, żyjący w Polsce strzyżyk, ważący niespełna 9,5 g, składa nawet 9 jaj, a każde waży ok. 1,3 g, co stanowi 13,7 proc. wagi samicy! U naszego orła bielika waga dwóch, bo tyle najczęściej składa, jaj stanowi łącznie 3 proc. masy samicy, a waga 10 jaj raniuszka – 110 proc. masy ciała samicy. Bilans nakładów energetycznych i wysiłku reprodukcyjnego, jaki ponosi samica, pozwalają zatem spojrzeć trochę inaczej na ogromne jajo strusia, prawda? Wielkocenne jaja trafiają do pięknie przyozdobionego koszyczka, by cieszyły nasze oczy i złościły zazdrosnego efektem naszej pracy sąsiada. W naturze jest odwrotnie, jaja składane są do gniazda, które ptaki, szczególnie te mniejsze, za wszelką cenę chcą ukryć przed okiem ciekawskich.

Ale ptasie gniazda to materiał na inną, znacznie obszerniejszą opowieść.

Zdjęcia: autor

BARTŁOMIEJ KOZERA

O SZKOLNEJ EDUKACJI

To, jaki jest nasz system szkolny – każdy widzi, więc szkoda czasu na powtarzanie znanych rzeczy. Mnie interesuje coś innego, mianowicie fundament filozoficzny tego systemu. Odpowiedź na pytanie: na jakiej koncepcji filozoficznej został on zbudowany? Jakie idee człowieka zawiera? Będę pisać w punktach, by się nie pogubić.

Polskie dzieci rodzą się – wedle naszego systemu edukacyjnego – z umysłami czystymi. Rację mają więc te koncepcje, które głoszą empiryzm genetyczny – wszelka wiedza pochodzi z doświadczenia. Konsekwencją tej przesłanki jest rocznikowy układ uczniów w szkole. Wiedza się kumuluje, przez co jest podobna w podobnych umysłach. Stąd podział na klasy wedle roku urodzenia ma sens.

Empiryzmowi genetycznemu towarzyszy sceptycyzm metodologiczny. Oto możliwości intelektualne uczniów także są nabyte. Stąd wszyscy, ucząc się tego samego, rozwijają się jednakowo. Nasuwa się wprost porównanie z taśmą produkcyjną. Na tę szkolną taśmę wchodzi kolejni uczniowie jako rocznik i poddawani są jednolitej obróbce przez kolejne lata. Nauczyciele mają programy, wedle których napełniają uczniów wiedzą, mają jednolitą skalę oceny efektów i wypuszczają absolwentopodobne jednostki. Nauczyciele uczą geografii lub matematyki. Wyciągają swoje geograficzne czy matematyczne ręce i mówią: musicie przeskoczyć tę wysokość. I nie jest ważne, jak ktoś geograficznie czy matematycznie skacze, to nie ma znaczenia, ma doskoczyć do zadanej wysokości. Tak bowiem jak na taśmie każdy produkt ma być podobny do każdego innego produktu, tak uczniowie mają wynieść ze szkoły podobną wiedzę, wyglądać intelektualnie podobnie.

Ten empiryzm genetyczny jest jednak geograficznie zabarwiony. Chodzi mi o to, że polskie dzieci – wedle twórców rodzimej szkoły – dojrzewają później niż angielskie czy fińskie. Nawet obliczono tę różnicę – waha się ona od roku do dwóch. Ten rodzaj empiryzmu ociera się o determinizm geograficzny – w naszych warunkach dzieci muszą wchodzić w wiek szkolny z opóźnieniem.

Na kolejnym miejscu postawiłbym egalitaryzm polskiej szkoły. Nauczyciele uczą matematyki czy języka polskiego. Tymczasem na Zachodzie uczy się uczniów. Nie widzą w związku z tym nasi pedagodzy różnicy między Jasiem a Frankiem, natomiast widzą różnicę między drugą a trzecią klasą. To bardzo demokratyczne założenie. Dzieci są równe, ba, ich możliwości intelektualne traktuje się jako identyczne.

Szukam filozoficznych podstaw naszego systemu oświaty. Pytam: jakie założenia, dotyczące człowieka, ten system przyjął. I ciągle wdeptuję w empiryzm. Empiryzm kojarzy mi się z pesymistyczną koncepcją człowieka. Przekonanie, że tyle wiem, ile doświadczyłem, brzmi smutnie. Taka w konsekwencji jest nasza szkoła – smutna. Mózg wykorzystywany jest tutaj jedynie jako magazyn, przechowalnia podawanych informacji, definicji.

Ostatnio rząd manipulował coś przy szkolnej taśmie produkcyjnej – wydłużył jedną, zlikwidował inne, ale ilościami się nie zajmuję. Filozofia jest wiedzą o jakościach.



„Monidło”, rys. Mateusz Domeradzki

KRZYWY ZGRYZ

AGNIESZKA KANIA

ONIEGIN Z MAŁPIARNI

„W Wielkiej Polsce [...] znajdują się samородne z ziemni garki” – pisał w „Nowych Atenach” ksiądz Benedykt Chmielowski. Jeśli więc ktoś wymarzy sobie miskę lub dzbanek, nie musi ciuć, odmawiać sobie placzków drożdżowych ani droczyć się z przekupką na targu – wyliczać rysy, pęknięcia, szczyrby i dotąd wybrzydzać, kręcić nosem i psioczyć, aż straganiarka obniży cenę o grosik. Wystarczy wykopać dziurę w ziemi (najlepiej wybrać jakiś pagórek przy szlaku), pogrzebać, przesiał piach przez palce (nie zaszkośli przy tym odmówić kilka zdrowasiek), by natknąć się na amforę – „natura ludens z sobownej (ją) poformowała materyji”.

Czyżby w 1746 roku wierzone, że przyroda, znudzona powtarzaniem pór roku, wzięła się za lepienie skorup z gliny? Chyba tak, skoro dwadzieścia lat później pan Dunczewski wydał kalendarz z opowieścią o pewnej wsi na Śląsku, gdzie „jest góra nie bardzo przykra, z której garki jakoby robione, y insze naczynia gliniane, z natury samej uformowane wykopują, te potem wysuszone, dla używania domowego ludziom służą”. Jeszcze na początku XIX wieku ukazało się wznowienie „Historyi...” Remigiusza Ładowskiego z wpisem: „garki ziemne są dziełem natury”!

Według Andrzeja Abramowicza pierwsze wzmianki o tych osobliwościach pochodzą od Jana Długosza;

w „Annales” zanotował on, jak „rodzą się w łonie ziemni garki same z siebie, wyłącznie sztuką przyrody, bez jakiegokolwiek dopomagania ludzkiego”. W lipcu 1416 roku sam Władysław Jagiełło wybrał się do Nochowa, by zbadać tamtejsze wykopaliska i zrozumieć ich naturę. Długo przyglądał się skorupom, ważył w rękach, oglądał pod słońce, lecz nie rozpoznał w nich urn. A przecież widział niejedną palący się stos, bo Litwa przyjęła chrzest dopiero w 1387 roku, do tego czasu, ba, nawet dłużej, w Wielkim Księstwie praktykowano ciepłopalne ceremonie pogrzebowe. Ale Jagiełło pamiętał o Krzyżakach; oni tylko czekali na potknięcie, knuli, spiskowali i szeptali o fałszywej wierze króla. Wolał więc milczeć, niż wystąpić jako znawca pogańskich obyczajów.

Trzysta długich lat opowiadano o dziwacznych garnkach znad Wisły. W samym tylko XVI wieku pisali o nich Kromer, Kentmann i Gasner (przyrodnik jako jeden z pierwszych zwrócił uwagę, że obok *ollae native* występują również *urnae fictiles*). W 1512 roku Maciej z Miechowa nazwał je *ollaenaturales*, Sebastian Münster w „Cosmographii” (1544) odręcznie naszkicował samородne naczynia (co prawda dwa wieki później uczony Gottfrid Hecht nazwał go *imbecilli historicus*). W 1562 roku Johann Mathesius dopatrywał się w nich dzieła Boga. Opowiadał, że kiedy Stwórca posadził już paprocie i baobaby, skrócił nogi żółwiom i odchudził patyczaki, kiedy ulepił Adama i wyrzeźbił Ewę, założył fartuszek (z jabłkiem, taki sam miała Magda Gessler w „Kuchennych rewolucjach”) i zabrał się za gary.

Pod koniec szesnastego stulecia „ziemnymi garnkami” zajęli się też medycy. Leonhart Thurbeisser zum Thurn robił z nich lekarstwa przeciwko różnym bólowcom, a Anselmus Boetius de Boot miazdżył na proszek, mieszał z winem i sprzedawał jako środek zapobiegający ciąży. Aż wreszcie w 1582 roku doktor Jan Franke z Kamieńca Ząbkowickiego zszedł na ziemię i zapytał: czy puchary „są wytworem przenikającego ziemni ducha natury, czy też przypadkowo powstały. Być jednak może, że w dawnych czasach w miejscach tych chowano zmarłych, ale to jest chyba bajka”.

KSIĘŻNICZKA Z OGONEM

Między bajki można też włożyć opowieść o Tarzanie. Przygody chłopca wychowanego w dżungli ukazywały się w miesięczniku „All-Story” od 1912 roku. W 2006 roku

wypłowiwały numer, w którym opublikowano pierwszy rozdział „Tarzana wśród małp”, sprzedano na aukcji w Dallas za 59 750 dolarów. Nieźle, jeśli wziąć pod uwagę, że gazeta kosztowała tylko 15 centów, a autor, Edgar Rice Burroughs, za napisanie odcinkowej noweli dostał 700 dolarów. Co zresztą, na tamte czasy, było całkiem przyzwoitą gażą. Szczególnie dla początkującego literata, który sam o sobie mówił: „Jeżeli ktoś płaci ludziom za pisanie takiego gówna, jak to, które przeczytałem w niektórych magazynach, to i ja mogę takie coś pisać”.

Najpierw postawił na Marsjan. O dziwo, redaktor Thomas Newell Metcalf zgodził się ogłosić kosmiczną opowieść. Ale postawił warunki: pseudonim Normal Bean, czyli Zwykła Fasola (czyżby Jaś Fasola pożyczyl przydomek od Amerykanina?), podmienił na Norman Bean. Przerobił też tytuł – księżniczkę zastąpił księżycem (pisarz amator, dla 10 dolarów dziennie, zgodziłby się na wszystko: doczepić ogon bohaterce, dokleić wąsy albo naznaczyć zajęczą wargę – miał przecież na utrzymaniu żonę i dzieci). I tak w lutym 1912 roku kapitan John Carter wyruszył na Marsa, a już w październiku tego samego roku Edgar Rice Burroughs wymyślił Tarzana.

Naprawdę nazywał się John Clayton II wicehrabia Greystoke. Osierconego uratowała Kala – z gatunku mangani, nieznanego dotąd zoologom. Jej małpiątko dopiero co zginęło, zdaje się w paszczy leoparda. Zrozpaczona wałęsała się po dżungli, dokarmiała pisklętą, podrzucała przysmaki żrebackom, gdy usłyszała płacz noworodka. Zakradła się do chaty na drzewie, zobaczyła oseska w kołysce i przytuliła do piersi, jakby był jej własnym dzieckiem.

Tarzan – wymamrotała, co w jej języku znaczy „Biała Skóra”. Niełatwo było nakłonić przywódcę, aby przegarnął malca do stada. – Taki niezgrabny i mazgajowaty, będą z nim tylko kłopoty – burczał Kerchak. Ale co zrobić, gdy małpa się uprze?

Chłopiec dał się lubić. Nie miał smoczków, klocków, bujanych koników ani grzechotek, łaskotał więc lemury, droczył się z krokodylami i przedrzeźniał hipopotamy. Wspiął się na akacje, huśtał się na lianach i szukał podwodnych jaskiń. Umiał udobruchać pytony, przekupić szakale i ujarzmić dzikie rumaki. Wiedział, jak podejść żmije rogate, rozpracować kameleony i rozumiał klangor żurawi. W genetycznym spadku po lordach i hrabinach Greystoke otrzymał bystry umysł, poczucie humoru i ciekawość świata. Wymykał się więc małpim braciom i ślęczał nad książkami zostawionymi przez rodziców.



„Najdalszy zakątek”, technika własna, Mateusz Domeradski, 2015

A potem spotkał Jane Porter. I zadurzył się. Oblędnie. Zapraszał ją na szaszłyki z szarańczy, uszył boleterko ze strusich piór, może nawet wydukał: I love you. Sonetami Szekspira raczej nie zaskoczył. A jednak profesorska córka odwzajemniła uczucie dzikusa.

WYNOSZĘ SIĘ DO GUCWIŃSKICH

Gambi nie miał tyle szczęścia. Kiedy po dłuższej przerwie potrzebnej na remont wybiegu wrócił do opolskiego zoo, ujrzął Bilbę (boską, z białym wianuszkiem wokół ust). I zakochał się. Wzdychał, pohukiwał, wisiął na jednej ręce, wykręcał piruety z zamkniętymi oczami albo kładł się do góry brzuchem i sunął plecami po ziemi z jednego końca klatki na drugi. Lecz gdyby nawet upiekł tort w kształcie banana i przystroił go lukrowanymi małpizonami, gdyby upichcił zapiekankę z kokosa według przepisu babuni

albo ułożył Shreka z pestek pomarańczy, żoźła pewnie i tak by na niego nie spojrzęła. Za to Tekla nie spuszczała wzroku z amanta. Skubiąc włosy na udach, coś tam mruzczała po swojemu. Chyba: „robisz z siebie idiotę” albo: „zabieram dzieciaka i wynoszę się do Gucwińskich”. Pewnego dnia poniosło ją i spuściła zalotnikowi manto. Wytrząsała po głowie, spoliczkowała i odesłała do kąta.

Tymczasem Bilbę odwiedził Pongo. I wcale nie zwaśniował. Poruszał się dostojnie jak głądysz, donżuan czy Eugeniusz Bodo w „Urodzie życia”. Przecież nie będzie głąbowatym gorylem, co nauczył się jedynie używać wody po goleniu Brutal. Żadnych umizgów, mizdrzenia się czy wygłupów. Od niechcienia rzucił powłóczyście spojrzenie, potrząsał czupryną, wreszcie wyśpiewał arię oparty o pień lipy, gestykulując i robiąc miny jak inny Eugeniusz – Oniegin (w którego wcielił się Mariusz Kwiecień) w operze wiedeńskiej. Podziałało, gibbonica pokochała. A później, małpa jedna, oddawała się igraszkom miłosnym na oczach nieszczęśliwego Gambiego.

BLISKI KOSMATY

Dość ryzykownie zaliczył Chmielowski garnki (te samoderodne) do naszych bogactw naturalnych. Ale co do małpy wcale się nie pomylił. Więcej, wyprzedził swój czas, ogłaszając w „Nowych Atenach”: „Koczkodan, po Łacinie *Simius samiec*, *simia samica*, albo też *Cercopithecus*, zwierz kosmaty, głową i twarzą coś pochodzi na człeka”.

Przeszło sto lat później w 1871 roku Karol Darwin przekonywał: „jest nieco bardziej prawdopodobne, że nasi wcześni przodkowie żyli na kontynencie afrykańskim, a nie gdzie indziej, ponieważ to właśnie tam znajdziemy goryla i szympansa... najbliższych krewnych człowieka”. Aż pięćdziesiąt lat zajęło znalezienie dowodów na poparcie tych ewolucyjnych powiązań. Następnym dwadzieścia – na ich uznanie. To przenosi nas już do połowy dwudziestego wieku. A wystarczyło zaufać słowom księdza dziekana rohatyńskiego, który już w 1746 roku ogłosił: „Małpy, Ludzkich akcji animatorki”.

(Fragment publikacji *ILUSTRAGAN 3*, przygotowywanej przy udziale studentów, absolwentów i pracowników Wydziału Sztuki UO).

ANDRZEJ HAMADA

WIELKA HISTORIA MAŁEGO SKLEPIKU



Sklep kolonialny Carla Wenera (1914 r.)

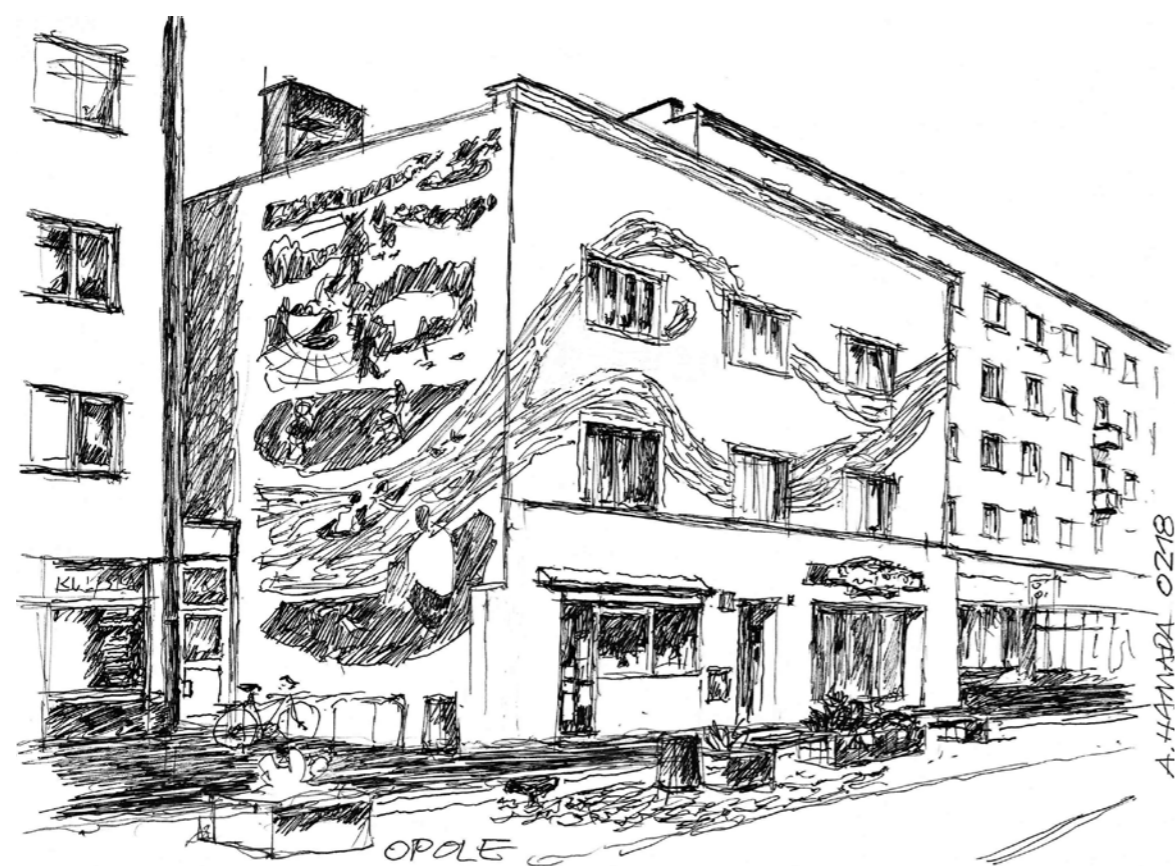
Pierwsze lata po wojnie. Miasto jeszcze zrujnowane, ulica Krakowska, od dworca do Rynku, martwa, morze ruin. I tu, pośród tych ruin, niewielki odbudowany dom, a w nim, na parterze, malutki sklepik kolonialny, z owocami i warzywami. Tu się chodziło – „do Bejmowej”, bo tu zawsze było, co trzeba.

A czasy były trudne, siemiężne, brakowało wszystkiego. Żeby cokolwiek kupić, trzeba było się nachodzić i nastać. A „u Bejmowej” kupowało się bez kolejki, jak przed wojną. Tu wszystko było jak przed wojną: malutkie wnętrza pełne towaru, regały, gabloty, nastrój i sympatyczna obsługa (dwie „panie Bejmowe”), nawet drzwi skrzypiały, jak przed wojną. A towar... Najlepsze w Opolu jabłka: kosztele i koks, grochówki i sztetyny, ze dwadzieścia od-

mian. Delicje i frykasy: bakalie, rodzynki, orzechy i migdały, prawdziwa kawa i herbata, pieprz i wanilia – pieprz ziarnisty, a wanilia w laskach. Ja to wszystko pamiętam, bo często tam kupowałem.

Ten niewielki, zaledwie dwupiętrowy budynek przetrwał pożogę wojenną w nie najgorszym stanie: góra zniszczona, ale parter się zachował. I właśnie na parterze już w 1946 roku powstały dwa sklepy: piekarniczy i rzeźniczy.

Budynek odbudował Seweryn Dycfeld, mistrz piekarniczy, który uruchomił na zapleczu piekarnię, a górę wynajął lokatorom. Tu zamieszkał z rodziną m.in. przybyły spod Częstochowy Kazimierz Bejm, mistrz rzeźniczo-wędliniarski. Na zapleczu budynku urządził pracownię



Sklep przy ul. Krakowskiej 32 (rys. Andrzej Hamada)

masarską, a od frontu sklep. Niedługo funkcjonował, bo nadeszły trudne lata dla prywatnego rzeźnictwa: upaństwowienie i uspołecznienie, także handlu. Po jakichś dwu latach zlikwidował cały interes, po czym otworzył sklep owocowo-warzywny i cukierniczy, sklep kolonialny, który cieszył się tak wielką renomą, i w którym rządzili „panie Bejmowe”.

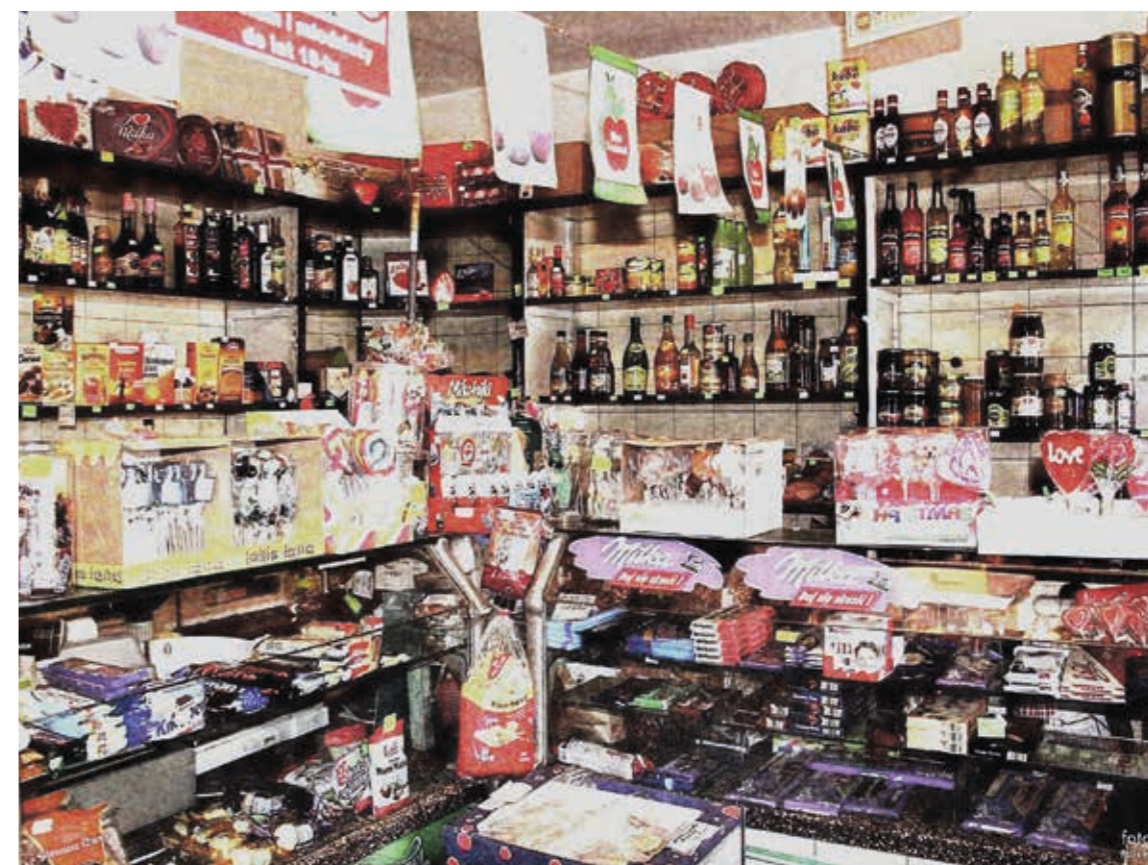
Przychodziło tu na zakupy całe Opole, przybywali przyjezdni z kraju i z zagranicy, zwłaszcza byli mieszkańcy Opola zamieszkali teraz w NRD, gdzie takich frykasów też brakowało.

Po latach sklep przejęła córka pani Bejmowej – Krystyna Przybecka, która do dziś¹ prowadzi go wraz z mężem. Za ladą najczęściej obsługuje pan Antoni Przybecki, współwłaściciel sklepu, niegdyś znakomity sportowiec,

piłkarz ręczny, zawodnik drużyn Gwardii Opole, Śląska Wrocław i Hutnika Kraków, a także reprezentacji Polski. Sławny człowiek w sławnym sklepie.

Tu wszystko jest specyficznie wyjątkowe, i sklepik, i otoczenie. Lokalizacja przy najważniejszej, najruchliwszej ulicy miasta, ulicy Krakowskiej, od połowy XIX wieku głównym trakcie od dworca kolejowego do Rynku. Po usunięciu stąd ruchu kołowego – najważniejszym w Opolu ciągu pieszym. W bezpośrednim sąsiedztwie ważne instytucje: Delikatesy, a naprzeciwko Dom Nauczyciela, dom handlowy Ziemowit, były Urząd Powiatowy i hotel Opole (dziś Mercury).

Mały budynek przy ulicy Krakowskiej nr 32 jest najstarszy na tej ulicy, pochodzi z drugiej połowy XIX wieku. Już wtedy miał wokół zacnych sąsiadów: gmach Sądu



Doskonały towar, przedwojenna atmosfera...

Powiatowego (dzisiaj Delikatesy), atelier Maxa Glauera, a naprzeciwko – wytwórnię cygar Engela, gmach Urzędu Powiatowego oraz trzy hotele: Form, Dom Niemiecki i Krug.

Budynek był jednopiętrowy. Ale już wtedy, tak jak dziś, mieścił się tu, na parterze, duży sklep kolonialny Carla Wenera (Carl Werner Colonialwaren – Delikatesen), który oferował, tak jak dziś, delikatesy: kawę, herbatę, kakao, czekoladę, wina, likiery i przeróżne słodkości, a także cygara i cygaretki.

A więc tradycja miejsca: od zawsze delikatesy. Ten mały sklepik, w małym domu, i te wielkie w sąsiednim, wielkim budynku.

W tym roku zaplanowano kolejną upiększającą rewalizację ulicy Krakowskiej. Uporządkowanie prze-

strzenie wymaga cofnięcia linii zabudowy, co oznacza zburzenie zawalidrogi, czyli starego budynku nr 32.

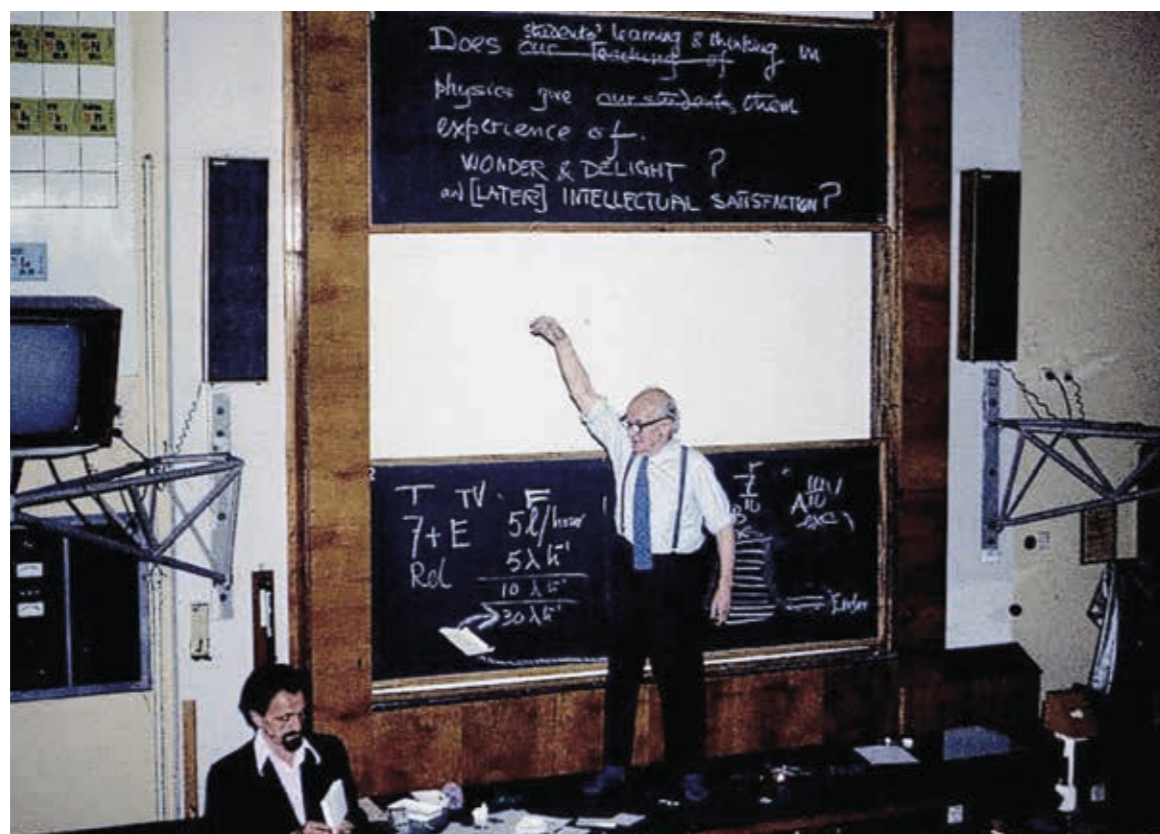
Mały, stary dom z małym, starym sklepem kolonialnym przechodzi więc do historii. Ale pamięć wśród mieszkańców i sentyment do sklepiku z dwoma paniami Bejmowymi za ladą pozostanie.

PS Dziękuję państwu Krystynie i Antoniemu Przybeckim za informacje i wspomnienia.

FIZYKA DLA LAIKA

WOJCIECH DINDORF

PROFESOR ROGERS, GŁĘBOKA STUDZIENKA I OŚMIOMETROWA LUFKA KARABINOWA



Prof. Eric Rogers (na stole, aby wszyscy mogli widzieć) w trakcie wykładu w Opolu pokazuje, jak papierowa tacka niemal od razu po upuszczeniu osiąga prędkość krytyczną. Na zdjęciu z lewej – Wojciech Dindorf w roli tłumacza (fot. Tomasz Dindorf)

Profesor Eric Rogers, wieloletni sąsiad Alberta Einsteina w Princeton (USA), podczas wykładu w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu, w roku 1979, mówił do ponadkompletu słuchaczy m.in. o tym, jak trudno jest w sposób zrozumiały przekazywać innym podstawową wiedzę o przyrodzie. Jako przykład wybrał jedno z często spotykanych w podręcznikach i źle interpretowanych zadań z fizyki.

Dotyczyło ono szacowania głębokości studni (lustra wody) na podstawie zmierzonego czasu, jaki upłynie od

chwili upuszczenia do studni kamienia – do momentu usłyszenia plusku wody. Mając ten czas oraz znając wartość przyspieszenia grawitacyjnego $9,8 \text{ m/s}^2$, policzenie głębokości studni wydaje się – na pozór – łatwe, bo mamy w podręczniku wzór wiążący czas ruchu z przyspieszeniem i przebytą drogą. Tyle, że ten wzór dotyczy ruchu... w **próżni (!)**, gdzie przyspieszenie byłoby takie samo dla kropli deszczu, jak i dla płatka śniegu!

Załóżmy, że mierząc czas spadania kamienia, uczeń ustalił, że trwało to dwie sekundy, zastosował odpowied-

ni wzór, uwzględniający wartość przyspieszenia grawitacyjnego (co z tego, że w próżni, autor zadania takimi drobiazgami się nie przejmuje), wyliczył więc, że studnia była głębokości 20 metrów. Tak wyszło na papierze. W rzeczywistości przez te dwie sekundy kamień przebiegał się przez powietrze, a im głębiej był, tym szybciej się poruszał, zatem to przebijanie się było trudniejsze. W rzeczywistości lustro wody musiało być więc kilka metrów wyżej, niżby to wynikało z obliczeń. Ich precyzję można by porównać do precyzji pomiaru wysokości dwudziestometrowej kamienicy – z dokładnością do trzech pięt.

W jednym z rodzimych, jak dotąd niewykluczonych z użytku szkolnego podręczników, uczeń ma policzyć długość (L) lufy karabinu, mając dane: prędkość wylotową pocisku (v) i czas (t) przebiegu pocisku przez lufę. Wynik, przy założeniu, że przyspieszenie pocisku w lufie było stałe, stąd $L = \frac{1}{2} vt$, dawał wartość długości lufy $L = 8$ metrów. Autorowi wyraźnie brakło wyobraźni.

Zwierzał mi się kiedyś egzaminator międzynarodowej matury, że jakiś maturzysta z Australii posługując się danymi, które musiał umieć sobie uprzednio wyliczyć, otrzymał wynik, zgodnie z którym odległość Słońca od najbliższej gwiazdy wynosi... 100 000 kilometrów. Rezultat swojej pracy umysłowej maturzysta umieścił w ramce (aby oceniający nie przeoczył), nie wyrażając jednak zdziwienia, że jak na odległość międzygwiazdową to trochę za mało. Może nie zauważył, że na niebie mamy tylko jedno Słońce. Po rozwiązaniu zadania warto zawsze pomyśleć, co z otrzymanego wyniku wynika!

Wróćmy do naszej studni.

Przyspieszenie grawitacyjne w pobliżu Ziemi podaje się zwykle w zaokrągleniu jako 10 m na sekundę. To oznacza, że spadający **w próżni** przedmiot, po sekundzie lotu zmieni prędkość od 0 m/s do 10 m/s (36 km/h). Po dwóch sekundach będzie to już 20 m/s (72 km/h), po trzech sekundach – 30 m/s (108 km/h, jak ośmiocyndrowy samochód Formuły 1) itd. W próżni (abstrakcja!) wszystkie przedmioty, spadając z tej samej półki: lekkie piórko, zasuszonego kwiatka płatek, alabastrowy słoń i co by tam nie było, równocześnie stukną o podłogę. To aż śmiesznie wygląda, kiedy w laboratorium, w długiej rurze opróżnionej z powietrza piórko, moneta i skrawek papieru łomoczą w dno jednocześnie. Tymczasem wszystko, co porusza się w powietrzu, jest hamowane oporem powietrza, a siła tego oporu drastycznie zwiększa się z prędkością – z kwadratem prę-

kości. Gdy zwiększy się prędkość, np. czterokrotnie, to opór ośrodka (powietrza, wody) staje się 16 razy większy. Stąd każdemu spadającemu obiektowi można przypisać tzw. prędkość graniczną – maksymalną prędkość, jaką w danych warunkach może, spadając, obiekt osiągnąć. Tak więc kamień wielkości włoskiego orzecha spadając z dużej wysokości, ze stale malejącym przyspieszeniem, osiąga po około 4 sekundach prędkość graniczną w przybliżeniu 80 km/h (20 m/s). Ta prędkość zależy od wielkości powierzchni „nacierającej”, od kształtu i gładkości przedmiotu (aerodynamiki), od jego ciężaru, wreszcie od temperatury, wilgotności i gęstości powietrza. Spadochroniarz akrobata spada bez otwierania spadochronu z prędkością 180–200 km/h. Jak otworzy spadochron – jego prędkość graniczna maleje do 15–20 km/h.

Wniosek: zadanie ze studnią w podanej wersji jest nie do rozwiązania. Zamiast dokonywać karkołomnych obliczeń, uprościć, przewidywać, lepiej kamień na sznurku uwiązać, spuścić do studzienki i zobaczyć, ile sznurka zmokło. Wtedy metrem krawieckim zmierzyć odległość do lustra wody i głębokość wody w studni. Krótko, bezpiecznie i wystarczająco dokładnie.

WŁODZIMIERZ KACZOROWSKI

POGRZEB Z POMPA

Zginęła z trzaskiem pamiętka ich



Ciało króla Zygmunta III Wazy na katafalku. Na głowie monarchy korona moskiewska, obok na wezglowiu – korona szwedzka (Christian Melich, 1633. Zamek Królewski na Wawelu)

Pompa funebris pary królewskiej – Konstancji i Zygmunta III Wazy odbyła się w Krakowie 4 lutego 1633 r. Tego dnia, we wczesnych godzinach rannych, marszałkowie nadworni Stanisław Przyjemski i Krzysztof Wiesiołowski przybyli do pałacu Montelupich na Kleparzu, rozpoczynając przygotowania do pogrzebu. Około godziny 7.00 uformowany przez marszałków kondukt pogrzebowy ruszył spod pałacu Montelupich w kierunku katedry wawelskiej. Na czele kroczyli uczniowie szkół krakowskich i grupa przedstawicieli niższych warstw – wszyscy

w kapach żałobnych, z płonącymi świecami w rękach. Dalej szło 62 przedstawicieli cechów miejskich i bractw – ci nieśli mary nakryte złotogłowiem, aksamitem lub sukmem. Za nimi, po obu stronach konduktu, kroczyli parami zakonnicy różnych reguł: kapucyni, bernardyni, franciszkanie, dominikanie, cystersi, augustyni oraz księża świeccy. Następnie szli akademicy krakowscy: 25 bakałarzy, 23 profesorów, na końcu rektor Jakub Najmanowicz, poprzedzany przez dwóch pedlów niosących berła. Miejsce za kapelą królewską zajęła kapituła krakowska

reprezentowana przez 10 kanoników. Między kapitułą krakowską a duchownymi prawosławnymi jechało konno 33 chorążych wojewódzkich i powiatowych w kirydach (zbrojach), z jedwabnymi chorągwiami żałobnymi, z herbem danego województwa czy powiatu. Za nimi – chorążych wielki litewski Mikołaj Sapieha; a w zastępstwie Jana Kochanowskiego, chorążego wielkiego koronnego – Krzysztof Koniecpolski, starosta stryjski. Chorągiew „dworską” niósł Wojciech Wessel, starosta różański, a chorągiew królestwa szwedzkiego – Henryk Guldenstern. Pięciu kolejnych chorążych niosło chorągwie: pruską, inflancką, kurlandzką, wołoską i pomorską. Za nimi kroczyło 6 władców unickich z metropolitą kijowskim Józefem Welaminem Rudzkim. Jakub Sobieski, krajczy koronny, autor diariusza sejmiku koronacyjnego 1633 r. zwrócił baczną uwagę na ich „kosztowne szaty czarne, aksamitne, złotem haftowane, i w mitry jako zwyczaj władcom ruskim każe chodzić, perłami, i kamieniami drogimi sadzone”. Za unitami szli sufragani: gnieźnieński – Andrzej Gembicki, krakowski – Tomasz Oborski, a dalej 8 senatorów duchownych, między innymi Jan Wężyk, arcybiskup gnieźnieński. Tuż za episkopatem niesiono puste mary, które poprzedzały archimimusa – aktora w stroju rycerskim, wyobrażającego postać zmarłego władcy. Zgodnie z relacją Jakuba Sobieskiego „w kiryście, po usarsku, ze znakiem i herbem na proporcu królewskim, ku ziemi obróconem, pan Bojanowski, pachole śp. króla JMci, jechał”. Obok niego posuwał się giermek z tarczą i proporcem zwróconym grottem do ziemi, ozdobionym herbami Litwy, Korony, Szwecji, Gotlandii oraz dynastii Wazów.

Zgodnie ze zwyczajem znanym z poprzednich pogrzebów, ministrowie i urzędnicy nieśli oznaki swej godności, przykryte na znak żałoby czarnym jedwabiem. Podskarbi wielki koronny Jan Mikołaj Daniłowicz trzymał klucze, a kanclerze: koronny – Jakub Zadzik, litewski – Albrycht Stanisław Radziwiłł i podkanclerzowie: koronny – Tomasz Zamoyski, litewski – Paweł Sapieha – nieśli pieczęcie. Za nimi kroczyli trzej marszałkowie: wielki koronny – Łukasz Opaliński, nadworny koronny – Stanisław Przyjemski, nadworny litewski – Krzysztof Wiesiołowski, z łaskami opuszczonymi ku ziemi. W podobny sposób

Jan Zebrzydowski, miecznik koronny, trzymał obnażony miecz.

Następnie na poduszkach ze złotogłowia niesiono insygnia władzy Zygmunta III – polskie i szwedzkie. Koronę polską niósł Stanisław Koniecpolski, wojewoda sandomierski i hetman wielki koronny, koronę szwedzką – Hieronim Radomicki, wojewoda inowrocławski, berło polskie – Albrecht Władysław Radziwiłł, kasztelan trocki, berło szwedzkie – Stanisław Lubomirski, wojewoda ruski, jabłko polskie – Stanisław Radziejowski, wojewoda łęczycki, jabłko szwedzkie – Stanisław Warszycki, wojewoda mazowiecki. Bezpośrednio za senatorami Zygmunt Kazanowski, podkomorzy koronny, niósł Order Złotego Runa. Tuż za nimi jechał wóz z trumną Zygmunta III, pokrytą czerwonym aksamitem, z przechodzącym przez jej środek szerokim białym krzyżem. Boki pokrycia obszyte były z obu stron wielkimi herbami królewskimi, haftowanymi złotem. Wóz ciągnęło osiem koni, przybranych w czarne, sięgające ziemi, aksamitne kapy. Powoziło dwóch woźniców, również w kapach z czarnego aksamitu. Wokół wozów szli dworzanie z zapalonymi świecami. Całun nieśli m.in. Jerzy Ossoliński, podskarbi wielki koronny, Mikołaj Wiesiołowski, podczasy litewski, Jakub Sobieski, krajczy koronny, Adam Kazanowski, podstoli koronny, pisarze litewscy: Kazimierz Lew Sapieha i Krzysztof Gosiewski.

Podobnie przedstawiała się grupa osób towarzyszących trumnie królowej Konstancji. Na czele konduktu szedł ochmistrz dworu zmarłej, referendarz koronny i kasztelan sieradzki Maksymilian Przerembski, niosąc łaskę marszałkowską, odwróconą ku ziemi. Dalej niesiono klejnoty koronne królowej: koronę niósł Jakub Szczawiński, wojewoda brzeski kujawski, berło – Mikołaj Kiszka, wojewoda mścisławski, jabłko – Aleksander Ludwik Radziwiłł, wojewoda brzeski litewski. Wokół wozu z trumną królowej szli dworzanie ze świecami. Całun nieśli m.in.: Zygmunt Radziwiłł, kawaler maltański i Mikołaj Kostka, starosta malborski, krajczy królowej.

Za obu trumnami szła rodzina zmarłych. Król elekt Władysław prowadzony był z prawej strony przez Honorata Viscontiego, nuncjusza papieskiego, z lewej przez Adama Schwarzenberga, posła elektora brandenburskiego Jerzego Wilhelma. Za rodziną królewską w konduktie szli pozostali senatorowie, wielu posłów przybyłych do Krakowa na sejm koronacyjny, dworzanie oraz żony senatorów i fraucymer królowej Anny, przybrany w białe szaty. W dalszej części konduktu – przedstawiciele rady

¹ J. Sobieski, „Diariusz sejmiku koronacyjnego w Krakowie w 1633 roku”, oprac. W. Kaczorowski, współudział J. Dorobisz, Z. Szerzbik, Opole 2008, s. 53.

² Ibidem.



Widok Wawelu od północnego zachodu – panorama Krakowa M. Meriana, 1619 r.

miasta Krakowa, mieszczenie krakowscy, kazimierscy i kleparscy, a za nimi podążały tłumy ludzi ze świecami (łącznie na pogrzeb przygotowano 4879 świec mniejszych i 4896 świec lanych).

Po obu stronach konduktu znajdowały się gwardie królewskie (około 400 żołnierzy) z halabardami, trzymające broń – zgodnie ze zwyczajem – zwróconą ku ziemi. Odgradzały one zgromadzonych na trasie ludzi od posu-

wającego się konduktu. Nad porządkiem pochówku czuwał Adam Kryski, starosta ejszyski, „który z laską chodził i ludzie cisnące się odganiał”³.

Orszak żałobny postępował przy dźwięku dzwonów wszystkich kościołów krakowskich, które biły do mo-

³ Ibidem, s. 54.

mentu wprowadzenia ciał do katedry. Trasa konduktu wiodła od Kleparza – przez Barbakan, Bramę Floriańską, ulicą obok kościoła Mariackiego do Rynku, dalej ulicami Grodzką, Senacką i Kanoniczą – ku wzgórzu wawelskiemu, gdzie kondukt dotarł przy salwach dział zamkowych i biciu dzwonów. Jeden z uczestników podobnych uroczystości pogrzebowych – po śmierci Władysława IV w 1649 r., odnotował, że orszak pogrzebowy tego władcy nie był tak okazały, jak w czasie uroczystości zorganizowanych Zygmuntovi III Wazie w 1633 r.

Marszałkowie wraz ze specjalnie powołaną służbą porządkową starali się nie dopuścić do wnętrza katedry nikogo, poza osobami objętymi protokołem – ten przewidywał np., że do katedry mogą wejść biskupi i opaci, wykluczał natomiast obecność zakonników. Chorążowie zatrzymali się przed kościołem św. Michała, pozostając na koniach aż do zakończenia uroczystości pogrzebowych. Pomimo zamknięcia bramy zamkowej i strzeżonych drzwi kościelnych, wiele osób nieuprawnionych znalazło się we wnętrzu kościoła św. Stanisława.

Wnętrze kościoła udekorowano według projektu naddwornego architekta Giovanniego Battisty Gisleniego. Ściany i ławki wyłożono czarną tkaniną oraz barokowymi zdobieniami. Marek Radoszewski, kasztelan wieloński, napisał: „Lamp i świec rzecz niezliczona, że w kościele było widzieć jako i słońca chociaż był kościół wszystkich i okna obite czarnym sukniem, że tylko jedno okno nieobite zostawiono u wielkiego ołtarza dla mszy świętej”. Przed konfesją św. Stanisława ustawiono wystawny katafalk – castrum doloris, który Jakub Sobieski, krajczy koronny, opisał tak: „Katafalk był czarny, wysoki, w środku kościoła zbudowany, do którego wschody były o czterech filarach. Na samym wierzchu orzeł biały wisił nad katafalkiem, w którym kilkaset lamp po skrzydłach i w piersiach gorzało. Także i po wszystkim katafalku samym, od wierzchu aż do samego dołu, świece gęsto barzo gorejące były, białe jarzące; około wschodów katafalkowych z obu stron kilka dwadzieścia świec wielkich białych woskowych w lichtarzach czarnych drewnianych, po brzegach złocistych, zaświecono. Także dworzani kilkadziesiąt stało z zapalonymi świecami”.

Osoby towarzyszące zmarłym zajęły miejsca po bokach castrum doloris, Władysław – po prawej stronie wielkiego ołtarza, a obok niego: Jan Kazimierz, Aleksander Karol i Anna. Za nimi stali kanclerze: Jakub Zadzik, koronny i Albrycht Stanisław Radziwiłł, litewski oraz wojewodowie, nieco dalej zebrał się fraucymer królewny

i dworzanie, a po przeciwnej stronie – Honorat Visconti, nuncjusz papieski oraz posłowie cudzoziemscy. Przed głównym ołtarzem siedzieli biskupi oraz władcy unicy. Prymas Jan Wężyk przystąpił do celebrowania mszy żałobnej, uświetnionej śpiewem i grą królewskich wokalistów i muzyków: „Muzyka na cztery rozsadzona chóry treny żałobne cichym koncertem grała”.

Po odprawieniu mszy żałobnej biskup płocki Stanisław Lubieński wygłosił kazanie pogrzebowe. Zrobił to – jak zauważył uczestnik uroczystości pogrzebowych Albrycht Stanisław Radziwiłł – „zręcznie i krótko”⁴. W swoim kazaniu Stanisław Lubieński m.in. podkreślił, że Zygmuntovi III, pierwszy z Wazów na tronie polskim, pochodził od Jagiellonów. Ów mit o jagiellońskim pochodzeniu powtarzano przez cały okres panowania Wazów, już przed elekcją Zygmunta III, co miało na celu pozyskanie sympatii szlachty.

Wybór Zygmunta III na tron polski Stanisław Lubieński uznał za wydarzenie nadzwyczajne, będące zamyśłem bożym w stosunku do Rzeczypospolitej. Stawiając polskiego monarchę na pierwszym miejscu wśród katolickich władców ówczesnej Europy, podkreślił wielką pobożność zmarłego króla, a także inne cnoty: sprawiedliwość, umiarkowanie, łagodność, wielkoduszność, szczodrość i rozważę.

Dalszy wywód biskupa dotyczył zmarłych żon króla – Anny i Konstancji: „Obie żony twoje odznaczały się nie tylko splendorem cesarskiej krwi, lecz blaskiem cnót królewskich, tak wielka w obu powaga obyczajów, taki majestat oblicza, że wydawało się, iż pod postacią ludzką kryło się coś boskiego; ta czystość, którą możemy nazwać nauczycielką niewinności i drogocenną ozdobą kobiecej godności, stała się przykładem dla wszystkich innych. Konstancja [...] jako towarzyszką nie tylko życia, ale i śmierci, z tobą w tym samym grobie spoczywa”.

Swoje kazanie Stanisław Lubieński zakończył słowami skierowanymi do potomstwa Zygmunta III, a szczególnie do następcy tronu Władysława: „W was żyje król Zygmuntovi III, żyje jego pobożność, sprawiedliwość, roztropność i niezwyciężona moc jego ducha. Wy dlatego, za sprawą którego zostaliście powołani do życia, waszymi heroicznymi czynami pozyskacie wiecznie trwałą nieśmiertelność, którą on zgotował sobie również po swojej śmierci”.

⁴ A. S. Radziwiłł, „Pamiętnik o dziejach w Polsce 1632–1636”, t. 1, przeł. i oprac. A. Przyboś i R. Żelewski, Warszawa 1980, s. 278.

Po wygłoszonej mowie żałobnej prymas Jan Wężyk i pozostali biskupi udali się z procesją do katafalku, kontynuując obrzędy pogrzebowe i odprawiając egzekwie. Z trumien zdjęto insygnia władzy królewskiej i przeniesiono je do głównego ołtarza, co miało symbolizować powrót ziemskiej władzy monarchy do Boga, od którego, w świetle ówczesnej doktryny politycznej, brała ona początek.

Następnie do kościoła wjechał archimimus z towarzyszącym mu giermkim, krusząc kopię, której grot król elekt podał Stanisławowi Koniecpolskiemu, hetmanowi wielkiemu koronnemu. Zgodnie z ceremonią giermek rzucił na ziemię tarczę, hełm i złamał drzewce proporca z herbami Zygmunta III. Ceremonia ta, jak odnotował Jakub Sobieski, „barzo ludzi do płaczu pobudziła i samego króla JMci (Władysława – W. K.)”. Równocześnie był to znak dla ministrów do usuwania oznak godności, jakie otrzymali od Zygmunta III. I tak kanclerze i podkanclerzowie rozbijali o posadzkę gipsowe pieczęci, podskarbi wielki koronny wyrzucił klucze, marszałkowie złamali swe laski, a miecznik koronny „miecz goły na ziemi porzucił”. Symbolizowało to rozpacz po stracie króla, było też symbolem rozpoczęcia nowych rządów.

Dworzanie zdjęli trumny z castrum doloris i – poprzędzani przez senatorów niosących insygnia królewskie – „nieśli je do grobu, do kaplicy króla Zygmunta I (Zygmunto-wskiej – W. K.), z kościoła tyłem do cmentarza, bo tam była szyja grobu otworzona. Cynowe trumny tam leżały w grobie. A król JM sam z królewiczami IM za końce sznury trzymali. Która także ceremonia siła ludzi commovit (pobudziła) do płaczu”.

Po spuszczeniu trumien do grobu uczestnicy uroczystości pogrzebowych wrócili do katedry, gdzie na znak Władysława Wazy wokaliści królewscy zaintonowali starą, maryjną pieśń „Salve Regina”, towarzyszącą wszystkim pogrzebom. Jeden ze świadków odnotował, że w tym momencie król elekt Władysław Waza, jako jedyny członek rodziny, rozplakał się.

Uroczystości pogrzebowe zakończyły się o godzinie czwartej po południu. Król elekt z najbliższymi oraz senatorami udał się na zamek. Rozjechali się też chorążowie, pozostający dotąd na placu przed katedrą.

Pogrzeb pary królewskiej miał niezwykle uroczystą oprawę. Trudno dociec, dlaczego w swoim raporcie z Krakowa, z 24 marca 1633 r., do ministra w Londynie, Franciszek Gordon, agent króla angielskiego Karola I, uznał te uroczystości, jak i akt koronacji Władysława

IV, za zbyt mało wystawne. Inny naoczny świadek tych wydarzeń, kanclerz wielki litewski Albrycht Stanisław Radziwiłł, podsumował je następująco: „Smutny obraz pogrzebu mieliśmy już tego dnia za sobą; byli jednak tacy, którzy drwili z tej uroczystości, przytaczając słowa psalmu: «Zginęła z trzaskiem pamiątka ich». Bez wątplenia wrzawa przebrzmiała, ale pamięć o najpobożniejszym królu i najlepszej królowej nie zginęła, pozostanie w Kościele katolickim, pozostanie w sercach tych, na których spłynęły największe dobrodziejstwa, pozostanie u wszystkich tych, którzy albo wielbili cnoty króla i królowej, albo pragnęli, by wybrany król naśladował ich pobożność, skromność i łaskawość”.

3

INDEKS

RELACJE, RECENZJE, NOTY

III

str. 135



Prof. Elżbieta Trela-Mazur

DANUTA KISIELEWICZ, ALEKSANDRA TRZCIELIŃSKA-POLUS

JUBILEUSZ PROF. ELŻBIETY TRELI-MAZUR

W listopadzie 2017 r., na seminarium metodologicznym z zakresu nauk o polityce, zorganizowanym w Jarnołtówku przez Instytut Politologii UO, uhonorowaliśmy profesora Elżbietę Trelę-Mazur, długoletniego pracownika naszego Instytutu – historyka i internacjologa, specjalizującego się w problematyce historii politycznej współczesnego świata, funkcjonowania systemów totalitarnych, bezpieczeństwa międzynarodowego oraz dziejów polskiej diaspory w Europie i świecie.

Prof. Elżbieta Trela-Mazur pracuje w Instytucie Politologii od 2004 r., ale z opolską uczelnią związana jest od 1973 r., kiedy została zatrudniona na stanowisku asystenta w Instytucie Historii Wyższej Szkoły Pedagogicznej. To już 45 lat pracy naukowo-dydaktycznej i organizacyjnej naszej koleżanki, która z końcem 2017 r. przeszła na zasłużoną emeryturę. Nie oznacza to, że nie pracuje dalej, wręcz przeciwnie – pracuje intensywnie, chociaż w niepełnym wymiarze godzin. Prowadzi zajęcia, bierze udział w większości instytutowych przedsięwzięć naukowych i dydaktycznych, przygotowuje doktorantów do obrony

ich dysertacji, uczestniczy w ważnych uroczystościach, jakie odbywają się na uczelni.

Jubilatka urodziła się 14 kwietnia 1947 r. w Rybniku, tam ukończyła szkołę podstawową oraz I Liceum Ogólnokształcące im. Hanki Sawickiej. W 1970 r. – studia w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu. Pracę magisterską z historii pt. „Kodeks praw Jana Zamojskiego” pisała pod kierunkiem prof. Leszka Winowskiego. W latach 1973–1989 pracowała w Instytucie Historii opolskiej WSP. W 1979 r. uzyskała stopień doktora nauk humanistycznych w zakresie historii na podstawie pracy pt. „Edukacja wśród polskich dzieci w ZSRR w latach 1941–1946”, (publikacja: Warszawa, 1983). W latach 1990–2004 podjęła pracę w Akademii Świętokrzyskiej w Kielcach, a w latach 1998–2003 także w Brukseli.

Spośród 35 absolwentów historii opolskiej WSP, którą kończyła Elżbieta Trela-Mazur, siedmioro podjęło pracę na Kielecczyźnie, z czego troje w Kielcach. Jej bliska koleżanka Jadwiga Babicka (po mężu Muszyńska) rozpoczęła pracę w Wyższej Szkole Nauczycielskiej, która

dała początek dzisiejszemu Uniwersytetowi im. Jana Kochanowskiego w Kielcach. Tam pracował także, od 1970 r., dr Leonard Owczarek (zmarł w 2013 r.), wcześniej zatrudniony jako adiunkt w Instytucie Historii opolskiej WSP, opiekun roku, na którym studiowała historię Elżbieta Trela-Mazur. Historycy pracujący w Akademii Świętokrzyskiej w Kielcach byli zapewne dużym wsparciem dla swojej koleżanki z czasów studenckich. Właśnie w Akademii Świętokrzyskiej bohaterka niniejszego szkicu przygotowywała swoją pracę awansową pt. „Sowietyzacja oświaty w Małopolsce Wschodniej pod radziecką okupacją 1939–1941” (Kielce 1998), która stała się podstawą przeprowadzonego w 1999 r. kolokwium habilitacyjnego na Uniwersytecie Opolskim.

Podstawą źródłową pracy habilitacyjnej były materiały źródłowe, które pozyskała z archiwum w Leningradzie, dokąd odbyła podróż w 1981 r., oraz z archiwum we Lwowie (w 1996 r.). Autorka książki „Sowietyzacja oświaty...” była w opinii recenzentów pierwszą spośród historyków, która w sposób kompetentny i obiektywny omówiła całościowo problematykę oświaty w Małopolsce Wschodniej pod panowaniem radzieckim w latach 1939–1941. Ukazała w niej m.in. formy represji, jakie stosowano wobec dzieci i młodzieży oraz sposoby przeciwstawiania się laicyzacji.

W latach 1998–2003, nie przerywając pracy w Akademii Świętokrzyskiej, prowadziła działalność badawczą także w Brukseli. Zmiany miejsca pobytu i pracy prof. Elżbiety Trela-Mazur (z Opola do Kielc, a następnie do Brukseli) wynikały z relokacji jej męża, Edwarda Mazura, oficera Wojska Polskiego. Od lipca 1998 r. do lipca 2003 r. towarzyszyła mężowi w jego pracy w Polskim Przedstawicielstwie Wojskowym przy Kwaterze Głównej Sojuszników Sił Zbrojnych NATO w Europie (SHAPE). Podczas tych pięciu lat prof. Elżbieta Trela-Mazur prowadziła szeroko zakrojoną działalność na rzecz promocji Polski przed i po wejściu do struktur Organizacji Traktatu Północnoatlantyckiego oraz włączyła się w działalność społeczno-kulturalną w funkcjonujących na terenie SHAPE szkołach (kanadyjskiej i amerykańskiej), a także tamtejszego Centrum Językowego, gdzie prowadziła trzy kursy języka polskiego. Pisała również artykuły do miejscowej gazety „SHAPE Community Life”, m.in. na temat Konstytucji 3 maja oraz polskich zabytków. Nawiązała wówczas kontakty z belgijską Polonią i uczestniczyła aktywnie w licznych uroczystościach oraz imprezach rocznicowych i okolicznościowych przez nią organizowanych. W 2001 r.

współorganizowała Międzynarodowe Sympozjum Biografistyki Polonijnej pt. „Polscy żołnierze w armiach świata”, w którym wzięło udział ponad 100 uczestników z Europy i Ameryki.

Pracując w Instytucie Politologii UO, prof. Elżbieta Trela-Mazur prowadziła zajęcia z historii powszechnej Europy XX wieku, najnowszej historii politycznej świata, problemów bezpieczeństwa światowego, prowadziła seminaria magisterskie i doktorskie. Od 2004 r. kierowała Zakładem Badań Wschodnich. Obecnie jest pracownikiem Katedry Stosunków Międzynarodowych – Pracowni Badań Wschodnich i Pracowni Polityki Bezpieczeństwa. Przez dwie kadencje była członkiem Rady Wydziału Historyczno-Pedagogicznego (od 2017 r. Wydziału Nauk Społecznych). Była (i jest nadal) członkiem Rady Naukowej Instytutu Politologii.

Zainteresowania naukowe prof. Elżbiety Trela-Mazur koncentrowały się wokół problematyki obywateli polskich zamieszkujących wschodnie obszary II Rzeczypospolitej oraz tragicznych losów Polaków w czasie II wojny światowej pod okupacją radziecką i niemiecką. Wspecjalizowała się także w dziejach Europy Środkowo-Wschodniej – sowietyzacji tych państw w okresie powojennym oraz procesu transformacji ustrojowej po 1989 r.

Prowadziła również prace badawcze, dotyczące problemów bezpieczeństwa współczesnego świata. Efektem tych badań była konferencja naukowa, przeprowadzona w dniach 10–11 kwietnia 2008 r. w Instytucie Politologii UO, rozpoczynająca centralne obchody 60. rocznicy powołania przez ONZ pierwszej misji pokojowej oraz 55. rocznicy udziału Polski w misjach pokojowych tej organizacji. W tej niezwykle ważnej konferencji wzięli udział ludzie nauki oraz wyżsi rangą oficerowie – uczestnicy misji pokojowych, na czele z generałem dr. Mieczysławem Bieńkiem – polskim przedstawicielem wojskowym przy Komitecie Wojskowym NATO, Honorowym Obywatelem Gminy Strzelce Opolskie. Gościem honorowym konferencji był także prezydent Lech Wałęsa. Konferencji towarzyszyła wystawa pt. „Polacy w misjach pokojowych ONZ”, przygotowana przez Zarząd Główny Stowarzyszenia Misji Pokojowych ONZ oraz prezentacja książek o tematyce bezpieczeństwa i współpracy wojskowej, przygotowana przez Międzyinstytutową Bibliotekę Politologii, Filozofii i Socjologii UO. Pokłosiem tej konferencji jest obszerna monografia, zatytułowana „Problemy bezpieczeństwa współczesnego świata” pod red. Elżbiety



Otwarcie wystawy „Polacy w misjach pokojowych”. Na zdjęciu, od lewej: st. chor. Paweł Łyga, pplk Stanisław Hładki, prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, gen. dr Stanisław Woźniak, prof. Elżbieta Trela-Mazur, plk Edward Mazur, mł. chor. Grzegorz Łyga (fot. Grzegorz Haber)

Trela-Mazur (Opole 2009), w której przedstawione zostały zadania podejmowane przez Wojsko Polskie dla zapewnienia bezpieczeństwa międzynarodowego w ramach misji pokojowych ONZ.

Prof. Elżbieta Trela-Mazur jest autorką 150 prac naukowych i popularnonaukowych, w tym trzech książek autorskich i trzech przez nią redagowanych. Żywo reaguje na nowości wydawnicze, jakie pojawiają się na rynku czytelnicy. Sporządziła i opublikowała w czasopiśmie naukowych kilkanaście recenzji książek z zakresu interesującej ją problematyki. Często zamieszcza omówienia i recenzje książek w uniwersyteckim czasopiśmie „Indeks”. Opracowała kilkanaście artykułów o losach polskiej społeczności, która z powodu zawirowań politycznych – po II wojnie światowej, a także po upadku systemu komunistycznego znalazła się na zachodzie Europy. Jest m.in. redaktorem monografii o polskiej inteligencji, która z Kresów Wschodnich – Polesia, Podola i Wołynia – po II wojnie światowej, w wyniku utraty tych obszarów, znalazła się na tzw. Ziemiach Zachodnich i tu tworzyła polską naukę i kulturę. Publikacja „Powojenne losy inteligencji kresowej” pod red. Elżbiety Trela-Mazur (Opole 2007) prezentowana była na IX Salonie Książki Polonijnej w Wiedniu, zorganizowanym przez Polskie

Stowarzyszenie Autorów i Tłumaczy w Europie, Stację Naukową Polskiej Akademii Nauk w Wiedniu oraz Klub Inteligencji Polskiej w Austrii. Środowisko opolskich naukowców, badających dzieje Polonii, reprezentowały: prof. Elżbieta Trela-Mazur, prof. Wiesława Piątkowska-Stepaniak, dr hab. Maria Kalczyńska i dr Anna Śliz.

Praca naukowa, dydaktyczna i organizacyjna Pani Profesor została doceniona, o czym świadczą nagrody i wyróżnienia, które otrzymywała, m.in. Medal Komisji Edukacji Narodowej, Nagrodę I stopnia Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego (1981) za działalność naukową oraz nagrody rektorskie.

Profesor Elżbieta Trela-Mazur jest cenionym pracownikiem Instytutu Politologii, czynną i wspomagającą dobrą radą koleżanką. Jest także osobą niezwykle empatyczną, odnoszącą się z wielką wyrozumiałością do różnych słabości studentów i wsłuchującą się zawsze z uwagą w problemy osób, z którymi przychodziło jej pracować, a którym zawsze starała się i stara przyjąć z pomocą. Całe jej dotychczasowe życie to czas stawiania czoła coraz to nowym wyzwaniom osobistym i naukowym, czas wyczerpanej pracy, ale także czerpania satysfakcji z osiągnięć własnych i osiągnięć uczniów.



Sycylijska ekipa studentów i naukowców z Uniwersytetu Opolskiego

MAGDALENA PRZYSIĘŻNA-PIZARSKA, MARCIN BÖHM

DOKOPAĆ SIĘ DO PRAWDY

Pamiętnik z Sycylii

Najpierw odrobina historii.

Od 2015 r. w sycylijskim mieście Altavilla Milicia polska misja badawcza prowadzi badania interdyscyplinarne, których celem jest dokładne zbadanie pozostałości jednego z najwcześniejszych kościołów normańskich na Sycylii. Kierownikiem misji jest prof. Sławomir Możdziej z Instytutu Archeologii i Etnologii Polskiej Akademii Nauk, a badania są prowadzone we współpracy z Uniwersytetem w Catanii, który reprezentują prof. Pietro Militello i prof. Francesca Buscemim, a także z konserwatorem dóbr kultury z Palermo (Soprintendenza Beni Culturali e Ambientali di Palermo). Studenci i naukowcy z Uniwersytetu Opolskiego uczestniczą w tym przedsięwzięciu od 2016 r.

Historia kościoła jest w niewielkim stopniu znana dzięki źródłom pisany – stąd szczególna rola archeologii jako nauki mogącej dostarczyć nowych danych, dotyczących dziejów tego miejsca. Chronologia budowy kościoła pozostaje wciąż przedmiotem sporu. Pozostałości tej budowli znajdują się w strategicznej pozycji, na szczycie wzgórza, w niewielkiej odległości, zaledwie 56 metrów, od Morza Tyrreńskiego.

Kościół został zbudowany prawdopodobnie między 1068 a 1072 r. po zwycięstwie Normanów nad muzułmanami pod Misilmeri, w okresie ich podboju Sycylii (1061–1099). Owa bitwa była kluczowa dla historii Sycylii i pobliskiego Palermo, bowiem strat poniesionych pod Misilmeri nie udało się muzułmanom odrobić i stolica tej wyspy została kilka lat później zdobyta przez przed-



Prace rozpoczynały się o świcie

siębiorczych Normanów. Dla przybyłych z nad Morza Północnego Normanów Sycylia oraz południowa Italia kontynentalna musiała wydawać się krainą mlekiem i miodem płynącą. Szczególnie zachodnia część Sycylii była w średniowieczu intensywnie eksploatowana rolniczo. Podobnie jest dzisiaj i widok pól pełnych złocistych kłosów pszenicy także współcześnie robi imponujące wrażenie na turystach.

Normanowie nie byli jednak chwilowymi gośćmi, lecz zdobywcami, którzy ukształtowali dzieje Sycylii na następnych kilka stuleci. Przyszło im panować nad wieloetnicznym społeczeństwem, składającym się z muzułmanów północnoafrykańskiego pochodzenia, Słowian, Greków, Żydów i przybyszów z Italii, zwanych Łacinnikami. Dlatego szczególną rolę w ich planach odgrywała również ponowna chrystianizacja Sycylii, którą prowadzono w XI i XII w. w łagodny sposób, rzadko uciekając się do radykalnych rozwiązań. Taka tolerancja wynikała z prostego faktu, że Normanowie i ich potomkowie stanowili

niewielką mniejszość w tym nowym państwie, dlatego stworzyli system władzy i społeczeństwo, będące łącznikiem między kulturami. Władcy Sycylii opierali się w swej administracji na wzorcach arabskich, stąd ich urzędnicy nosili miano emirów i zarządzili swoimi dywanami (czyli odpowiednikami dzisiejszych ministerstw – zwanymi tak od dywanu, na którym siedzieli urzędnicy), bez względu na ich pochodzenie etniczne. Dokumenty wydawano w trzech językach urzędowych. Łacina nie była – do końca XII w. – wcale tym głównym, podstawowym językiem arabski i grecki. W swoich działaniach misjonarskich Normanowie oparli się na ludności Sycylii – Grekach z jej wschodniej części, którzy nie porzucili wiary swoich przodków pod panowaniem arabskim, jak również na Łacinnikach, początkowo stanowiących niewielką grupę, odpowiedzialną przede wszystkim przed papieżem. Od czasów Urbana II, który osobiście odwiedził tę wyspę, grupa Łacinników stale rosła, ale skupiała się głównie w miastach położonych na wybrzeżu, niespecjalnie gar-



Zachowane mury kościoła Santa Maria di Campogrosso

nąc się w kierunku interioru Sycylii, jak również wioski muzułmańskie, leżące na wybrzeżu. Tę lukę wypełnili Grecy, z którymi związane są początki badanego przez nas kościoła.

Świątynia posiada jedną nawę z trzema absydami i kryptą; obok niej znajdują się zaś pozostałości klasztoru należącego do zakonu św. Bazylego (bazylianów). Nowożytni kronikarze wiążą budowę kościoła z normanńskimi zdobywcami Sycylii, z rodziny Altavilla – Robertem Guiscardem i jego młodszym bratem Rogerem I. Kościół zlokalizowano w pobliżu arabskiej wioski o nazwie Ayly-el. Klasztor, podobnie jak kościół, celowo ulokowano w regionie zwanym przez Sycylińczyków Dużym Polem (Campo Grosso), w pobliżu rzymskiej drogi Via Valeriana, która biegła z Messyny do Palermo. Jej fragmenty można dostrzec w pobliżu klasztoru, jak również w postaci ruin mostu zwanego Ponte Saraceno (mostem Saracenów), znajdującego się w dolinie u stóp wzgórza. Niestety, do naszych czasów nie zachował się drugi z mostów, znaj-

dujący się w pobliżu morza, który nazywano mostem św. Michała. Dzisiaj jego resztki przykrywa nowa droga.

Oprócz roli misyjnej klasztor pełnił też rolę militarną, polegającą na kontroli szlaku biegnącego do Palermo, o czym świadczą ruiny murów obronnych, znajdujących się na badanym przez nas wzgórzu. Klasztor był także elementem sieci obrony wybrzeża przed najazdami piratów, bowiem zlokalizowano go niemal w równej odległości od dwóch obronnych donżonów, które od wschodu i zachodu są widoczne nawet dzisiaj z tegoż wzgórza. W XII w. Normanowie stali się potęgą morską, której okręty zagrażały Bizancjum i Afryce Północnej, jak również włączały się do wojen ze światem islamu, które nazywamy wyprawami krzyżowymi. Dlatego zrozumiałe stało się posiadanie takich punktów jak nasz kościół i klasztor, gdzie okoliczna ludność mogła się schronić oraz stawiać ewentualny opór przeciwnikowi żądnemu zemsty na wszędobylskich Normanach.

Pierwszym patronem kościoła został archanioł Michał, można powiedzieć – święty „narodowy” Normanów. Dopiero później wezwanie kościoła zmieniono – na Santa Maria di Campogrosso, co było też wyrazem mody panującej w południowej Italii w XII stuleciu. Bazylianie, poza działalnością misyjną, prowadzili w Campogrosso także szpital. W XIII w. klasztor Bazylianów w Campogrosso zaczął podupadać i w 1284 r. powierzono zwierzchność nad nim bratu Cirino, który mienie ruchome i nieruchome klasztoru przekazał arcybiskupstwu w Palermo. Budynek samego kościoła został desakralizowany w XVI w., wtedy bowiem zabrano z niego większość wyposażenia do Palermo (w tym – marmurowe rzeźby przedstawiające świętych Bazylego, Laurentego i archanioła Michała), sam kościół zaś popadł w ruinę.

Po co mnichom mandragora?

Ludziom bardzo często wydaje się, że archeologia to jest coś, czym każdy chciałby się zajmować. Ile razy słyszałam: „ja też zawsze chciałam/em zostać archeologiem, to musi być niesamowite i egzotyczne”.

I wszyscy ci ludzie mają rację. Archeologia to niesamowita przygoda. Ale też ciężka praca, o której jednak zapomina się, gdy tylko znajdziemy coś, co jest dla nas ogromnym skarbem.

Na wyprawę sycylijską jechała specjalnie wybrana grupa. Studenci i doktoranci reprezentujący Instytut Historii: Paulina Tsekouras, mgr Agnieszka Przelor, Michał

Rokita, Dominik Hadas, Dawid Żak oraz pracownicy Instytutu Historii: dr Magdalena Przysiężna-Pizarska i Marcin Böhm. Członkiem zespołu była również jako rysownik – Teresa Demidziuk, pracownik muzeum Arsenał we Wrocławiu. Nasza podróż w jedną stronę trwała prawie 48 godzin. Trasa biegła przez Czechy, Austrię, Włochy. Autostradą i promem – po to, aby zasmakować przygody i dać się ponieść duchowi Indiany Jonesa, by poczuć się jedynymi odkrywcami tajemnic tego miejsca. Wąskimi, sycylijskimi uliczkami dotarliśmy do miejscowości Altavilla Milicia.

Nasze stanowisko mieści się na wzgórzu, około półtora kilometra od domu, który na blisko dwa tygodnie stał się naszą bazą archeologiczną. Pracę zaczynaliśmy o 7.00 rano, wraz ze wschodem słońca – szybko rosnąca temperatura zmuszała nas do pracy o tej rzeńskiej jeszcze porze. Mozolnie wspinaliśmy się na górę, na której stały zachowane mury kościoła Santa Maria di Campogrosso. Z naszej góry rozciągał się piękny widok na zatokę Palermo, na górę z jaskiniami, które kryją niejedną tajemnicę. Stanowisko położone jest niewątpliwie malowniczo, otoczone rosnącym na szczycie gajem oliwnym. I pięknymi widokami.

Badania archeologiczne są trudne. Trzeba bowiem potwierdzić bądź wykluczyć informacje zawarte w źródłach pisanych. Jednym słowem – odkopać prawdę. Dlatego, zakładając wykop (miejsce o określonych wymiarach, zakładane na stanowisku archeologicznym), skoncentrowaliśmy się na dwóch celach: potwierdzeniu budowy architektonicznej kościoła oraz sprawdzeniu, czy na terenie przyległym do kościoła znajduje się cmentarzysko. Już w pierwszym wykopie odkryliśmy ślady posadzki i schody prowadzące pod ziemię, zmierzające w kierunku ukrytych krypt kościoła. Zaraz przy schodach – niespodzianka: ślady kamiennych framug drzwi prowadzących... No właśnie, nie wiedzieliśmy dokąd. Kolejne miejsca naszej eksploracji nie przyniosły rozwiązania. Pokazały natomiast bogactwo malowanej pięknie ceramiki, monety z różnych czasów i kamienne symbole dawnych budowniczych. W wykopie, po zewnętrznej stronie kościoła, pod warstwą wyschniętej na popiół ziemi, odkryliśmy szczątki tych, którzy niegdyś służyli w kościele: warstwa zbitej, brunatnej ziemi, wypełniona kamieniami, chroniła miejsca pochówku mężczyzn, dzieci i kobiet. Spodziewaliśmy się odkryć pochówki chrześcijańskie i wcześniejsze, przedchrześcijańskie. Chrześcijańskie – zwłoki ułożone na wznak, z twarzą zwróconą w kierunku wschodzącego słońca – zdecydowanie przeważały.

Miejsca przy ścianie południowej kościoła były szczególnie ważne, dlatego wiele osób chciało spocząć właśnie tutaj. Chowano tu dorosłych i dzieci (kobiety i dzieci na obrzeżach tych stref). Malutkie groby dzieci przykryte były ogromnymi dachówkami, a w środku znajdowaliśmy małe monety, paciorki lub ozdoby z brązu. A pod nimi, tam, gdzie już powinna znajdować się tylko skała, odkryliśmy pochówki przedchrześcijańskie. Zwłoki układano na boku, z nogami podgiętymi i rękami złożonymi pod głowę. Bez żadnych przedmiotów na drogę, bez ceramiki.

Ale że nie samą pracą naukową człowiek żyje, w niedzielne poranki zwiedzaliśmy ciasne uliczki Palermo, przyglądaliśmy się dziełom wspaniałych artystów w kościołach, szczególnie Santa Maria dell' Ammiraglio na Piazza Bellini – budowlę ufundował Jerzy z Antiochii, admirał na dworze króla Sycylii Rogera II, w 1143 r., na potrzeby wiernych obrządku bizantyjskiego. Podziwialiśmy sztukę rzeźbiarzy i malarzy w kaplicy Cappella Palatina na Piazza Indipendenza oraz w katedrze w Palermo na Via Vittorio Emanuele, zbudowanej na zlecenie arcybiskupa Palermo Gualtierro Offamilio w latach 1069–1190. I katakumby kapucynów, w których znajdują się mumie ok. 8000 zmarłych – mężczyzn, kobiet i dzieci. Pierwsze mumie pochodzą z XVI wieku, a ostatnią jest mumia dziewczynki zmarłej w latach 20. XX wieku.

Z Palermo pojechaliśmy do Agrigento – pierwsze ślady osadnictwa greckiego na tym terenie (ceramika mykeńska oraz groby tholosowe) pochodzą z XIV w. p.n.e. Mieszkańcami tego miejsca byli koloniści z Koryntu i Rodos, a ślady dawnych świątyń cieszą oczy takich pasjonatów przeszłości jak my. Ostatnimi punktami w naszej podróży były miejsca znane – Pompeje i Wenecja.

Czas mijał bardzo szybko i już wkrótce musieliśmy wracać. Na pocieszenie, w ostatnim dniu odkryliśmy coś, czego nie spodziewaliśmy się nigdy odkryć w okolicach kościoła – zaraz przy ścieżce zobaczyliśmy roślinkę, która wydała nam się znajoma. Znaliśmy ją z ikonografii, źródeł pisanych. Tu pojawiła się prawdziwa mandragora lekarska, składnik napojów magicznych i element czarodziejskich praktyk! Wrócimy tam, już wkrótce. A może przy okazji rozwikłamy kolejną sycylijską tajemnicę: do jakich celów tamtejsi mnisi używali mandragory?

GRZEGORZ HEBDA, MIŁOSZ MAZUR, SYLWIA NOWAK, ARKADIUSZ NOWAK, SYLWIA WIERZCHOLSKA

BIOŁODZY BADAJĄ, CHRONIĄ I EDUKUJĄ W UNIWERSYTECKIM PARKU W DĄBROWIE



Park zamkowy w Dąbrowie

Pracownicy Centrum Studiów nad Bioróżnorodnością Katedry Biosystematyki realizują na terenie parku zamkowego w Dąbrowie projekt ochrony i restytucji bioróżnorodności ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego RPO WO na lata 2014–2020. Celem działań zespołu biologów, w tym botaników i zoologów, jest ochrona zagrożonych gatunków, odtwarzanie siedlisk przyrodniczych oraz wykorzystanie przyrodniczego potencjału parku do utrzymania lokalnego hotspotu bioróżnorodności i promocji idei ochrony przyrody na obszarach wiejskich. Istotnym elementem założonego programu jest także utworzenie na terenie parku zespołu przyrodniczo-krajobrazowego oraz nowych pomników przyrody.

Park w Dąbrowie został zaprojektowany zgodnie z założeniami szkoły francuskiej z XVII w. Mimo że drzewostan jest tworem człowieka, nie brak tu interesujących obiektów przyrodniczych. Botanicy zidentyfikowali w parku dwa ściśle chronione zespoły roślinne: grąd środkowoeuropejski Galio-Carpinetum oraz łąki świeże Arrhenatherion elatioris. W północno-wschodniej części parku spontanicznie wykształciło się także zbiorowisko z dominującą olszą czarną, w którego centralnej części położone jest gniazdo myszołowa. Dużą różnorodność gatunkową roślin stwierdzono w obrębie odtwarzanych w ramach projektu łąk świeżych. Tworzą je m.in. barwne złoście łąkowe, jaskry rozłogowe, bodziszki łąkowe, chabry łąkowe, ostrożeń warzywny, ostrożeń łąkowy



W parku rośnie wiele gatunków drzew i krzewów

i groszki łąkowe. Odtwarzanie łąk świeżych na obszarze polan parkowych jest istotnym celem projektu, dlatego też ich regeneracja objęła również wprowadzenie roślin typowych dla tego typu siedliska: jastruna zwyczajnego, chabra łąkowego, groszka łąkowego, bodziszka łąkowego oraz dzwonka rozpierzchłego.

Barwne kobierce łąk nie ułknęły uwadze owadów. W roku 2018, po dwóch latach realizacji projektu obserwowano np. 20 gatunków motyli dziennych, w tym paze królowej, czerwończyki dukaciki, modraszki wieszczki, rusałki pawiki, admirały, żałobniki, przestrojniki trawniki i strzępotki ruczajniki. Oprócz łąk świeżych odtwarzane jest także inne chronione siedlisko przyrodnicze – grąd środkowoeuropejski. Typowymi gatunkami dla tego siedliska, a stwierdzone w parku, są np. bluszcz, graby zwyczajne, lipy drobnolistne, ziarnopłony wiosenne, gajowce żółte i zawilce gajowe. Wspomagająco wprowadzone zostały gatunki diagnostyczne tego siedliska – przytulia leśna, gwiazdnica wielkokwiatowa, klony polne i świerzbki gajowe. W chwili rozpoczęcia projektu

na terenie parku nie występowały zbiorniki wodne. Ten niekorzystny z biocenotycznego punktu widzenia stan poprawiło odtworzenie zbiornika w północno-zachodniej części parku. Nowy ekosystem od razu doczekał się wielu wodnych mieszkańców. Zalatują tu takie ważki, jak: ważki płaskobrzuche, szablaki krwiste, lecichy pospolite i świtezianki błyszczące. Już w pierwszym roku po wykopaniu stawu złożyły w nim skrzek ropuchy szare i żaby trawne. Staw może w przyszłości stanowić istotne w okolicy miejsce rozrodu dla tych grup zwierząt.

Park najbardziej kojarzy się jednak z drzewostanem, tworzonym przez bogaty zestaw gatunków drzew i krzewów o różnych rozmiarach, pokroju i wieku. W tym dojrzałym parkowym „lesie” występuje urozmaicona lista ptaków lęgowych. W ciągu dwóch lat inwentaryzacji znaleziono 27 gatunków. Awifaunę lęgową tworzą głównie gatunki pospolite w naszych lasach i parkach, takie jak zięby, rudziki, pokrzewki czarnołbiste, bogatki, kowaliki, gołębie grzywacze i dzięcioły duże. Z rzadszych gatunków ptaków warto wymienić dzięcioły średnie



Ostrożeń łąkowy

i dzięcioły zielone, które zasiedlają bardziej naturalną, północno-wschodnią część parku. Znaczny wiek drzew oraz obecność dużej ilości tzw. martwego drewna sprzyja faunie saproksylicznej – owadom związanym na jednym z etapów ich rozwoju z zamierającym lub martwym drewnem. W dziuplach starych lip lub dębów rozwija się chroniony chrząszcz – pachnica, której ślady obecności stwierdzano w poprzednich latach. Ważną, wspieraną w ramach projektu, grupą owadów są także zapylacze – np. błonkówki. Dla nich zainstalowano w parku specjalne domki, zachęcające owady do zasiedlenia. Domki dla błonkówek to zresztą nie jedyne sztuczne schronienia, które rozlokowano w różnych częściach parku – zainstalowano także kilkadziesiąt skrzynek dla ptaków, nietoperzy oraz, pilotażowo, nowatorskie skrzynki dla pachnicy.

W celu głębszego poznania walorów przyrodniczych parku w Dąbrowie zaprojektowano ścieżkę edukacyjną z 15 przystankami oraz wydano scenariusze zajęć terenowych dla młodzieży różnych klas wiekowych. Promocji i edukacji służyć będzie także strona internetowa, film

i folder promocyjny, a zwiedzanie będzie uatrakcyjnione i możliwe także za pośrednictwem aplikacji tzw. wirtualnego spaceru.

W tym roku, po trzech latach działalności, biolodzy mogą podsumować swoją pracę i oddać park w Dąbrowie społeczeństwu jako pełną atrakcji klasę na otwartym powietrzu. Mamy nadzieję, że po zakończeniu równocześnie odbywającej się rewitalizacji założeń parkowych nasze działania przyczynią się do lepszego wykorzystania potencjału rekreacyjnego i edukacyjnego parku i przede wszystkim podniesienia jego wartości przyrodniczej. Bioróżnorodność nie jest jedynie wartością samą w sobie, ale może i powinna służyć naszemu zdrowiu, lepszemu komfortowi życia oraz edukacji przyrodniczej.

BEATA ŁABUTIN

PERFEKCJA WYMAGA TRENINGU



Prezentacja symulatorów medycznych w Centrum Ginekologii, Położnictwa i Neonatologii w Opolu (fot. Sylwester Koral)

Najnowszej generacji symulatory prezentowane były 27 marca br. w Centrum Ginekologii, Położnictwa i Neonatologii przy ul. Reymonta w Opolu, w tamtejszej szkole rodzenia. Licznie przybyli tam lekarze także szpitala ginekologiczno-położniczego, jak i z Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego.

Symulatory najnowocześniejsze na świecie

– Mamy okazję obejrzeć i przetestować najbardziej zaawansowane, najnowocześniejsze symulatory medyczne wysokiej wierności odtwarzania dostępne dziś na świecie; to jest autentycznie najwyższa półka – powiedział prof. Zenon Halaba, wykładowca na kierunku lekarskim na UO, organizator prezentacji. – Są one ogromnie

przydatne tak w kształceniu studentów medycyny, jak i podnoszeniu kwalifikacji lekarzy. Szczególnie interesujący jest symulator noworodka SuperTory firmy MEDline, który jest najbardziej zaawansowanym technologicznie symulatorem neonatologicznym na świecie. Można uczyć się na nim wielu procedur, przede wszystkim daje praktycznie nieograniczone możliwości, gdy chodzi o szkolenie z zakresu chorób układu oddechowego, które są najczęstszym problemem, z jakim borykamy się przy intensywnej terapii noworodka.

Odpowiednie oprogramowanie symulatora umożliwia ustawienie parametrów życiowych na poziomie wymagającym określonego postępowania medycznego; można na przykład wywołać zaburzenia oddechowe,

drgawki, sinicę itp. Możliwe jest intubowanie symulatora noworodka, dokonywanie różnego rodzaju wklęć itp. Można nawet cewnikować „chłopca” i „dziewczynkę” przy zastosowaniu do symulatora odpowiedniej nakładki z wymiennymi narządami płciowymi.

Koszt takiego symulatora przewyższa cenę wysokiej klasy samochodu i wynosi ponad 400 tysięcy złotych. Niewiele tańsze są inne prezentowane podczas pokazu urządzenia, na przykład symulator dorosłego typu Hal, wart około 300 tys. zł. Można przy jego wykorzystaniu uczyć się bardzo wielu procedur medycznych ratujących życie. Osobny symulator służy do nauki intubowania pacjenta, prezentowano także trenażery do nauki i doskonalenia chirurgii laparoskopowej firmy Laparo.

Symulatory trafią na UO

Jak zapewnia prof. Zenon Halaba, prezentowane symulatory trafią w ciągu dwóch lat do Collegium Medicum Uniwersytetu Opolskiego. – Nasza uczelnia jest etapie finalizowania porozumienia z Ministerstwem Zdrowia, które przeznacza dość spore środki na dofinansowanie sprzętu potrzebnego do wyposażenia centrów symulacji medycznych dla uczelni uruchamiających kierunki lekarskie, w tym naszej. Nasze centrum symulacji medycznej ma już praktycznie gotowe pomieszczenia w Collegium Medicum. Myślę, że za dwa lata nasi studenci będą już z niego korzystać. Profesor Halaba podkreśla, jak ważne jest kształcenie przyszłych lekarzy właśnie na symulatorach. – Z amerykańskich danych wynika, że co roku 440 tysięcy pacjentów umiera w USA z powodu błędów medycznych, a kolejne 3,5 mln obywateli doznaje z tego powodu trwałych uszczerbków na zdrowiu. Uprawianie zawodu lekarza wymaga stałego dążenia do perfekcji, tak, by eliminować ewentualność popełnienia błędu. Taką możliwość daje właśnie nauka na symulatorach, kiedy to przykładowo można intubować symulator pacjenta nawet i pięćdziesiąt razy po to, by za pięćdziesiątym pierwszym, kiedy trzeba będzie ratować człowieka w ciężkim stanie, zrobić to bezbłędnie, z przysłowiowymi zamkniętymi oczami. Perfekcja wymaga treningu, a bezpieczny,

nieszkodzący pacjentowi trening jest możliwy właśnie przy wykorzystaniu symulatorów.

W prezentacji wzięła udział prorektor ds. kształcenia i studentów UO prof. Izabella Pisarek. – Te urządzenia, które tu dzisiaj widzieliśmy, to fantastyczny sprzęt, umożliwiający naukę trudnych procedur medycznych w warunkach laboratoryjnych – powiedziała prorektor. – Studenci kierunków przyrodniczych czy chemicznych ćwiczą ma materiałach, które mogą ulec zniszczeniu. W przypadku studentów medycyny taka możliwość jest o wiele istotniejsza, chodzi bowiem przecież o bezpieczeństwo pacjentów. Możliwość szkolenia przyszłych lekarzy na symulatorach jest wręcz bezcenna.

BARBARA STANKIEWICZ

NOWY ROK ROZPOCZAŁ SIĘ 16 LUTEGO!

O tym, jak Chińczycy świętują rozpoczęcie nowego, 2018 r. – Roku Psa, opowiadała w Muzeum UO Yi-Ting Liao, lektorka języka chińskiego na naszej uczelni

Czerwone, chińskie lampiony, czajniczki wypełnione aromatyczną herbatą i duży portret psa (Kompan – tak zatytułował swój obraz malarz Józef Chyży, absolwent naszego Instytutu Sztuki). W takiej scenerii, w Muzeum UO, 22 lutego br., Yi-Ting Liao, lektorka języka chińskiego na naszej uczelni opowiadała o tym, jak w jej ojczyźnie świętuje się rozpoczęcie kolejnego roku. Kolejnego, czyli 2018, który według chińskiego kalendarza rozpoczął się 16 lutego, a jest Rokiem Psa. Prelekcji towarzyszyła wystawa chińskich artefaktów związanych z kaligrafią, wierzeniami religijnymi oraz zwyczajami kulinarnymi Państwa Środka. A prelegentce towarzyszyli: dr Stankomir Nicieja (Instytut Filologii Angielskiej), prof. Teobald Kupka i dr inż. Zygmunt Flisak – obaj z Wydziału Chemii. Nie zabrakło też gości z Instytutu Konfucjusza (Politechnika Opolska), nie mówiąc już o mieszkańcach Opola, którzy z ogromną ciekawością dopytywali nie tylko o szczegóły dotyczące sposobu świętowania Nowego Roku w Chinach, ale i o upodobania kulinarne, tajniki alfabetu chińskiego czy sposoby parzenia herbaty.

– Azja Wschodnia to obszar tętniący życiem. Na ulicach, w fabrykach – wszędzie są tłumy ludzi – opowiadał zafascynowany chińską kulturą dr Stankomir Nicieja. – Ale przez kilka dni w roku ten tętent zamiera, wszyscy gromadzą się w rodzinnych domach. To właśnie jest czas świętowania Nowego Roku. Jest to święto ruchome, przypada po drugim nowiu Księżyca po zimowym przesileniu Słońca, a więc kilka tygodni po 1 stycznia.

W wigilię Nowego Roku Chińczycy jedzą świąteczną kolację: ryba, której nie wolno zjeść do końca (nieprzypadkowo chyba w języku chińskim słowo „ryba” jest bardzo podobne do słowa „nadmiar”), rosół, pierogi – w kształcie łódki, przypominającej dawne chińskie monety – z mięsem i warzywami, mięsno-warzywna potrawa przyrządzana w wielkim, okrągłym naczyniu, wokół którego siadają biesiadnicy, co symbolizuje bliskość i jedność rodziny. I oczywiście ciasta, typowe dla regionu. W domu pochodzącej z Tajwanu Yi-Ting Liao przygotowuje się dwa rodzaje ciast: jedno z ryżu, o konsystencji naszego tofi i drugie – z rzodkwi.

Ten wigilijny wieczór często trwa do rana, bo Chińczycy wierzą, że im później w tym dniu położą się spać, tym więcej dodatkowych lat życia ofiarują swoim rodzicom... Po północy wychodzą przed dom, dziękują bogom za to, co było, proszą o pomyślność.

Są i prezenty – najczęściej pieniądze wręczone przez głowę rodziny, obowiązkowo w czerwonych kopertach. Czerwone są i dekoracje, mocowane wokół drzwi. A także lampiony, latarnie i stroje przebierańców, którzy paradują przez następne dni ulicami chińskich miast. Skąd tyle tej czerwieni?

Yi-Ting Liao: – Ma to związek ze starą legendą, której bohaterem jest potwór Nian, terroryzujący chińskie wioski. Okazało się, a odkrył to pewien mędrzec, że potwór śmiertelnie boi się hałasu, ognia i czerwonego koloru. Stąd ta tradycja. Chińczycy wierzą, że kolor czerwony odstrasza złe moce, chroni, jest kolorem życia.

Chińskim zodiakiem władają zwierzęta, a obieg tego zodiaku trwa 12 lat. Co roku władzę obejmuje kolejne zwierzę: szczur, bawół, tygrys, królik, smok, wąż, koń, koza, małpa, kogut, pies i świnia. W Chinach – co podkreślił dr Stankomir Nicieja – ważniejsze od pytania: „z którego roku jesteś”, jest pytanie: „z jakiego roku jesteś”. Bo do każdego zodiakalnego zwierzęcia przypisane są konkretne cechy charakteru, warto więc wiedzieć, które z nich patronowało naszym narodzinom.

I w tym momencie w Muzeum UO rozpoczęło się obliczanie, według stosownej tabeli, kto w którym roku się urodził; później była nauka noworocznych życzeń w języku chińskim i nauka parzenia herbaty, zakończona wspólną degustacją.



Wolontariusze i podopieczni „Akademii Przyszłości” w Strzelcach Opolskich (fot. autorka)

ELENA STEPANIUK

POMÓC DZIECKU UWIERZYĆ W SIEBIE

Nie zawsze dziecko ma szczęście urodzić się w rodzinie sprzyjającej jego rozwojowi. Bywa, że już od podstawówki ma kłopoty z nauką, z nawiązaniem kontaktów z rówieśnikami, ale przede wszystkim z poczuciem pewności siebie. „Akademia Przyszłości” jest organizacją, która pomaga dzieciom poznać samych siebie i uwierzyć we własne możliwości, częścią Stowarzyszenia „Wiosna”, którego siedziba znajduje się w Krakowie.

„Akademia Przyszłości”, która powstała w 2003 roku, jest siostrzanym odbiciem „Szlachetnej Paczki”, również funkcjonującej pod skrzydłami Stowarzyszenia „Wiosna”. Jednym z głównych celów tego stowarzyszenia jest „kreowanie i kształtowanie postaw prospołecznych, umiejętności łączenia idealizmu z efektywnością oraz współpracy w dążeniu do wielkich celów”. A zatem są to działania zmierzające do rozwoju społeczeństwa obywatelskiego.

„Akademia Przyszłości” koncentruje się głównie na organizacji zajęć edukacyjnych oraz rekreacyjnych dla dzieci i młodzieży, wywodzących się w szczególności z tak zwanych rodzin wieloproblemowych. Liderzy tego ruchu pracują za darmo – „Wiosna” promuje styl życia, który łączy cele osobiste i zawodowe z zaangażowaniem na rzecz drugiego człowieka. Ksiądz **Jacek Stryczek**, prezes stowarzyszenia, powiedział wprost: „Mówi się: nie ryba, ale wędka. Wędką jest na przykład szkoła. Ale bez właściwego nastawienia dzieci tracą w niej czas”. Ten cytat dobitnie charakteryzuje działania „Akademii Przyszłości”: trzeba pomóc dzieciom uwierzyć we własne siły.

Karolina Grund, regionalna koordynatorka „Akademii Przyszłości”, wspomina pierwsze kroki działalności stowarzyszenia: – Kiedy wolontariusze odwiedzali rodziny będące w potrzebie, zauważyli, że dzieci potrzebują nie tylko materialnej pomocy, ale przede wszystkim

wyprowadzenia ich z błędnego przeświadczenia, że do niczego się nie nadają.

I właśnie dla nich powstała „Akademia”, która początkowo objęła swoją pomocą trzydzieścioro dzieci z Krakowa. Z roku na rok poszerzała jednak zasięg swojej charytatywnej działalności, stopniowo osiągając wymiar ogólnopolski. W latach 2017–2018, w czasie jubileuszowej XV edycji, objęła opieką prawie 2500 dzieci z 45 miast Polski. W naszym województwie opieką objętych jest 68 uczniów ze szkół podstawowych w Opolu, Oleśnie, Praszce, w Kędzierzynie-Koźlu i w Strzelcach Opolskich. Każde dziecko ma własnego tutora, czyli wolontariusza. Wolontariuszem „Akademii Przyszłości” może zostać każdy, kto jest pozytywnie nastawiony na pracę z dziećmi. Obecnie na terenie województwa opolskiego pracują 72 osoby, wśród nich studenci psychologii i pedagogiki, a zgłoszenia wciąż napływają.

Niestety, istotnym warunkiem rozwoju naszej działalności, podobnie jak każdej innej organizacji, jest budżet. Według statutu źródłem finansowania programów „Wiosny” są: składki członkowskie, darowizny, dochody z nieruchomości, dotacje, środki publiczne, granty, ofiarność publiczna, dochody z imprez lub przetargów, dochody z kapitału, dochody z działalności gospodarczej, środki przekazane z 1 proc. podatku dochodowego od osób fizycznych. Jak mówi Karolina Grund, głównym źródłem finansowania „Akademii Przyszłości” są wpłaty od podmiotów prywatnych, m.in. tak zwanych darczyńców indeksowych. „Są to osoby lub grupy osób, wybierające na stronie www.akademiaprzyszlosci.org.pl dziecko, któremu chcą kibicować w czasie całego roku jego pracy. Wpłaty tych darczyńców pozwalają na funkcjonowanie naszego programu”.

Każdy może zostać takim darczyńcą, pokrywając koszt indeksu, czyli wpłacając 1 tysiąc złotych dla jednego dziecka w roku szkolnym 2017/18. Dzięki wykupionemu indeksowi dziecko może pracować i rozwijać się w „Akademii Przyszłości”. Zakupu można dokonać jednorazowo, w ratach, można też wziąć udział w zbiorce pie-

niędzy na konkretne dziecko. Dzięki darczyńcom przez 15 lat działania „Akademii Przyszłości” udało się zmienić życie ponad 13 700 dzieciom. Tylko w ramach edycji 2017/18 na pomoc „Akademii” czeka 2300 dzieci z 25 miast Polski.

„Akademia Przyszłości”, a także „Szlachetna Paczka” otrzymują oferty współpracy od firm, które chciałyby wspierać programy „Wiosny” oraz zostać inwestorem społecznym dla konkretnego kolegium w „Akademii Przyszłości” bądź rejonu „Szlachetnej Paczki”. Inwestor społeczny to nowatorskie rozwiązanie dla przedsiębiorców i firm zainteresowanych angażowaniem się w skuteczne projekty z obszaru CSR.

„Akademia Przyszłości” pełni zatem rolę symbolicznego przytuliska dla dzieci, którym doskwiera samotność. Tutor spotyka się ze swoim podopiecznym raz w tygodniu. Spędza z nim czas, odrabia lekcje, pomaga zanotować kolejny sukces w specjalnym indeksie – np. pomoc matce w sprzątanu... Wolontariusze „Akademii Przyszłości” organizują również wspólne wydarzenia. Pierwszym i najważniejszym jest inauguracja, podczas której dziecko otrzymuje indeks sukcesu. Kolejne imprezy mają już bardziej rozrywkowy charakter: bal andrzejkowy, wyprawa na lodowisko czy gra w kręgle. Ale rozrywka jest celem drugorzędnym. Głównym jest to, żeby dzieci nauczyły komunikować się między sobą.

WITOLD SUŁEK

ŁAPICKI, HERBERT I MOTYLE



Robert Pucek, „Sennik ciem i motyli”, Wydawnictwo Czarne, 2018

Marzec obfitował, z wiadomych względów, w literaturę dotyczącą, ogólnie rzecz ujmując, roku 1968, ale pojawiło się też wiele innych pozycji o powojennej sytuacji Żydów w Polsce i wzajemnych naszych relacjach. Trudny to temat, pozostaje jednak żywić nadzieję, że publikacje Mikołaja Grynberga, Włodka Goldkorna czy monumentalna dwutomowa pozycja Bielik-Robson o pogromie kieleckim przyczynią się do tego, by dialog toczył się we wzajemnym poszanowaniu, bowiem mierzenie się z historią zawsze jest trudne. A wersji wydarzeń – często tyle, co świadków, przy czym tych ostatnich coraz mniej.

Nie chcąc jednak, ani nie czując się kompetentnym do omawiania i rozstrzygania w piśmie akademickim kwestii, nad którymi zawodowi historycy łamią sobie głowy (i nie tylko głowy, mam wrażenie), zajmę się literaturą mi bliższą. Nie to, że od razu rozrywkową, ale jednak popularną, która, gdyby się jednak głębiej zastanowić, niejednokrotnie ukazuje i wyjaśnia mechanizmy, jakie działają w historii nie tylko jednostkowej.

Tak jest na przykład w przypadku dzienników. A właśnie na półkach wylądowały „Dzienniki z lat 1984–2005” Andrzeja Łapickiego, opatrzone tytułem: „Jutro będzie zemsta”. I chociaż słowo zemsta pisane jest małą literą, zważywszy, że z wybitnym aktorem mamy do czynienia, możemy domniemywać, iż jest to gra słowna, a znaczenie słowa – wielorakie. Ważne jest, że w zapiskach tych nie tylko świat aktorski, teatralny i filmowy jest opisany. Niektórych, w tym i mnie, dziwić może, że tak późno artysta zaczął je pisać, ale nie mamy pewności, czy wcześniej nie pisał, a tylko nie był z nich zadowolony... Podobnie, jak nie był zadowolony z faktu bycia lektorem Polskiej Kroniki Filmowej, które to zajęcie przysporzyło mu strasznej, jak się okazuje, traumy. Kontrowersyjne mogą się wydawać jego sądy czy (delikatniej rzecz ujmując) – opinie o kolegach i koleżankach, ale do tego typu rzeczy już się współczesny czytelnik zdążył przyzwyczaić. A czy to dobrze, czy źle? Czy należy rzeczy niemiłe ujawniać? Jeszcze gorzej, moim zdaniem, malować fałszywe obrazy. Do poklepywania, poufałości, pochwał rzucających sobie na ekranie telewizorów też przecież mamy dystans, obserwując benefisy, rocznice, jubileusze... Co sam Łapicki o sobie tu pisze? Jaki obraz nam się wyłania? Warto sprawdzić.

Jeżeli komuś jednak nie w smak grzebanie się we współczesności, mam pozycję inną, z którą, przynajmniej, sam chętniej się zabiore. A czasu pochłonę mi ona sporo, bo 700 stron to nie lada wyzwanie, gdy materia trudna. Bo chociaż jest to biografia, to zakres zainteresowań, pola działań i dorobek jej bohatera, którym jest Leibniz, jest ogromny. Od matematyki, poprzez filozofię, po poezję. Udało się to Marii Rosie Antognazy, autorce książki

„Leibniz. Biografia intelektualna”, wydanej u nas przez Copernicus Center Press. Pozwalam sobie tak ciepło o autorce i jej dziele pisać, gdyż otrzymała ona nagrodę przyznaną przez History of Science Society „za wybitną książkę poświęconą historii nauki”. We wspomnianej biografii przeanalizowała bogatą korespondencję Leibniza, przedstawiła jego dorobek na tle epoki, co pozwala lepiej zrozumieć polityczno-dworskie i ekonomiczne często aspekty podejmowanych przez niego badań.

Z rzeczy ważnych, nie nowych, ale wznowionych, na szczególną uwagę zasługują książki Kornela Filipowicza pt. „Romans prowincjonalny oraz inne historie” – wydana przez Znak, oraz książka Jana Rybowicza pt. „Zwarować z życia”, wydana przez PIW. O ile ta pierwsza, dzięki wielkiemu i nieustającemu zainteresowaniu Szymborską zostanie pewnie zauważona i na półkach księgarskich eksponowana, to już w przypadku drugiej jest to wątpliwe. Wprawdzie opowiadania przeżywają obecnie renesans, dużo się o tym gatunku mówi i sporo wydaje, ale też właśnie duża ich liczba na rynku wydawniczym zadziałać tu może niekorzystnie: bo ileż książek z opowiadaniem kupimy? Nadto Rybowicz nie jest autorem mocno obecnym w opracowaniach czy komentarzach, chociaż stawiany jest obok Hłaski. I bez wątpienia są to tej miary opowiadania.

Najgłośniejszą premierą kwietnia będzie na pewno książka Andrzeja Franaszka o Zbigniewie Herbertcie („Herbert. Biografia i niepokój”), która aż z 1920 stron jest złożona. Nie twierdzą, że poeta na tak monumentalne opracowanie nie zasłużył, niemniej nieco obezwładnia jego rozmiar i rodzi się pytanie: czy koniecznie aż tyle? Bo że można i więcej, nie wątpię. Jednak zastanawiam się, czy celem biografii jest omówienie każdego dnia z życia? Do jakiego czytelnika, poza zagorzałymi fanami twórczości Herberta, jest ona kierowana? Owszem, już „Miłosz” Franaszka był dziełem ogromnym, jednak mam tu poczucie, że zaspokajane są jakieś ambicje własne. Przyjdzie się Państwu przekonać samopas.

Aby jednak nie przytłaczać tekstu dziełem tak ogromnym, dorzucę książkę niewielką, ale jakże wielką zarazem, o której pisze Jacek Gutorow „Nie znam się ani na ćmach, ani na motylach. O snach wiem niewiele. Ale nową książkę Roberta Pucka przeczytałem jednym tchem. I bez wahania polecam”.

Tak, Pucka warto czytać. Zarówno dwie wcześniejsze, jak i najnowszą – „Sennik ciem i motyli”, bo to prawdziwie erudycyjna, jak i estetyczna, przygoda.



Uczestnicy i moderatorzy spotkania w Muzeum UO (od lewej): prof. Joanna Rostropowicz, rektor prof. Marek Masnyk, ks. abp prof. Alfons Nossol, dr Agnieszka von Zanthier i red. Adam Krzemiński (fot. Sylwester Koral)

BEATA ŁABUTIN

MIŁOŚĆ, WIARA I KRZYŻOWA – „LISTY NA POŻEGNANIE”

Książka pt. „Listy na pożegnanie” to zbiór korespondencji Helmutha Jamesa i jego żony Frei von Moltke. Helmuth James i Freya von Moltke to dwoje młodych ludzi, opozycjonistów w nazistowskich Niemczech. On był jednym z twórców Kręgu z Krzyżowej, ona gospodynią tajnych obrad w dolnośląskim majątku rodzinnym Krzyżowa. Gdy on w więzieniu oczekiwał na proces i egzekucję, ona trwała przy nim aż do końca. Ten zbiór nigdy wcześniej niepublikowanych po polsku listów jest dokumentem miłości pokonującej więzienne mury, niezwyklej odwagi w walce z totalitaryzmem hitlerowskich Niemiec, ale również świadectwem głębokiej wiary i nadziei w to, że dobro zwycięży.

Promocja książki odbyła się 20 marca br. w Muzeum UO. W spotkaniu wzięli udział ks. abp prof. Alfons Nossol,

który Freyę von Moltke znał osobiście. Zorganizowali je: Wydawnictwo Znak, Fundacja im. Frei von Moltke oraz Muzeum Uniwersytetu Opolskiego.

Na promocji książki obecny był także Adam Krzemiński, redaktor tygodnika „Polityka”. – Zbiorów listów, które powstawały w więzieniu jest wiele, jednak ten jest wyjątkowy – powiedział. – Ta książka to dowód niesłychanej, wielkiej miłości, to także zapis głębokiej wiary, którą młodzi ludzie, będący liberałami, protestantami, dogłębnie zrozumieli, gdy znaleźli się w strasznej sytuacji. Ta książka jest także swoistą ewangelią Krzyżowej, miejscem, w którym odbyła się polsko-niemiecka msza pojednania, którą koncelebrował arcybiskup Alfons Nossol, miejscem polsko-niemieckich spotkań.

– Mnie osobiście Krzyżowa natchnęła do wizji przyszłościowej zjednoczonej Europy – powiedział arcybiskup Alfons Nossol. – W myśl hasła: otwierać drzwi, burzyć mury, budować mosty starajmy się stawać ludźmi kochającymi, myślącymi, budującymi – dodał arcybiskup.

Podkreślił, że bardzo dobrze się stało, iż korespondencja Helmutha Jamesa i jego żony Frei von Moltke została wreszcie wydana po polsku, stanowi bowiem doskonały przykład siły wiary, miłości. – Za tymi listami stoją żywi ludzie, którzy stawiali czoła nazizmowi, głównie dzięki miłości i wierze. A tylko chrześcijaństwo było w stanie przeciwstawić się totalitaryzmowi tej ideologii. Odnajduję w tej książce człowieka na obraz i podobieństwo Boże, a także prawdziwy ekumenizm – dodał ks. prof. Alfons Nossol.

Moderatorką spotkania była dr Agnieszka von Zanthier, dyrektor Fundacji im. Frei von Moltke, która przypomniała m.in., że korespondencję małżonków wnosili i wynosili z niemieckiego więzienia protestancki pastor, który narażał w ten sposób życie swoje i swojej rodziny.

Fragmenty „Listów na pożegnanie” odczytali studenci polonistyki i kulturoznawstwa UO: Hanna Główska i Maciej Janocha. Książkę wydało wydawnictwo „Znak”.

WYDAWNICTWO UNIwersYTETU OPOLSKIEGO

NOWOŚCI WYDAWNICZE



DZIUROK ADAM, ŚWIDER MAŁGORZATA (red. nauk.), *Referendum ludowe w 1946 roku oraz wybory do Sejmu Ustawodawczego w 1947 roku na Górnym Śląsku*, ISBN 978-83-8098-343-4, Katowice–Warszawa–Opole: IPN, UO, 2017, format A5, 300 s., oprawa miękka, **cena 30 zł**

Na książkę składa się 12 artykułów, poprzedzonych wstępem, będących pokłosiem ogólnopolskiej konferencji naukowej pod tym samym tytułem zorganizowanej przez IPN Katowice wspólnie z Instytutem Historii UO w 2016 r. Autorzy przedstawili szerokie spektrum problematyki związanej z organizacją, przebiegiem oraz konsekwencjami referendum ludowego z 1946 r. oraz wyborów do Sejmu Ustawodawczego w 1947 r. na Górnym Śląsku. Pierwsza część publikacji, nosząca tytuł Konteksty, obejmuje cztery artykuły, które bezpośrednio nie odnoszą się do referendum ludowego w 1946 r. i wyborów w 1947 r. w Polsce, ale stanowią ciekawy wątek uzupełniający, wpisując wspomniane wydarzenia w szerszy kontekst geograficzny i chronologiczny. Na część drugą, zatytułowaną Przebieg, składa się sześć artykułów skupiających się na przebiegu kampanii przedreferendalnej, organizacji referendum i wyborów, a także oddziaływaniu aparatu represji na ich wyniki. Tom zamykają dwa teksty w części Konsekwencje, omawiające skutki politycznego przełomu ze stycznia 1947 r.



KROK DARIUSZ *W poszukiwaniu znaczenia choroby nowotworowej*, ISBN 978-83-7395-779-4, Opole: Wyd. UO, 2017, format B5, 494 s., oprawa miękka, **cena 48,30 zł**

Choroba nowotworowa jest silnym stresowym zdarzeniem życiowym, które uruchamia szereg reakcji wpływających na myślenie, emocje oraz mechanizmy zachowania osób chorych. Książka prezentuje aktualną wiedzę, teorie i wyniki badań na temat radzenia sobie ze stresem u osób chorych na nowotwory w perspektywie kategorii znaczenia. Treści książki koncentrują się na ustaleniu zależności między czterema czynnikami wchodzącymi w skład procesu radzenia sobie: zasobami osobistymi, oceną choroby, strategiami radzenia oraz przystosowaniem do choroby nowotworowej. Centralnym punktem analiz jest kategoria znaczenia, która odgrywa istotną rolę w psychospołecznym funkcjonowaniu jednostek i jest szczególnie ważna w sytuacji choroby. Dzięki temu możliwe stało się zbadanie czynników i mechanizmów związanych z radzeniem sobie ze stresem choroby nowotworowej oraz wyjaśnienie roli znaczenia dla osób chorych na nowotwory.

Monografia jest skierowana do psychologów i studentów psychologii, lekarzy onkologów, pielęgniarek i personelu pracującego w szpitalach onkologicznych i hospicjach, a także pedagogów i wszystkich osób zainteresowanych psychologicznymi następstwami choroby nowotworowej.

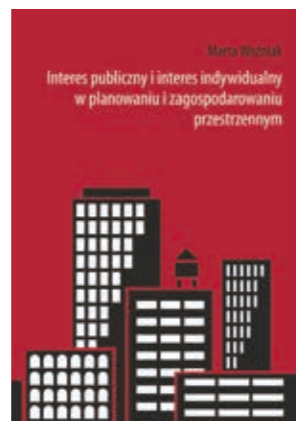
WYDAWNICTWO UNIwersYTETU OPOLSKIEGO

NOWOŚCI WYDAWNICZE

**PODHAJECKA MIROŚLAWA**

A history of Polish-English/English-Polish bilingual lexicography (1788-1947), Studia i Monografie nr 534, ISBN 978-83-7395-712-1, Opole: Wyd. II, UO, 2018, format B5, 630 s. oprawa miękka, **cena 61,95 zł**

Niniejsza monografia jest pierwszą próbą nakreślenia historii leksykografii polsko-angielskiej i angielsko-polskiej (1788-1947). Obejmuje ona dwadzieścia dziewięć rozdziałów poświęconych słownikom mono- i biskopalnym, ułożonym w porządku chronologicznym. Każdy rozdział rozpoczyna biografia autora, po której następuje charakterystyka słownika oraz analiza jego poszczególnych części. Przy badaniu makrostruktury uwagę zwrócono m.in. na archaizmy, kolokwializmy, neologizmy oraz terminy kulturowe. Najważniejszym elementem mikrostruktury słowników były ekwiwalenty przekładowe, ale uwzględniono także inne komponenty artykułu hasłowego, takie jak transkrypcja fonetyczna, kwalifikatory czy przykłady użycia. Książka weryfikuje dotychczas dostępne dane biograficzne i bibliograficzne oraz przedstawia fakty nieznanne w literaturze leksykograficznej.

**WOŹNIAK MARTA**

Interes publiczny i interes indywidualny w planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym, Studia i Monografie nr 551, ISBN 978-83-7395-778-7, Opole: Wyd. UO, 2018, format B5, 466 s., oprawa miękka, **cena 46,20 zł**

Książka jest jedynym, dostępnym na polskim rynku opracowaniem monograficznym, dotyczącym konstrukcji prawnej interesu publicznego i interesu indywidualnego w planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym. Problematykę interesów w planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym przedstawiono z uwzględnieniem zagadnień aksjologii prawa oraz ustaleń przyjętych na gruncie nauki prawa administracyjnego. Autorka przyjęła założenie, że zakres interesów w planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym może być prawidłowo wyznaczony w oparciu o złożony kompleks normatywny, uwzględniający nie tylko ustawę o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym, ale i inne ustawy materialnego prawa administracyjnego. Książka powstała u progu zmian zachodzących w procesie inwestycyjno-budowlanym, którego planowanie przestrzenne jest pierwszym i najważniejszym elementem, ale zawarte w niej ustalenia, tezy i wnioski mają charakter uniwersalny. Uwzględniono w niej dotychczasowy dorobek doktryny prawa administracyjnego oraz orzecznictwo

Naczelnego Sądu Administracyjnego, Wojewódzkich Sądów Administracyjnych, Sądu Najwyższego i Trybunału Konstytucyjnego. Adresatami książki mogą być pracownicy organów administracji publicznej, przedstawiciele zawodów prawniczych, słuchacze studiów podyplomowych z zakresu administracji publicznej, a także studenci prawa i administracji.



Dyrektor Wydawnictwa UO Natalia Musiał (z prawej) odbiera wyróżnienie w konkursie o Nagrodę Stowarzyszenia Wydawców Szkół Wyższych im. Ks. Edwarda Pudelki w roku 2018 – za publikację „Samuel Zborowski i jego czasy” autorstwa prof. Magdaleny Ujmy

Ponadto ukazały się:

Chlebda Wojciech, (red. nauk.), **Podręczny idiomatykon polsko-rosyjski, Z. 9**, ISBN 978-83-7395-782-4, Opole: Wyd. UO, 2017, format B5, 378 s., oprawa miękka, **cena 32,55 zł**

„Opolskie Studia Administracyjno-Prawne” t. XV/4 (red. nauk.) Kaczorowski Włodzisław, ISSN 1731-8297, Opole: Wyd. UO, 2017, format B5, 134 s., oprawa miękka, **cena 11,55 zł**

„Studia et Documenta Slavica” nr 3 (3), (red. nauk.) Czaplirńska Joanna, ISSN 2544-5634, Opole: Wyd. UO 2017, format A5, 110 s., oprawa miękka, **cena 9,45 zł**

„Studia et Documenta Slavica” nr 4 (4), (red. nauk.) Czaplirńska Joanna, ISSN 2544-5634, Opole: Wyd. UO 2017, format A5, 110 s., oprawa miękka, **cena 9,45 zł**

„Studia Miejskie” t. 27, (red. nauk.) Słodczyk Janusz, ISSN 2082-4793, Opole: Wyd. UO, 2017, format B5, 176 s., oprawa miękka, **cena 14,70 zł**

Zapowiedzi wydawnicze:

Czapnik Sławomir, **Przestrzenie polityki w myśli teoretycznej późnego Zygmunta Baumana**

Czerwiński Adam, Anna Jańdziak, Marcin Krzesaj (red.nauk.), **Informacja – dobro publiczne czy prywatne? Od nadmiaru do umiaru**

Konieczny Jerzy (red. nauk.), **Pomiędzy kryminalistyką i procesem karnym: z zagadnień analizy śledczej**

Kopczak-Wirga Anna, **Od inności do normalności. Turystyka zagraniczna Polaków w zwierciadle wspomnień**

Nieroba Elżbieta, Kopczak-Wirga Anna (red. nauk.), **Sztuka podróży, czyli turysta w świecie kultury**

Smak Ewa, Jędrzejowska Ewa, Konopnicka Iwona (red. nauk.), **Wczesna edukacja dziecka. Teoria i praktyka. Księga Jubileuszowa dedykowana Doktor Stanisławie Włoch**

Słodczyk Janusz (red. nauk.), **„Studia Miejskie” t. 28/2017**

Słodczyk Janusz (red. nauk.), **„Studia Miejskie” t. 29/2018**

Słodczyk Janusz (red. nauk.), **„Studia Miejskie” t. 30/2018**

Przygotowała: **Lidia Działowska**

Więcej informacji na stronie Wydawnictwa UO www.wydawnictwo.uni.opole.pl

NOTY O AUTORACH

Dr Marcin Böhm – pracownik Instytutu Historii UO. Zainteresowania badawcze: dzieje Normanów europejskich, historia Bizancjum i marynistyki średniowiecznej. Autor wielu monografii i artykułów poświęconych tym zagadnieniom.

Jan Cofałka – politolog, publicysta współpracujący z miesięcznikiem „Śląsk”. Były wiceprezes i sekretarz generalny Towarzystwa Przyjaciół Śląska w Warszawie, a także pracownik Kancelarii Sejmu i redaktor w Wydawnictwie Sejmowym. Autor serii książek: „Ślązacy w Warszawie” (2008), „Księga Ślązaków” (2009), „Ślązacy w świetle” (2015), „Legendy sportu śląskiego” (2017).

Krystian Czech – dyrektor Łubniańskiego Ośrodka Kultury, założyciel i członek Zespołu Śląskiej Pieśni Ludowej „Silesia”, odnoszącego sukcesy już od 25 lat, inicjator znanego konkursu literackiego „Ze Śląskiem na ty”.

Wojciech Dindorf – absolwent fizyki WSP w Opolu (1957), zwycięzca ubiegłorocznego krajowego konkursu Popularyzator Nauki, w kategorii Animator. Nauczyciel matematyki i fizyki w liceach (kolejno): w Legnicy, Nowym Jorku, Opolu, Wiedniu; wykładowca fizyki doświadczalnej na WSP w Opolu (1956–1966, 1972–1975), WSI w Opolu (1975–1980), Uniwersytecie w Wiedniu (1996–2000); egzaminator międzynarodowej matury z fizyki w jęz. angielskim, hiszpańskim i francuskim (od 1984); juror na Międzynarodowych Turniejach Młodych Fizyków.

Dr hab. Grzegorz Gajos – absolwent Wydziału Grafiki Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu, adiunkt w Pracowni Projektowania Graficznego i Pracowni Fotografii Wydziału Sztuki UO. Zajmuje się fotografią, projektowaniem graficznym, grafiką, wideo oraz eksperymentalnym zapisem dźwięku.

Andrzej Hamada – nestor opolskich architektów, urodzony w Gdańsku znawca historii Opola, w którym mieszka od ponad sześćdziesięciu lat.

Dr Grzegorz Hebda – pracownik naukowy Centrum Studiów nad Bioróżnorodnością w Katedrze Biosystematyki. Zoolog, prowadzi badania nad ptakami, ssakami i owadami, szczególnie zainteresowany fauną leśną i funkcjonowaniem ekosystemów leśnych. Od 11 lat naukowo związany z Białowieskim Parkiem Narodowym.

Dr Eryk Holona – w latach 70. kierownik Pracowni Metodyki Wychowania Harcerskiego Instytutu Pedagogiki WSP w Opolu, później przekształconej w Wydziałową Pracownię Nowych Technic Nauczania. Wieloletni komendant Harcerskiego Akademickiego Kręgu Instruktorskiego (HAKI) i dyrektor Instytutu Pedagogiki Uniwersytetu Opolskiego.

Agnieszka Kania – opolska lekarka dentystka. Od sześciu lat prowadzi galerię sztuki „Panaceum”. Regularnie ogłasza teksty w opolskiej „Gazecie Wyborczej”. Zdobyła dwukrotnie (w roku 2012 i 2013) pierwszą nagrodę w Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Profesora Andrzeja Szceklaka „Przychodzi wena do lekarza”, a w 2016 – pierwszą nagrodę w Konkursie Poetycko-Prozatorskim „Puls Słowa”. Wydała tom szkiców i felietonów „Zapatrzenia” (Opole 2011).

Prof. dr hab. Danuta Kisielewicz – kierownik Katedry Studiów Regionalnych w Instytucie Politologii. Zainteresowania naukowe: problematyka jeniecka i obozowa, rola pamięci historycznej, historia wojskowości, współczesnej myśli politycznej oraz przemian społeczno-politycznych Polski i Europy, zwłaszcza regionu Śląska.

Sylwester Koral – fotoreporter, przez wiele lat związany z opolskim oddziałem „Gazety Wyborczej”, pracownik Biura Promocji i Informacji UO.

Dr hab. Bartłomiej Kozera, prof. UO – emerytowany pracownik naukowy Instytutu Filozofii Uniwersytetu Opolskiego. Tematyka badań: filozofia średniowieczna i jej współczesne kontynuacje, filozofia Boga i filozofia religii, filozofia społeczna.

Beata Łabutin – wieloletnia dziennikarka opolskiego oddziału „Gazety Wyborczej”, pracownik Biura Promocji i Informacji UO.

Prof. dr hab. Ewa Malinowska – językoznawca, pracownik Instytutu Polonistyki i kulturoznawstwa. Autorka wielu publikacji na temat dyskursu publicznego, zwłaszcza urzędowego. Redaktor naczelna międzynarodowego rocznika naukowego „Stylistyka”.

Dr hab. Paweł Marcinkiewicz – poeta, historyk literatury anglojęzycznej, tłumacz, eseista. Kierownik Zakładu Translatoryki i Leksykografii Instytutu Filologii Angielskiej UO. Laureat Nagrody Czesława Miłosza za twórczość poetycką (2000). Autor dziewięciu tomów wierszy. Wydał „The Rhetoric of the City: A. R. Ammons and Robinson Jeffers” (Peter Lang 2009) oraz „Colored Alphabets’ Flutter. John Ashbery and the Twentieth-Century American Avant-Gardes” (Wydawnictwo UO 2012).

Joanna Matlachowska – opolska lekarka i poetka, członek Unii Polskich Pisarzy Lekarzy. Wielokrotnie nagradzana w konkursach poetyckich (dwukrotna laureatka Konkursu Poetyckiego im. R. Brandstaettera, XIX Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „Dać Świadectwo”, wyróżniona w Konkursie Poetyckim o Nagrodę im. K. K. Baczyńskiego). Autorka tomików wierszy „Most dla motyla” (1995), „Biało-błękitne” (2000), „Telegram Eklezjasty” (2011), „A wróble już to wiedzą” (2015).

Dr Miłosz Mazur – pracownik naukowy Centrum Studiów nad Bioróżnorodnością UO, członek Polskiego Towarzystwa Entomologicznego i Śląskiego Towarzystwa Entomologicznego, a także Curculio Institute i Rady Krajowej Sieci Informacji o Bioróżnorodności.

Prof. dr hab. Jan Miodek – językoznawca, dyrektor Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego, członek Komitetu Językoznawstwa Polskiej Akademii Nauk i Rady Języka Polskiego, popularyzator wiedzy o języku polskim.

Wiesław Myśliwski – pisarz, dwukrotny laureat Nagrody Literackiej „Nike” (1997, 2007); autor tłumaczonych na wiele języków powieści: „Nagi sad”, „Pałac”, „Kamień na kamieniu”, „Widnokrąg”, „Traktat o łuskaniu fasoli”, „Ostatnie rozdzianie”.

IMPRESSUM

Wydawca: Uniwersytet Opolski (nakład: 500 egz.)

Adres redakcji: 45-040 Opole, pl. Kopernika 11, Collegium Maius UO, pok. 17, tel. 77 541-60-17, e-mail: indeks@uni.opole.pl, www.indeks.uni.opole.pl

Redaktor naczelna: Barbara Stankiewicz-Buchowska

Zdjęcia: Jarosław Mokrzycki, Tadeusz Parcej, Sylwester Koral, Grzegorz Gajos

Opieka merytoryczna: prof. Stanisław S. Nicieja

Projekt graficzny/skład: Grzegorz Gajos

Druk: Drukarnia KOLUMB, Katowice / Siemianowice Śląskie

Redakcja zastrzega sobie prawo do adiacji, skrótów, dawania własnych tytułów, śródtytułów, nagłówek, przypisów itp., a w przypadku zdjęć i rysunków – własnego kadrowania

Prof. dr hab. Stanisław S. Nicieja – historyk (biografistyka najnowszych dziejów Polski, historia najnowsza), były rektor Uniwersytetu Opolskiego, współautor filmów dokumentalnych, autor kilkunastu książek, m.in.: „Cmentarz Łyczakowski we Lwowie 1786-1986”, „Cmentarz Obrońców Lwowa”, „Z Kijowa na Piccadilly. Wokół biografii Tadeusza Zablockiego-Gwasza”, „Łyczaków – dzielnica za Styksem”, „Tam gdzie lwowskie śpią Orleńta”, „Cmentarz Łyczakowski w fotografii”, „Twierdze kresowe Rzeczypospolitej. Historia, legendy, biografie”, „Kresowe Trójmiasto. Truskawiec-Drohobycz-Borysław”, „Lwowskie Orleńta. Czyn i legenda”, „Kresowa Atlantyda”.

Dr hab. Arkadiusz Nowak, prof. UO – zoolog, biolog, botanik, fitosocjolog, kierownik Centrum Studiów nad Bioróżnorodnością. Tematyka badawcza: botanika konserwatorska, klasyfikacja roślinności Środkowej Azji, roślinności chwastów pól ryżowych świata, analiza predyktorów zróżnicowania florystycznego i fitosocjologicznego roślinności. Współtwórca idei odbudowy prószkowskiej Pomologii, twórca klasyfikacji roślin ustępujących i rzadkich.

Dr hab. Sylwia Nowak, prof. UO – pracownik naukowy w Zakładzie Biologii Roślin Samodzielnej Katedry Biosystematyki UO. Zainteresowania naukowe: syntaksonomia zbiorowisk roślinnych, w szczególności segetalnych Azji Środkowej (Tadżykistan i Kirgistan), Azji Południowej (Nepal) oraz Południowo-Wschodniej (Tajlandia).

Edward Pochroń – dziennikarz (od 1956 r.), współzałożyciel i pierwszy redaktor naczelny miesięcznika „Opole”. Był zastępcą i redaktorem naczelnym „Trybuny Opolskiej” (do 1989 r.), wieloletnim prezesem opolskiego oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Założył m.in. tygodniki: „Gazeta Opolska” i „Strzelec Opolski”. Do 2016 r. był wydawcą i redaktorem naczelnym miesięcznika „Echa Gmin Opolskich”. W 1959 r. sprowadził z Krakowa do Opola Jerzego Grotowskiego, założyciela Teatru 13 Rzędów. Autor „Zapisków podleśnych” i tomiku wierszy „Żywica”.

Dr Magdalena Przystańska-Pizarska – adiunkt w Zakładzie Archeologii Instytutu Historii UO, w którym pełni funkcję dyrektora ds. nauki, współpracy z zagranicą i promocji. Autorka licznych publikacji naukowych, prowadzi badania archeologiczne, współpracuje z instytucjami i organizacjami o charakterze naukowo-badawczym, społecznym, prowadząc wykłady, prezentacje i warsztaty z tematyki śląskiej, archeologicznej, historycznej i w ramach rekonstrukcji kultury materialnej.

Prof. dr hab. Adam Suchoński – dydaktyk historii, wieloletni dyrektor Instytutu Historii UO (wcześniej WSP), b. prodziekan Wydziału Filologiczno-Historycznego WSP oraz prorektor WSP w latach 1986–1990. Członek Międzynarodowego Stowarzyszenia Dydaktyków Historii, od 2002 r. – przewodniczący (ze strony polskiej) Polsko-Litewskiej Komisji Podręcznikowej.

Elena Stepaniuk – studentka III roku dziennikarstwa i komunikacji społecznej na Uniwersytecie Opolskim.

Witold Sułek – opolski księgarz, poeta, pisarz. Autor tomu wierszy „Planacja” oraz książki dla dzieci „Bajka o małym łosiu”. Publikował w pismach STRONY, RED, książkach zbiorowych. Animator kultury, aktor Teatru Fieter z Ozimka.

Dr Bartosz Suwiński – poeta, krytyk literacki. Poezję, prozę, szkice krytyczne i artykuły naukowe drukował m. in. w „Twórczości”, „Odrze”, „Toposie”, „Frazie” i wielu tomach pokonferencyjnych. Opublikował tomy poetyckie: „Sehir”, „Bliki”, „Odpuść”, „Uroczysko”, „Wyrzaj”, monografie: „Pory poezji. Koncepcja czasu w twórczości poetyckiej Krystyny Miłobędzkiej” oraz „Po tej stronie rzeki. Szkice o poetach znad Odry”.

Dr hab. Aleksandra Trzcielińska-Polus, prof. UO – kierownik Katedry Stosunków Międzynarodowych Instytutu Politologii UO. Główny temat badań: współczesne stosunki polsko-niemieckie. Zainteresowania badawcze: stosunki międzynarodowe (polityczne i gospodarcze) oraz swoistość przemian zachodzących w regionach pograniczy. Redaktor naczelny czasopisma „Pogranicze. Polish Borderlands Studies”.

Dr Adam Wierciński – historyk literatury, krytyk, publicysta. Zainteresowania naukowe: historia literatury, historia i kultura dawnej Polski, kultura języka. Autor kilku książek (m.in.: „Przywracanie pamięci”, 1993, 1997: „Głowy opolskie”, 1999, 2008; „O nijaczeniu języka”, 2006) oraz kilkuset tekstów naukowych, publicystycznych i paraliterackich.

Dr Sylwia Wiercholska – pracownik naukowy Zakładu Biologii Roślin Samodzielnej Katedry Biosystematyki. Zainteresowania naukowe: szacowanie bogactwa mszaków na obszarach górskich, ich udział w zbiorowiskach leśnych, mszaki w badaniach geobotanicznych.

Ks. prof. dr hab. Kazimierz Marek Wolsza – kierownik Katedry Filozofii Systematycznej i Historii Filozofii na Wydziale Teologicznym UO. Autor ok. 400 publikacji z zakresu filozofii współczesnej, filozofii religii i metafizyki, w tym m.in. książek: „Rola doświadczenia transcendentnego w poznaniu filozoficznym”, „Człowiek w horyzoncie bycia i wartości”, „Edyta Stein darem, wezwaniem i obietnicą”, „Religijne wymiary doświadczenia i myślenia”, „Rozjaśniać egzystencję”.

Urszula Zajączkowska – historyk, dyrektor (od 2007 r.) Muzeum Śląska Opolskiego, z którym jest związana od 1977 r.

uni
www.
uni.opole.pl